3 1761 07043491 5

1. Układy Królewicza Władysława i dysydentów z Gustawem Adolfem 1632.

2 Sprawy domowe

3 Zasian. pojęcia o Możnowładztwie naszem

Digitized by the Internet Archive
in 2010 with funding from
University of Toronto

http://www.archive.org/details/ukadykrlewicza00szel

UKŁADY

KRÓLEWICZA WŁADYSŁAWA i DYSYDENTÓW

z GUSTAWEM ADOLFEM w r. 1632.

NAPISAŁ

ADAM SZELĄGOWSKI.

Osobne odbicie z Kwartalnika Historycznego t. XIII.

LWÓW
NAKŁADEM WŁASNYM
Z drukarni E. Winiarza
1900.

DK
430
.3
S88

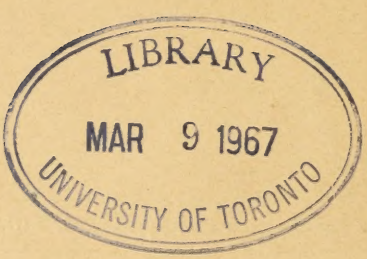

Przebieg elekcyi Władysława na króla odznaczał się nadzwyczajnym spokojem i jednomyślnością. Jakie się warunki na to złożyły, czy nie było czynników zagrażających rozstrojem i walką, czyja zasługa ich uśmierzenia — oto pytania, na które w części da nam odpowiedź stosunek ówczesny Szwecyi, a zwłaszcza jej króla Gustawa Adolfa do Polski. Stosunek ten odzwierciedla się w układach, prowadzonych przez królewicza Władysława i dysydentów z Gustawem Adolfem. Rola zaś pośrednika w nich wypadła elektorowi brandenburskiemu Jerzemu Wilhelmowi*).

Przy rozważaniu tego pośrednictwa należy mieć zawsze na względzie, że elektor brandenburski, to jeszcze pokorny wasal króla polskiego, a znaczna część jego państwa stanowi *membrum* Rzpltej. Ale już jego rola jako elektora w sprawach Rzeszy, stosunek przyjaźny ukryty, który się w połowie 1631 r. zmienił w otwarty sojusz, do potężnego króla Szwecyi a opiekuna i protektora wszystkich ewangelików w Niemczech, stawiają jego znaczenie o wiele wyżej w oczach Polski. Nawet dla największego potentata na Litwie, jakim był hetman lit. ks. Krzysztof Radziwiłł, nie jest on kimś równym, choć grzecznie w listach schlebia jego

---

(* Do pracy tej oprócz źródeł wydanych, zużytkowałem materyał, rękopiśmienny z tajnego archiwum w Berlinie zawarty w Rep, 98e, tudzież z archiwów państwowych w Dreźnie i Wiedniu.

próżności — a poniekąd dla samego Władysława, późniejszego króla, stosunki z nim mają charakter przyjacielskiego zaufania i wzajemnej pomocy.

Ta dwoistość stanowiska elektora, raz jako wasala i członka Rzpltej, a powtóre jako niezależnego i obcego księcia Rzeszy, nastręczała mu wiele sposobności do knowań wewnątrz Rzpltej na pozór w imię jej dobra, a w gruncie rzeczy na korzyść domu brandenburskiego. Oczywista, najpodatniejszą do tego była sprawa dysydencka. Identyczność religijna była zarazem bodźcem do nawiązania interesów politycznych dla dysydentów w Polsce w czasie bezkrólewia 1632 r. i to nie tylko z samym elektorem, ale pośrednio z Gustawem Adolfem.

Poprzednicy Jerzego Wilhelma stali wobec spraw religijnych w Polsce na stanowisku całkiem obojętnem, on sam także, jeśli zajął się tą sprawą, to nie tyle z własnego przeświadczenia, ile z kierunku spraw w Niemczech, gdzie cała walka polityczna skupiła się pod sztandarem i pod hasłem wyznania religijnego.

Polska nie była izolowana od reszty Europy, nic więc dziwnego, że wielki płomień na zachodzie mógł dorzucić nowych iskier i rozżarzyć tlejący ogień różnowierstwa w Polsce. Panowanie Zygmunta III podkopało rozwój różnowierstwa u nas; — natomiast bliski koniec tego króla i zbliżająca się elekcya, będąca, jak zawsze, zapowiedzią czegoś nowego dla spokojnych poza granicami Rzpltej, natomiast wiecznie burzących się na wewnątrz umysłów szlachty — dodało niedobitkom dysydentów nowego bodźca do działania w interesie religijnym czyli zarazem politycznym swego stronnictwa.

Inicyatywa wyszła od wojewody bełzkiego Rafała Leszczyńskiego, który jak Krzysztof Radziwiłł na Litwie, był najpotężniejszym filarem stronnictwa dysydenckiego w Polsce. Obydwaj musieli też działać w porozumieniu ze sobą.

W pierwszej połowie miesiąca stycznia r. 1632 zwrócił się Rafał Leszczyński do swego dawnego znajomego, komendanta Marienwerderu Jana v. Kosspoth i w wielkiej tajemnicy kazał wyrazić całą swą życzliwość i gotowość do usług dla elektora. Dodał, że czyni to nie ze względu na swoje jakiekolwiek korzyści, tylko w interesie religii *(religionis causa)* »ponieważ król JM. — oświadczał Leszczyński — ani paktów religijnych, ani przysięgi, które ojcowie Jezuici w tysiączny sposób mogą tłómaczyć i wykręcać, nie myślał wcale dochowywać w przeróżnych wypadkach, jakie się dotąd nastręczały, przeto musi on baczyć, aby na wszelki wypadek poszukać sobie potężnych opiekunów *(grosse patronos)* i wobec nich się zasługiwać« [1]).

---

[1]) Relacya z konferencyi komendanta Marienwerderu Jana von Kosspoth z wojewodą bełzkim Rafałem, komesem de Leszno odbytej, na rozkaz elektora na piśmie mu podana d. 14 stycznia 1632 r.

Celem tej propozycyi było uzyskanie poparcia ze strony elektora w czasie przyszłej elekcyi. Na czyją korzyść chcieli dysydenci głosować, z tem nie zdradził się Leszczyński. Musiał się wprzód dowiedzieć, dla kogo elektor jest jak najprzychylniej usposobiony i kogo zamierza popierać.

Wobec bliskiej śmierci króla odbywały się tajne narady senatorów, tudzież zjazdy w Małej i Wielkiej Polsce.

Na zjazdach wyrażano się nieprzychylnie o królewiczu Władysławie — i to bynajmniej nie sami tylko katolicy, ale i dysydenci. Mówiono, że nie jest wojowniczym, ani pracowitym, ani też zdrowym; że jest skłonnym do *absolutum dominium*. Dysydencka strona miała jeszcze jeden zarzut: *horror sacrae missae,* który się stosował również do Władysława, jak i do każdego innego katolika, któryby pretendował o tron w Polsce. O kandydaturze innych królewiczów nie było prawie mowy, gdyż uważano ich za dzieci.

Kandydatem większości szlachty, jak mówił Leszczyński, jest Gustaw Adolf. Tę też kandydaturę podsuwał elektorowi, ażeby ją popierał.

Czy istotnie dla większości szlachty najsympatyczniejszym kandydatem do korony był Gustaw Adolf — to rzecz nazbyt wątpliwa. Wprawdzie dla płytkich umysłów rozpolitykowanej szlachty było to najlepszem rozwiązaniem wszelkich trudności politycznych, w jakie Rzplta zawikłaną była — a to przedewszystkiem wojną ze Szwecyą i z Moskwą. Za pomocą elekcyi króla miała ona bez żadnych wysiłków, bez przelewu krwi, bez kosztów pozyskać to, co utraciła i uwolnić się od wszelkich ciężarów wojennych. Ta rachuba była tak samo zawodna, jak przy poprzedniej elekcyi, gdzie także za koronę myślano uzyskać Estonię od Szwecyi.

Bądź co bądź, kandydaturę Gustawa Adolfa wysuwała partya dysydencka w Polsce jeszcze przed śmiercią Zygmunta III.

Gustaw Adolf utrzymywał tajne stosunki z dysydentami i wogóle z osobami nieprzychylnie usposobionemi dla dynastyi Wazów w Polsce. Wpajał w nich przekonanie, że jest słaba nadzieja porozumienia między obydwu państwami, o ile nie połączą się pod jednem berłem po śmierci króla obecnego Zygmunta. Czynił to, jak sam powiada, w liście do kanclerza Oxenstjerny (6 stycznia 1631 r.) nie tyle z chęci osiągnięcia korony polskiej, gdyż czuł dostatecznie ciężar jednej na swojej głowie, ile w celach popierania niezgody wewnętrznej i rozdarcia w Polsce [1]).

W tym też kierunku dawał zlecenia kanclerzowi swemu. Do tego też celu miała posłużyć misya tajna Jakóba Roussel'a do Polski. Wyprawił go w końcu r. 1630, zaopatrzywszy w instrukcyę, plenipotencyę, listy do prymasa, kasztelana krakowskiego, tudzież

---

[1]) Geijer, Geschichte Schwedens t. III, str. 249—250.

innych senatorów. Roussel powinien był z temi osobami razem lub osobno, jak tego będzie potrzeba, traktować co do sojuszu Gustawa Adolfa z Rzpltą, król zaś przyrzekał potwierdzić to wszystko, do czego się Roussel zobowiąże. Głównie powinien był uderzać Roussel, jak to z instrukcyi jego widać, na niepotrzebny rozlew krwi chrześcijańskiej a więc na to, aby czasu zawieszenia broni użyć na przywrócenie zupełnej zgody i przyjaźni. W tym też celu Gustaw Adolf proponował nie samą przyjaźń i ufność *(amicitiam et confidentiam)*, ale sojusz *(unio)* przeciwko wspólnym wrogom.

Kto to byli ci wspólni wrogowie, o tem Gustaw Adolf nie mówi wyraźnie, ale każe się domyślać, iż są to Austryacy i ci, którzy się ich polityki trzymają. A tym był w pierwszym rzędzie sam król Zygmunt III., którego pochwycony list do cesarza (z datą 20 października 1630 r.) miał wyraźnie wskazywać na łamanie zawieszenia broni i tajne popieranie cesarza w walce z Gustawem. Lecz nie tylko dla walki z wrogiem zewnętrznym Rzpltej, t. j. Austryą, radził Gustaw Adolf się z nim połączyć, ale i dla zwalczenia wrogów wewnętrznych. A tymi byli ci, którzy nastawali na wolność Rzpltej. Ostrzegał przeciwko zamysłom hiszpańskim oraz jezuickim. Co to były za zamysły, wskazuje Gustaw Adolf, mówiąc, iż chodzi tutaj o nowy zamach na elekcyę [1]).

Widzimy, że jak zwykle, i teraz zamysły wrogów Rzpltej opierały się na tem, aby grać na nerwach szlachty, na jej wiecznych obawach przed domem austryackim, przed knowaniami Jezuitów, przed zamachami na wolność Rzpltej, a przedewszystkiem na prawa wolnej elekcyi.

Podszepty Roussel'a najłatwiej trafić mogły do dysydentów, wprawdzie osłabionych, ale i rozgoryczonych okrutnie pod koniec panowania Zygmunta III. Prócz dysydentów przychylność swą ku Gustawowi Adolfowi zaznaczała i Litwa, wieczny malkontent. Skarżyła się na niesłuszne postępowanie Polski w poprzednich traktatach pruskich a przedewszystkiem, że Litwinów pozbawili korzyści z portu Memla. Teraz zaś wobec upływającego zawieszenia broni z Moskwą, Litwa obawiała się, iż cały ciężar wojny spadnie na nią. Z tamtej strony było silne zbrojenie, natomiast Polacy nie czynią nic. W tej sprawie wysłała Litwa do Stanów Rzpltej i do króla Lwa Sapiehę, wojewodę wileńskiego. Sapieha zdradził się w rozmowie z Leszczyńskim, że jeżeli król i Rzplta nie pomyślą

---

[1]) Instrukcya Gustawa Adolfa dla Jakóba Roussel'a radcy tajnego królewskiego i posła do Stanów Rzpltej. Stralsund 5 listopada 1630 r. Broszura współczesna bez daty i miejsca wydania. Zdaje się wydana w Rydze r. 1632. Znajduje się także przedrukowany list Zygmunta III do cesarza z Tykocina 20 października 1630 r., tudzież listy, w które zaopatrzył Gustaw Adolf Jakóba Roussel'a do prymasa, kasztelana krakowskiego i innych senatorów z datą Stralsund 5 listopada 1630 r.

o obronie wspólnej, to oni muszą poszukać takiego opiekuna i obrońcę *(patronum et defensorem)*, który im będzie więcej przychylny.

To pewna, iż Litwa pozostawała w bezpośredniej korespondencyi z Gustawem Adolfem. Sapieha pokazywał Leszczyńskiemu list oryginalny króla szwedzkiego do stanów litewskich. Za poparcie elekcyi Gustaw Adolf obiecywał powrócić Estonię, Inflanty, Prusy, zawrzeć ze wszystkimi ich wrogami pokój wieczysty, na ich wroga dziedzicznego (t. j. Moskwę) nałożyć taki hamulec, ażeby ich zabezpieczyć od wszystkich jego wycieczek. Na Litwie Gustaw Adolf miał podobno wielu zwolenników pośród najznakomitszych panów, jak i szlachty. »Panom polskim ani się nie zdaje, że do tego (t.j. do elekcyi Gustawa Adolfa) łatwoby przyjść mogło«, zauważył Lew Sapieha w rozmowie z Rafałem Leszczyńskim.

Trudno osądzić, ile w tem było zwyczajnej pogróżki, ile zaś istotnych zamiarów względem Gustawa. Poważnie zarysowała się jego kandydatura tylko w głowach dysydentów, zarówno na Litwie u Krzysztofa Radziwiłła, jak i w Polsce.

Z temi oznakami sympatyi dla Gustawa Adolfa liczył się królewicz Władysław, występujący jeszcze za życia ojca, jako pretendent do korony polskiej. Poważnie nie brał on zamiarów kandydowania Gustawa Adolfa. Przypuszczał raczej manewr strategiczny, całkiem zrozumiały wobec wrogiego stosunku wzajemnego obydwóch państw. Wiadoma mu była tajna misya Roussel'a do Polski. Odkrył mu ją pewien wojewoda, do którego się zwrócił Roussel. Władysław miał na to dowody w rękach — i jak sam wyznawał otwarcie, w szczerość tych zabiegów Gustawa Adolfa o koronę polską nie wierzył.

Inna rzecz, gdy chodziło o psucie mu szans i widoków elekcyi na przyszłość pośród własnych stronników. Tutaj działanie Roussel'a było mu nie na rękę. Władysławowi chodziło nie o walkę i o współzawodnictwo z Gustawem Adofem, lecz o pokój i współdziałanie. Władysław nie taił się z oznakami uwielbienia dla Gustawa Adolfa. Mówił, iż cieszy się, że taki waleczny bohater powstał w jego rodzinie i że sam szczyci się z jego zwycięstw.

Mimo związków krwi z domem austryackim, Władysław nie sprzyjał jego polityce. Nie pochwalał postępowania cesarza w Rzeszy z różnowiercami a nawet w rozmowie z posłem elektora brandenburskiego dał do zrozumienia, iż przeważną część winy rozlewu krwi przypisuje cesarzowi i katolikom.

Ani więc względy rodzinne, ani interesy religijne — nie przeszkadzały mu zbliżyć się do Gustawa Adolfa. Były zaś jeszcze i inne powody, które mu nakazywały szukać zbliżenia się z nim — a przedewszystkiem interesy dynastyczne.

Władysław wiedział, że Gustawowi Adolfowi wielce zależało na utrzymaniu i wzroście własnego domu. Mniejsza o dawną waśń,

ale Wazowie na tronie polskim i szwedzkim stanowili dwie gałęzie jednego panującego domu. Wobec jedynej spadkobierczyni, Gustawa Adolfa, małoletniej córki Krystyny i wobec nieletnich królewiczów, Władysław i Gustaw Adolf byli jedynymi reprezentantami interesów całego domu i całej dynastyi Im obydwom powinno było zależeć na utrzymaniu tego domu i ustrzeżeniu go od możliwych wstrząśnień zarówno w Polsce, wobec przyszłej elekcyi, jak i w Szwecyi, na wypadek śmierci Gustawa Adolfa.

Na tem budował Władysław swoje nadzieje porozumienia się z Gustawem Adolfem jeszcze za życia ojca, co prawda, wobec możliwego a nawet bardzo bliskiego jego zgonu. Gdy tymczasem Gustaw Adolf o zgodzie wcale nie myślał. Owszem pragnął wydrzeć nawet dzieciom Zygmunta III koronę polską. Jeśli nie chodziło mu o uzyskanie jej dla siebie, to co najmniej o to, aby żaden z synów Zygmunta III nie zasiadał na tronie polskim, tylko ktoś życzliwiej dla Szwecyi usposobiony [1]).

Widzimy zatem, jak dalece zamiary Władysława rozchodziły się z zamiarami Gustawa Adolfa. O bezpośredniej styczności ich, jako też korespondencyi nie było ani mowy. Lecz i tutaj Władysław nie zaniedbał spróbować szczęścia przy pomocy elektora brandenburskiego.

Pierwsze rokowania musiały być nawiązane na osobistym zjeździe w Grodnie. Nie wiemy, jakie tam sprawy były poruszane. Dopiero jednak w końcu r. 1631 Władysław rozpoczął układy z Gustawem Adolfem za pośrednictwem Jerzego Wilhelma.

W listopadzie r. 1631 wysłał elektor swego radcę tajnego Piotra Bergmanna do królewicza Władysława. Chodziło mu o sprawy żywotne dla swego domu, które także miały się rozstrzygnąć w czasie przyszłego bezkrólewia. Między innymi elektor chciał się domagać prawa udziału w przyszłej elekcyi, z którego, jak mniemał, dotąd niesłusznie byli jego poprzednicy wykluczani. Chodziło również o przyspieszenie traktatów pokojowych między Polską a Szwecyą, w których elektor był pośrednikiem wraz z królami Francyi i Anglii. W instrukcyi swojej dla posła każe mu król zbadać, czy by się nie udało doprowadzić nie tylko do złagodzenia naprężenia, ale wprost do zawarcia ścisłej przyjaźni i sojuszu między obydwoma państwami, zostającemi pod zwierzchnictwem tak bliskim węzłem krwi połączonych królów [2]).

Propozycye te były bardzo na rękę Władysławowi. Bergmann znalazł go w Mereczu na Litwie w końcu miesiąca grudnia i miewał u niego kilkakrotne audyencye. Władysław wyraził mu swoje

---

[1]) Geijer tamże t. III, str. 249.

[2]) Memoryał elektora dla radcy tajnego Piotra Bergmanna, wyprawionego w poselstwie do królewicza Władysława Zygmunta. Cölln nad Spreą 26 listopada (n. st.) 1631 r.

obawy co do kandydatury Gustawa Adolfa do korony polskiej i prosił elektora, aby o ile mógł, odwiódł go od tak nieprzychylnych dla siebie planów. Pośrednictwo elektora w sprawie traktatów przyjął z jak największą ochotą. Zgadzał się na dotychczasowych interponentów króla francuskiego i angielskiego, nie uważał jednak za stosowne, aby więcej stron mięszało się do tej sprawy, gdyż to by jej raczej szkodziło, jak pomagało. Co do miejsca układów nie umiał nic powiedzieć prócz tego, że dla króla angielskiego najdogodniejszy byłby Królewiec, co do czasu zauważył, iż najlepiej byłoby połączyć je z chwilą zawarcia pokoju powszechnego w Niemczech. Ze stanowiska jednak interesów Rzpltej wobec upływającego niebawem terminu zawieszenia broni, wydawało mu się niestosownem sprawę tę w zupełności odkładać i czekać na wynik walki w Niemczech.

Najtrudniejszą była sprawa przyszłych warunków pokoju między Polską a Szwecyą. Tutaj rzecz się inaczej przedstawiała ze stanowiska interesów królewicza i jego braci, inaczej zaś ze stanowiska interesów Rzpltej. Różnice między Polską a Szwecyą wydawały mu się łatwe do wyrównania; inaczej między nim, przyszłym spadkobiercą korony szwedzkiej a Gustawem Adolfem. Chodzi tutaj o sukcesyę do tronu, z której niesłusznie on i jego bracia byli wykluczeni. »Mogły stany mieć swoją racyę, dla której jego ojca pozbawili tronu, to jednak nie może rozciągać się na jego dziedziców i spadkobierców; tym ostatnim należy się pewna satysfakcya.« Tak rozumował Władysław. Czy się liczył ze wszystkiemi trudnościami załagodzenia sporów między Szwecyą a Rzpltą, i czy przenikał zamiary Gustawa Adolfa co do dziedzictwa tronu to dopiero przyszłość miała pokazać. Jedyną nadzieją, na jakiej się opierał Władysław, było przekonanie, że Gustaw Adolf nie zechce tak bliskich swych krewnych, którzy wraz z nim należą do jednego domu i jednej rodziny, rujnować a tem samem podrywać korzenie własnego rodu.

Na tej nadziei budował Władysław swój śmiały plan zgody. Jeśliby się na to Gustaw Adolf zgodził, to łatwo się znajdą środki do porozumienia.

Mówiliśmy, iż Władysław pragnął połączyć traktaty polsko-szwedzkie z zawarciem pokoju uniwersalnego w Niemczech. Obydwie te sprawy chciał połączyć w jedną i ująć w swoje ręce. Gdyby tylko Gustaw Adolf zapragnął z nim zgody, Władysław gotów był odegrać rolę pośrednika między nim a cesarzem. Wydawało mu się to bardzo naturalnem. Z obydwiema walczącemi stronami był Władysław spokrewniony. Sam dotąd w tej walce nie uczestniczył, żadnej stronie nie sprzyjał, ani też był podejrzanym; był więc całkiem neutralnym i ani jedno państwo, ani jeden z monarchów współczesnych nie mógł się lepiej, jak on, nadawać do tego. Pośrednictwo to dałoby możność królewiczowi Władysławowi przybycia do Niemiec celem osobistego widzenia się z Gustawem

Adolfem. Za jednym zamachem zostałaby ubitą sprawa między koroną szwedzką a Polską i waśń między Gustawem a cesarzem. Tak więc osiągniętoby obok braterskiego zaufania między nim a Gustawem, także zupełną pacyfikacyę stosunków w Rzeszy ku ogólnemu zadowoleniu wszystkich.

Nie wiemy, czy to był własny plan królewicza Władysława, czy też podsunięty mu przez kogoś z bliskich. Napewno jednak, ani cesarz, ani Gustaw Adolf o tem nie myśleli. Do cesarza miał zamiar zwrócić się królewicz listownie z propozycyą pośrednictwa. Co się zaś tyczy Gustawa Adolfa, całą swą nadzieję oparł na poparciu, które mu użyczył w tej sprawie bliski jego krewny i sojusznik — elektor brandenburski. Odkrył więc w całości swoje zamiary przed posłem Jerzego Wilhelma, Bergmannem, który zresztą w rozmowie szeroko się rozwodził nad koniecznością nie tylko pokoju, ale i porozumienia między Polską a Szwecyą, i prosił go, aby elektor usilnie nad tem pogodzeniem i sojuszem *(der selben coniunction und guter verständniss halber)* pracował.

Z największym więc zaufaniem złożył Władysław całą sprawę w ręce elektora i zaproponował mu przez posła Bergmanna następujący sposób postępowania. Elektor miał wysłać jak najprędzej osobę zaufaną do kanclerza Oxenstjerny i od siebie, nie dając poznać, iż Władysław coś wie o tem, zaproponować mu następujące punkty:

Naprzód co się tyczy reasumowania traktatów polsko-szwedzkich, aby popierał tę sprawę u swego króla i aby zarówno co do przygotowań, jak i warunków ogólnych, o ile zechce, zaufał elektorowi.

Powtóre zapyta go, czy nie uważa za stosowne ustalenie dobrego stosunku wzajemnego *(ein gutes vernehmen)* między Gustawem Adolfem a królewiczem Władysławem, na podstawie którego można się spodziewać dla obydwóch stron odpowiedniej pacyfikacyi *(annehmliche pacification)*.

Na ostatek, co kanclerz myśli o osobistym zjeździe obydwóch władców i nastręczającej się przytem sposobności pośrednictwa Władysława.

Tylko co do osoby samego kanclerza Oxenstjerny żywił Władysław nieufność i wątpił, czy będzie sprzyjał takiemu planowi dobrego stosunku *(einer guten correspondenz)* i osobistego zjazdu między Gustawem Adolfem a Władysławem, czy się nie będzie obawiał, że król jego nie posunie się zadaleko i nie uczyni czegoś na szkodę Szwecyi, idąc za naturalnym popędem wspólności krwi. Był więc w obawie, czy kanclerz *a limine* całego projektu nie odrzuci.

Bergmann był przeciwnego zdania. Uważał on, iż najłatwiej można się będzie na to narazić, jeżeli się pominie w tak ważnej sprawie osobę kanclerza Będzie on usiłował szkodzić po części

z urazy, po części z samej podejrzliwości. Radził przeto, aby koniecznie zaczynać od samego kanclerza, którego to ujmie dla osoby królewicza. Przytem możnaby mu zrobić nadzieję, iż skutkiem owego zjazdu i porozumienia może być zawarty pokój wieczysty na warunkach najkorzystniejszych dla Szwecyi przy dzisiejszym stanie rzeczy. W dodatku może być położony fundament dla silnego związku *(zu einer starken confaederation)* naprzód obronnego, przeciwko wszystkim nieprzyjaciołom a potem do pewnego stopnia zaczepnego między Polską a Szwecyą [1]).

Sam Bergmann nie wątpił w możliwość tego, aczkolwiek w trakcie rozmowy zauważył, jak dalece Władysław jest nieskłonnym do uznania istniejącego porządku rzeczy w Szwecyi, czyli do zrzeczenia się swoich praw do korony, a to ze stanowiska interesów szwedzkich było warunkiem *sine qua non* owego porozumienia i sojuszu a nawet zawarcia pokoju wieczystego.

Wprawdzie wydawało mu się zawsze silną przeszkodą pokrewieństwo Władysława z domem austryackim, jednak Bergmann mniemał, że Gustaw Adolf nie zamierza zapewne doprowadzić do całkowitej ruiny Austryi, co najwyżej upokorzyć i ograniczyć nieco nadmierną potęgę cesarza. Przeciwko temu nicby nie miał zapewne Władysław i nie mógłby temu zapobiedz.

Nie dziwimy się ajentowi elektora brandenburgskiego, iż zapatrywanie jego na współczesną postać historyczną było zbyt ciasne. Zagadką jednak psychologiczną zawsze pozostanie, jak mógł Władysław przeoczyć cele, do których dążył Gustaw Adolf, jak mógł marzyć o skierowaniu swojemi słabemi siłami jego wielkiej polityki narodowej i ogólno-protestanckiej na całkiem odmienne tory.

Zresztą i Polska dotychczas trzymała się polityki wrogiej Szwecyi i szła ręka w rękę z Austryą. Zygmunt III zezwalał na werbunki dla wojsk cesarskich w Polsce, co Gustaw Adolf uważał za niezgodne z warunkami zawieszenia broni. Natomiast Roussel swoimi listami podburzał nie tylko niezadowoloną szlachtę oraz dysydentów, ale i Kozaków. Powoływał ich do walki w obronie swych wolności, a zwłaszcza swobód religijnych, przypisując królowi swemu tytuł »protektora greków i ewangelików«. Proponował im sojusz ze swoim królem, który tutaj występował nie tylko z inicyatywy własnej, ale i w porozumieniu z patryarchą konstantynopolitańskim Cyrylem [2]).

Władysław wiedział, że werbunki wojsk cesarskich w Polsce

---

[1]) Relacya Piotra Bergmanna z poselstwa do królewicza Władysława, Gdańsk 16. stycznia (n. st.) r. 1632.

[2]) List Jakóba Roussel'a do Kozaków dat. w Rydze 25 kwietnia 1631. Wysyła do nich swoich posłów w osobie kapitana Piotra L' Admiral i chorążego Jakóba des Grèves. Brosz. wsp.

mogłyby zaszkodzić dojściu do skutku porozumienia, ale zapewniał, iż nie wynoszą one więcej jak kilka tysięcy ludzi. To samo czynią także Szwedzi — zauważył królewicz w rozmowie z Bergmannem, wiadomo mu jest także, czego próbował dokonać Gustaw Adolf wśród Kozaków. Co do pokoju moskiewskiego oświadczył, że w tej sprawie udaje się do Moskwy poseł cesarski, ale że zanim to nastąpi, wypadnie jeszcze chwycić za oręż. Wyznał jednak, że i w tej sprawie król Gustaw mógłby bardzo wiele się przysłużyć własnemu domowi, gdyby się skłaniał bardziej do sojuszu jak do niezgody [1]). I tu więc zdaniem Władysława leżał interes Gustawa Adolfa, aby trzecią koronę, t. j. moskiewską utrzymać w posiadaniu rodziny Wazów.

Czy to był zamiar stworzenia ogromnej jednolitej potęgi państwowej na północy Europy pod panowaniem jednego domu? O tem trudno nam sądzić. Wzmianka ta zresztą uszła uwagi Bergmanna. Plan jednak tak energiczny, tak śmiały, jak najlepiej się zgadza z umysłem przyszłego króla polskiego Władysława IV, imponującym co do zamiarów, lecz za słabym co do energii i wyboru środków działania. Co do szczerości tych projektów, z którymi się zwierzał przed ajentem elektora, nie mamy potrzeby wątpić. Znamy w głównych zarysach wątek jego polityki zagranicznej do końca życia. Zresztą był to raczej wybuch namiętny jego natury żywej, rwącej się do olbrzymich zadań dziejowych, jak oznaka powściągliwości i rozumu politycznego. Plany te tak obszerne, tak zuchwałe, mogły raczej odstraszyć, jak zachęcić elektora do udzielenia pomocy. W każdym razie, mamy w tem niezbity dowód, ile Władysławowi rzeczywiście zależało na zgodzie i sojuszu z Gustawem Adolfem.

Zresztą trzeba przyznać, iż Władysław miał dosyć miary i trzeźwości sądu politycznego, aby się liczyć z możliwością. Brał nawet i to pod uwagę, że może w tak krótkim czasie nie dojść do skutku pożądana pacyfikacya stosunków między Polską a Szwecyą. Na ten wypadek radził traktować nad przedłużeniem zawieszenia broni. Obiecywał w takim razie baczyć na interesa elektora brandenburskiego co do sekwestru i cła funtowego *(pfund zoll)* i dlatego uważał za stosowne wciągnąć do pertraktacyi Stany niderlanckie, co przy traktatach o pokoju wieczystym nie byłoby potrzebne. W obietnicach i przyrzeczeniach dla elektora nie posuwał się za daleko, robił tylko nadzieje. Na wzmiankę Bergmanna co do pretensyi linii frankońskiej do sukcesyi, odpowiedział wymijająco: »Już póki Prusy pozostają w rękach domu brandenburskiego, to sprawa musi pójść gładko [2]).

---

[1]) ...vermeinte (Władysław), könig Gustavus könte hiebey auch seinem eigenen hausse zum besten viel guttes schaffen, wenn er zu dieser conjunction mehr, als zur separation verstehen wolte...

[2]) ..Wan Preussen nur in des Hauses Brandenburg henden bleiben, so hett es gutte wege...

Elektor brandenburski był przychylnie dla zamiarów Władysława usposobiony. Sojusz jego z Gustawem Adolfem nie stał w sprzeczności z interesami jego domu. Bergmann, tajny radca elektora i ajent dyplomatyczny, doradzał zamiary Władysława popierać, gdyż na tem może elektor budować zabezpieczenie a w części skupienie własnego państwa *(die versicherung und theils redintegration ihres eigenen status)*. Wreszcie sojusz zamierzony mógłby się przyczynić do zabezpieczenia elekcyi Władysława, na czemby elektorowi zależało. Pośrednictwo bowiem w tak ważnej sprawie elektora zobowiązywałoby później Władysława do ustępstw w sprawach elektora brandenburskiego, jak rozciągnięcie prawa sukcesyi lenna na linię frankońską, uzyskanie *jus suffragii* przy elekcyach.

Propozycyi przeto Władysława na dworze elektora nie lekceważono. Już przedtem w czasie pobytu kanclerza Oxenstierny w Berlinie napomykano mu pomiędzy innemi sprawami i o tem, czyby się nie udało doprowadzić do takiego porozumienia między królem szwedzkim a królewiczem Władysławem, na podstawie którego możnaby było zawrzeć nie tylko pokój wieczysty, ale nawet sojusz między Polską a Szwecyą. Kanclerz jednak zwykle chętny w rozmowie i odpowiadający na wszystko szczegółowo, ten punkt stale pomijał milczeniem.

To stanowisko Oxenstierny nasuwało wątpliwości elektorowi brandenburskiemu, czy wypada mu się w tę sprawę mięszać. Projekt przeto Władysława nie został odrzucony przez elektora, ale zmieniono nieco formę traktowania tej sprawy. Zamierzono sprawę sojuszu oraz zjazdu królewicza Władysława z Gustawem Adolfem, tudzież pośrednictwa w sprawach Rzeszy podjąć u kanclerza przy najbliższem poselstwie, ale traktować ją chcieli nie jako projekt królewicza ani też od siebie, tylko jako propozycyę pewnych osób prywatnych, dobrych patryotów *(als auss anderer privaten leute undt gutter patrioten gedancken herkommendt)*.

Czy i o ile projekty te mogły być urzeczywistnione, o tem na dworze elektora nie wiedziano. W każdym razie przynajmniej na tych zasadach myślano zbudować między Gustawem Adolfem a Władysławem porozumienie, ażeby ten ostatni przyznał i zabezpieczył Gustawowi Adolfowi prawo do korony szwedzkiej, natomiast król szwedzki pomógłby mu do uzyskania korony polskiej. Ten sposób porozumienia wydawał się o wiele właściwszym i bliższym do urzeczywistnienia, aniżeli pośrednictwo królewicza Władysława w sprawach Rzeszy. A przecież z takimi zamiarami nie zdradzał się Władysław — nigdy ich też nie miał. Słusznie zrobiono o tem uwagę na dworze berlińskim, iż łatwiej byłoby wtedy myśleć o przywróceniu jakiegoś wzajemnego zaufania między królem a Władysławem, aniżeli teraz, kiedy obydwaj walczą jednocześnie o dwie korony.

O zamiarach króla szwedzkiego co do ubiegania się o koronę

polską, w Berlinie nie powątpiewano nawet. Co więcej, zdawało się, że te zamiary Gustawa Adolfa są tak stanowcze, że o odwodzeniu króla od tej myśli niema nawet mowy [1]). Na każdy sposób zamierzano obok innych spraw poruszyć u króla także sprawę przyszłej elekcyi w Polsce i przy tej sposobności spróbować, czy się nie uda głębiej przeniknąć zamiary jego. Sprawa ta tem więcej była ważną dla elektora, iż łączyła się z zamiarem ubiegania się o prawo głosu na przyszłej elekcyi. Gdyby istotnie i królewicz Władysław i król Gustaw ubiegali się o koronę polską, natenczas elektorowi nie wypadałoby z prawa tego skorzystać — gdyż głosując za jedną stroną, obraziłby drugą. Na ten wypadek zamierzał elektor z prawa głosu w czasie przyszłej elekcyi nie korzystać [2]).

Cała więc pomoc, jaką elektor mógł okazać Władysławowi polegała na tem, ażeby badać, prawie macać grunt i usposobienie do zgody u króla szwedzkiego i kanclerza. A tymczasem na propozycye zgody i sojuszu z Polską odpowiadano mu milczeniem. Co do zabiegów Gustawa Adolfa o koronę polską wiedział elektor tyle, co było publicznie wiadomem. Jedyna sprawa, o której z nim chętnie mówiono, była sprawa traktatów pokojowych między Polską a Szwecyą i przygotowania do nich czynione. Lecz i tutaj ilekrotnie elektor chciał wybadać bliższe szczegóły o warunkach ze strony szwedzkiej, zbywano go zazwyczaj milczeniem.

Takie się dotąd zatem zarysowały widoki zgody między królewiczem Władysławem a Gustawem Adolfem. A trzeba przyznać, iż nie przeceniał ich sam Władysław, skoro równocześnie prowadził (marzec i kwiecień 1632) pertraktacye z cesarzem i Wallensteinem w sprawie objęcia dowództwa nad 30 tys. armią na Śląsku. Był więc zawsze gotów porzucić drogę układów, jeżeli mu się nastręczały środki i możność prowadzenia walki. Ale nadzieje te znowuż osłabły z chwilą śmierci Zygmunta III (30 kwietnia). To nowe zwichnięcie planów wojennych nakazywało Władysławowi iść dalej drogą układów z Gustawem Adolfem.

Śmierć Zygmunta III, lubo nagła, była dawno oczekiwana i na parę miesięcy przedtem brana w polityczną rachubę. Rozpoczynał się znowu »złoty rok wolności« dla szlachty po długim, bo 46-letniem jarzmie panowania zmarłego króla. Nie wszystkim jednak uśmiechały się te nadzieje; rozważniejsi obawiali się nowych niezgód, tumultów wewnętrznych i niebezpieczeństw ze strony sąsiadów. Państwo istotnie było zagrożone wojnami ze wszech stron. Pokój z Moskwą i Szwecyą nie był załatwiony. Groziło niebezpie-

---

[1]) Da ess aber allezeit so weit gekommen, wie wir vernehmen, müssen wir es davor halten, ess werde schon ein beständiger Schluss, beim Könige genommen und S. K. M. davon nicht abzubringen sein ..

[2]) Memoryał elektora dla Piotra Bergmanna 24 stycznia 1632 r. na relacyę z 16 stycznia t. r.

czeństwo od Tatarów. Kozacy nie byli zadowoleni. Nawet od strony węgierskiej obawiano się jakiejś zaczepki z poduszczenia Turków. Przedewszystkiem jednak obawiano się Gustawa Adolfa, opromienionego chwałą zwycięstw w Niemczech i prawie oficyalnie występującego w charakterze pretendenta do korony. »Zdawało się« — powiada kronikarz współczesny, — »że gdyby był wpadł podówczas do Polski, znalazłby więcej poklasku dla swoich zamysłów, jak sprzeciwienia się« [1]).

Opinia w kraju była zatrwożona zuchwałem wystąpieniem ajenta Gustawa Adolfa, Jakóba Roussel'a. Jeszcze na początku r. 1632 rozesłał on listy na sejmiki, podburzające szlachtę przeciwko stronnikom domu rakuskiego, zwłaszcza przeciwko duchowieństwu (»stanu świeckiego sprzysiężeni nieprzyjaciele, jako się wszędzie we wszystkich sprawach i radach okazuje«). Stara piosnka powtarza się w nich o zamiarze obalenia wolnej elekcyi i przywrócenia Rzptej do tego stanu, w jakim się Czechy znajdują (»aby tak ojczyzna Wmciom czeskiego braterskiego nakształt królestwa dziesięcioletniemu wizerunkowi przyrównana była«). Roussel proponuje szlachcie w imieniu króla szwedzkiego »związek i konfederacyę« przeciwko tym gwałcicielom i krzywdzicielom pokoju, »przeciw zdradom południowym i hiszpańskim« [2]).

Za warunek tego związku podaje (jeszcze przed śmiercią Zygmunta III [3]) wybór Gustawa Adolfa na króla, który jest »morza Bałtyckiego absolute panującym, najwyższego państwa Rzymskiego i przyległych, oswobodziciel i obrońca i chrześcijańskich wolności Defensor i Restaurator«. Korzyści z tej unii czyli związku płynące, miały być olbrzymie. Obiecywał udział w tryumfach swego króla, a zarazem zawrzeć pokój z Moskwą, uwolnić od tatarskiego plądrowania i najazdów kozackich, uzyskać przyjaźń cesarza tureckiego; Węgry i Czechy połączyć z nimi »węzłem nierozerwalnym towarzystwa i przyjaźni« — a nadewszystko uchronić od jakiegoś niebezpiecznego aliansu na zgubę Rzpltej przez sąsiadów obmyślanego, i jak się ów list wyraża, »już zawartego, przysięgłego i do egzekucyi pewnej na kształt nakręconego zegaru przyjść mającego«. Czego tam w tych korzyściach zresztą nie było — i »wolniejsza oraz pożyteczniejsza nawigacya na morzu Bałtyckiem« i wspólny handel na morzu Czarnem, Śródziemnem, także na Dunaju i uwolnienie od »poborowego krwawego« i uchylenie walki

---

[1]) Piasecki. Chronica str. 441 wyd. pośmiertne.

[2]) . . . gdy o elekciey królewskiey oprócz promulgatii zacności w Rzpltej waszmościów skwapliwie y troskliwie obmyśliwać przymuszano nie bez wszystkich xiążąt chrześciańskich wolne królestwo w dziedziczne odmienić się dopuszczających szkody, wzgardy i niesławy..

[3]) . . . aby za okazję z nieba podaną od Rzpltej Wmciom on przyjęty był, ten, który i t d.« Ma tu więc na myśli bliską elekcyę, czyli śmierć króla Zygmunta III.

oraz rozdarcia wewnętrznego »wobec rozmnożonego z dwojga małżeństwa potomstwa« króla Zygmunta III., a nadewszystko przywrócenie »ku pierwszemu zdrowiu i wolnościom« Rzpltej. nadwątlonej przez hiszpańskie, macchiawelskie i jezuickie panowanie.

Jedno tylko, czem mógł sobie rzeczywiście pozyskać obóz różnowierczy, to wolność i równość religijna dla wszystkich wyznań, jakiej same stany życzyć sobie będą i na jaką się zgodzą. Katolików, na równi z dysydentami brał w swoją opiekę, tylko Jezuitów proponował albo zawrzeć w Częstochowie, albo do Hiszpanii wrócić albo wysłać do Rzeczypospolitej weneckiej, na co się chyba każdy zgodzi, gdyż musi ich uważać za »hiszpańskich szpiegów i rakuskiej monarchii sprawców, pomocników i promotorów«. Dla pokrewnego sobie domu Gustaw Adolf nie żywi niechęci — owszem gotów jest pomyśleć o jego zaopatrzeniu, byle się tylko Austryaków wyrzekł [1]). Nie poprzestając na tem, rozesłał Roussel listy podobnej treści, zachęcające do sojuszu i do elekcyi Gustawa Adolfa na wypadek śmierci króla, do senatorów i do posłów ziemskich, zebranych w Warszawie na sejm w marcu 1632 r. [2]).

Wystąpienie to Roussel'a było tak niesmaczne, tak niepolityczne, iż więcej zaszkodziło niż pomogło Gustawowi Adolfowi w opinii szlachty. Na sejmikach szlachta rwała listy Roussel'a, albo odsyłała do króla. Pisma jego zostały skazane na spalenie; sam Gustaw Adolf był niezadowolony ze sposobu, w jaki się wywiązał jego ajent z misyi dyplomatycznej [3]). Oxenstierna wypierał się całej tej roboty, jak i posłańca, i bronił króla, że gdyby coś podobnego był zamyślił, toby powierzył to komu innemu, a nie Rousselowi [4]).

Cała niechęć skierowała się przeciwko Niemcom a zwłaszcza ewangelikom, których podejrzywano o tajne stosunki z Gustawem Adolfem. Także elektorowi brandenburskiemu zaczęto niedowierzać. Ajent jego dyplomatyczny w Warszawie Henryk von Weinbeer narażony był na ciągłe szykany i nieprzyjemności. Tak w czasie ostatniej kadencyi sejmowej (w marcu 1632) król i znaczna część posłów gorszyli się, że poseł siedział w izbie poselskiej i pilnie notował. Niezadowolenie to dali wyraźnie mu odczuć, a gdy

---

[1]) . . . I tem pokrewnego swego potomstwa skuteczniej i więcej aniżeli kto inny dobrze uczynić i opatrzyć chce JKr. M., jeżeli za jedno Austrackiemu domowi poddanym być nie zechce i króla hiszpańskiego się wyrzecze a onemu w Hiszpanjej swojej według myśli żyć i cieszyć się życzyć będzie... List Jakóba Roussela do stanów na sejmiki dat. w Rydze, 1. stycznia 1632 r. (brosz. współcz.).

[2]) Obydwa datowane w Rydze 1 marca 1632 r. (brosz. współczesna).

[3]) Geijer t. III. str. 249

[4]) Darauf ich (Bergmann) wird referirt, wie wol auch vor deme schon geschehen, dass gleichwol der Canzler Ochsenstiern davon nichts hette wissen wollen, sondern solch procedere und motiven des Roussel's ganz desavouiret, hette, sagende wenn sein König solch vornehmen hette, so wurde er einem anderen man, als deme commitiret haben...

się usprawiedliwiał, że poto tutaj jest wysłany, i że pan jego również jest członkiem Rzptej i ma pierwsze miejsce w senacie, odpowiedział mu marszałek izby: »Warszawa pełna jest knowań podejrzanych, zwłaszcza gdy bawi tutaj poseł króla Gustawa« [1]). Weinbeer bał się przebywać w Warszawie i postanowił zaraz po śmierci króla wyjechać do bliskich krewnych w pobliżu Torunia. Interesy elektora zlecił kilku swoim dobrym znajomym i zaufanym. Zwłaszcza Jan Zawadzki, starosta świecki, miał pilnie śledzić wypadki na dworze i od czasu do czasu informować go o wszystkiem [2]). Zawadzki był ewangelikiem, utrzymywał pośrednie lub bezpośrednie stosunki z elektorem, był w dobrem porozumieniu z przywódcami dysydentów w kraju, jak Rafałem Leszczyńskim a nawet sam odgrywać musiał znaczną rolę w tej sprawie. Do niego też zamiast do krewnych udał się Weinbeer na pobyt w czasie bezkrólewia.

Przenieśmy się teraz myślą do obozu dysydentów i zapytajmy, jaki tam nastrój panował. Niegdyś czuli się liczni i potężni w Rzptej, teraz siły ich były poderwane a liczba ich znacznie się zmniejszyła. W czasie panowania poprzedniego króla byli stale usuwani od wszelkiego wpływu na sprawy Rzptej, nawet od wyższych urzędów. Mogli jednak, bo musieli mieć respekt przed tym, który sprawował nad nimi *ius dominii*. Teraz w czasie bezkrólewia, gdy Rzplta, jak się to zwykle mówiło, sama stała się swą panią *(sui juris facta est)* i mogła swe prawa i swobody poprawiać i przywracać, nadarzała im się najlepsza sposobność do podjęcia walki religijnej w obronie praw i wolności. Nie mały wpływ na ich stanowisko wywierały wypadki ówczesne w Rzeszy. Dysydenci w Polsce łączyli swe interesy z interesami protestantyzmu w Niemczech, podobnie jak katolicy łączyli swą sprawę ze sprawą ogólno katolicką w zachodniej Europie. Obie partye zarówno oglądały się na przebieg wypadków w Niemczech. Dysydenci liczyli na zwycięstwa Gustawa Adolfa, podczas gdy katolicy spodziewali się klęski jego i zwycięstwa domu austryackiego a wraz z niem sprawy katolickiej. Pierwsi tak długo czuli się bezpieczni w Polsce, póki stanowisko cesarza w Rzeszy było zachwiane, dlatego postanowili wzmocnić sprawy różnowierstwa w Polsce, póki szala się nie przechyli na przeciwną stronę, gdyż nikt nie mógł jeszcze przewidzieć końca wypadków.

Ta międzynarodowa solidarność interesów religijnych dominowała wówczas nadewszystkiem. Wzajemna nienawiść i rozgoryczenie między stronami walczącemi, dysydencką a katolicką, spotęgowała się do najwyższego stopnia. Katolicy byli podrażnieni

---

[1]) ...Varsavia tota plena est suspicionibus, praesertim praesente iam internuncio regis Gustavi...

[2]) Relacya ajenta dyplomatycznego przy dworze warszawskim Henryka von Weinbeer Świec 3 maja 1632 r.

zwycięstwami oręża szwedzkiego w Niemczech; natomiast dysydenci ośmieleni i zachęceni temi zwycięstwami, »zachwianiem się papiestwa«, jak sami mówili. Z tego zachwiania się i chwilowego osłabienia i przygnębienia katolików pragnęli skorzystać. Opór ich — »zuchwalstwo«, jak się wyrażali, zdumiewał ich i rozdrażniał.

To ogólne położenie spraw religijnych w Polsce i w Niemczech łączyło się z wypadkiem politycznym niezmiernie doniosłym w życiu Rzpltej, z elekcyą króla. Coby się stało na wypadek przeprowadzenia przez katolików własnego kandydata? Coby się stało, gdyby artykuł o swobodzie religijnej w formule przysięgi króla był pominięty? Gdyby kler przeszkodził tej przysiędze w czasie koronacyi? W razie złamania tego prawa musiałaby upaść swoboda i bezpieczeństwo ewangelików. Gdyby król ani prawem, ani przysięgą nie był związany wobec ewangelików, natenczas nie zechciałby uczynić dla nich nic, choćby mógł, jak również nie mógłby nic, choćby chciał [1]).

W chwili tak ważnej i krytycznej oglądali się dysydenci w Polsce za jakimiś sojusznikami. Do tych zaś należały przedewszystkiem miasta w Prusach królewskich i elektor brandenburski, jako należący do stanów Rzpltej a związany z dysydentami węzłem interesów religijnych.

Jeszcze na początku r. 1632 podsuwał Rafał Leszczyński elektorowi brandenburskiemu za pośrednictwem komendanta marienwerderskiego, plan wspólnej akcyi z dysydentami na wypadek elekcyi, przez co by sam skutecznie przysłużył się swoim interesom. Radził więc zaraz po śmierci króla wnieść prośbę do senatu o prawo udziału w elekcyi *(jus suffragii)* i o zmianę w akcie inwestytury wyrażenia *cum vocatus fuerit* — dla tego, że elektor mógłby nigdy nie zostać przywołanym. Aby pozyskać przychylność prymasa, obiecywał wskazać pewną osobę (nijakiego Kozimińskiego), który miał wielkie wzięcie u arcybiskupa i za parę tysięcy złotych mógłby być użyteczny. Elektor powinien był przygotować *gravamina* — a nadewszystko żądał Leszczyński zbrojnej pomocy. A więc elektor miał zawczasu pomyśleć o środkach pieniężnych a z chwilą rozpoczęcia się bezkrólewia przybyć jak najspieszniej do Prus, wiodąc ze sobą 2—3 tysięcy żołnierza. Sam Leszczyński pragnął mieć przynajmniej 3 tys. ludzi w czasie bezkrólewia. Miasta Gdańsk i Toruń przyrzekły mu przysłać 100 ludzi. Spodziewa się, że elektor również tyle żołnierzy mu przyśle [2]).

Istotnie w czasie bezkrólewia dysydenci pokładali wielkie nadzieje w elektorze i mieli nań zwrócone baczne oko. Ajent war-

---

[1]) Des Herrn Fürst Radziwill's übergebenes bedencken in puncto Religionis na zjeździe z elektorem brandenburskim w Johannisburgu 6 sierpnia 1632 r.

[2]) Relacya Jana v. Kosspoth z d. 14 stycznia 1632.

szawski Weinbeer był przekonany, że na kogo elektor w czasie przyszłego wyboru da głos, za tym pójdą także dysydenci i połączą się z elektorem. Radził więc też i on zaraz po śmierci króla, aby elektor przybył do Prus a w razie koniecznej potrzeby i dalej do Warszawy na przyszłą elekcyę. Obecność elektora miała poprzeć sprawę dysydentów a zarazem elektor uzyskałby swoje żądania a zwłaszcza co do *ius suffragii*, k e jak utrzymywał *contra pacta antiqua* było mu odmawiane [1]). Tak więc w planach dysydentów w pierwszych dniach bezkrólewia nic się nie zmieniło; owszem wojewoda bełzki przypominał jeszcze elektorowi za pośrednictwem Zawadzkiego swoją prośbę co do przysłania mu żołnierza, (w maju 1632 r.).

Skutkiem tych nalegań i własnych planów popierania swych żądań u Rzpltej, elektor postanowił udać sie zbrojno do Prus książęcych; 14 czerwca (4-go st. st.) uwiadomił listownie o tym swoim zamiarze wojewodę chełmskiego Melchiora Wejerta. Konieczność udania się do Prus i trzymania się wraz z wojskiem w pobliżu granic Rzpltej motywował chęcią przyjścia jej z pomocą na wszelki wypadek. Z tego powodu jak i dla własnego bezpieczeństwa wziął ze sobą parę kompanii żołnierza i prosił wojewodę, aby im nie czynił przy przejściu przez jego województwo żadnych trudności [2]). W drugiej połowie czerwca elektor bawił już w Kostrzynie [3]).

Tutaj doszły go po raz pierwszy wyraźne propozycye Krzysztofa Radziwiłła co do zamierzonego porozumienia i wspólnego planu działania.

Radziwiłł przedłożył elektorowi memoryał za pośrednictwem swego dworzanina (Kammerjuncker) Jana von Ottenhausena. Memoryał ten zawiera jeszcze same wyrażenia ogólne. Naprzód wskazywał na silną łączność interesów tak politycznych jak i religijnych *(salus et libertas tam ecclesiastica quam civilis)* elektora z interesami dysydentów w Rzpltej, czyli, jak ich nazywa memoryał z interesami dobrej partyi (*bonarum partium*). Z zachwianiem się stanowiska elektora (*labefacto statu*) siły dysydentów byłyby słabsze i na odwrót. Ponieważ wspólnie dzielą jedno złe i dobre (*bona malaque illorum sunt communia*), przeto należy im wspólnie radzić i pomagać sobie w zabezpieczeniu bytu, wolności i bezpieczeństwa (*salus, libertas, securitasque*) i na odwrót niebezpieczeństwo oraz niewolę wspólnie odpierać (*periculum servitiumque communi manu depelli debet*).

---

[1]) Relacya Henryka von Weinbeer, ajenta elektora przy dworze warszawskim. Świec 3 maja 1632

[2]) List elektora do wojewody chełmińskiego Melchiora Wejerta. Kolonia nad Spreą d. 4 czerwca (st st.) 1632 r.

[3]) List elektora do Jana Zawadziego, starosty świeckiego z d. 11 czerwca (t j. 21go) 1632 r., o zamierzonym w środę wyjeździe z Berlina. Inny list elektora z dnia 14 (24) czerwca datowany z Kostrzyna.

Chociaż dysydenci zawsze powinni to mieć na względzie, tembardziej jednak wypada im to czynić teraz, gdy Bóg dał im taką sposobność z powodu śmierci króla Zygmunta III. Dotąd wprawdzie wiele dla Rzeczypospolitej czyniono, ale wszystkie ich prace i zabiegi marniały, ponieważ musieli mieć respekt dla tego, który miał nad nimi zwierzchnią władzę *(jus dominii)*. Skoro zaś teraz Rzplta sama jest swą panią i ma moc swe prawa i swobody polepszać i przywracać, przeto byłoby wielką odpowiedzialnością z ich strony, gdyby z takiej sposobności nie skorzystali [1]).

To ma na względzie książę — powiada memoryał — chcąc służyć za dobry przykład dla drugich i gotów będąc w interesie religii i innych praw (*pro religione et aliis iuribus*) czynić wszystko, co tylko możliwe; chodzi mu tylko o to, aby go inne stany Rzpltej nie opuściły, tak, jak wówczas n. p., gdy u nieboszczyka króla z powodu wspólnej sprawy wpadł w wielką niełaskę, nikt się nie znalazł, któryby mu wiernie przyszedł z pomocą [2]). Teraz podjął akcyę na nowo i zrobił już dobry początek, zapytuje więc elektora, czy chce w każdym wypadku iść z nim ręka w rękę i wspierać go radą i pomocą.

Na teraz więc Radziwiłł udawał się do elektora z ogólną prośbą o pomoc. Bliższych propozycyj było dwie a raczej jedna, gdyż obie tyczyły się dalszego porozumienia. Pierwsza, ponieważ obawia się listownie lub przez posłów porozumiewać w głównej sprawie, przeto proponuje elektorowi zjazd, na który miał przybyć także wojewoda bełzki; co do miejsca i czasu później by się umówiono. Druga — aby elektor wysłał do Warszawy na konwokacyę zaufaną osobę, dobrze wtajemniczoną w sprawy i upełnomocnioną, z którąby się mogli w zaufaniu porozumiewać i pertraktować [3]).

---

[1]) ...Obwohl boni cives zu ieder Zeit drauff bedacht sein sollen, so wil sich dennoch viel mehr gebhürn dahmals zu thun, wen ihnen Gott occasion zu die handt giebtt. Da bishero, ob man viel pro Rspbc: gethan, so sein doch alle labores conatusque umbsonst gewesen, weil man hatt müssen ein Respect haben dessen, welcher ius dominii über sie gehabt, nuhn aber weiln die Rpbc: sui iuris facta est, undt habt die macht ihre rechte undt freiheiten zu besseren undt auffzurichten, also were es einer mehr zu verantworten, wenn man sich solcher occasion nicht solte angelegen sein lassen...

[2]) ...Weile sich aber solches Ihre F. G. mein gnädiger herr (Radziwiłł) auffs höchste angelegen sein lassen, als wollen sie auch bono exemplo praeire undt pro religione et aliis iuribus das zu thun vertig undt bereit, was immer menschlich undt möglich sein möchte, wenn sie mehr andere Rpbc. membra nicht wolten deserere; denn tot exempla weisen das aus, das I. F. G. des gemeines besten wegen bey dem in Gott ruhenden Könige in grosse ungenade gerathen, alda sich keiner finden lassen, welcher sic trewlich in illo ejus dominio were beygesprungen; nuhn aber weiln sie sich solches vorgenohmen undt auch etwas guten anfang gemacht, also fragen sie hochfreundtlich, ob sie sich zu I. Ch. D. des beystandes helffen undt rattungen in omni casu hetten zu versehen...

[3]) Puncta, so auff befhelich Ihr F. G. Herrn Chr. Radzivil's meines gnädigen fürsten undt Herrn Ihrer Churf. Durchl. proponirt.

To porozumiewanie się dysydentów i udawanie się po radę było bardzo na rękę elektorowi. Przychylał się on w zupełności do ich żądań. Przybył już do Prus a zdaje się już przedtem, bo z Berlina (19 czerwca 1632) przed swoim odjazdem wysłał do Warszawy tego samego Bergmanna, który sprawował poselstwo w końcu zeszłego roku do królewicza Władysława, zaopatrzywszy go w instrukcye i listy uwierzytelniające do stanów na konwokacyę. Elektor godził się na wspólność interesów swoich a ewangelickich stanów w Koronie i na Litwie, których Radziwiłł był jednym z najznakomitszych przedstawicieli i filarów [1]). Dla tego uważał za nader pożyteczny jak najściślejszy z nimi związek. Powoływał się na cały stan ówczesny sprawy ewangelickiej w Europie, gdy Bóg prawie sam wskazuje ewangelikom, aby odwagą i rozumem wyzwolili się od dotychczasowego ucisku, krzywd i prześladowań. Dlatego sam udał się do Prus, aby mieć łatwiejszą sposobność porozumiewać się z księciem i stanami ewangelickimi. Donosił mu także o poselstwie Bergmanna i przyjął chętnie propozycyę zjazdu z nim samym a możliwie i z wojewodą bełzkim [2]).

W Polsce tymczasem przygotowywano się do elekcyi. Walka miała się rozegrać między katolikami a dysydentami. Obydwie strony zbroiły się na wszelki wypadek. Katolicy ściągnęli hetmana kor. Stanisława Koniecpolskiego od tatarskiej granicy. Wojewoda ruski przybył do Krakowa z kilkoma tysiącami ludzi, aby strzedz tego miasta, w którem przechowywała się korona królewska. Podkanclerzego spodziewano się tam również z 6 tys. żołnierza. Jeszcze groźniej zapowiadały się siły dysydentów. Sam Radziwiłł miał przeszło 10 tys. żołnierza. Wojewoda bełzki mógł również przyprowadzić kilka tys. Słowem obydwie partye przysposabiały się do jak najliczniejszego wystąpienia i groza wojny domowej zaciężyła nad Polską [3]).

Od samego początku kandydatura Władysława miała lepsze widoki. Wprawdzie partya katolicka zarzucała mu małą gorliwość w wierze i słabe zdrowie; natomiast wielką nadzieję pokładano w królewiczu Kazimierzu a zwłaszcza Aleksandrze, którego rozum i zdolności (*ingenium et iudicium*) wychwalano. Lecz pamiętano znowu, jak niedwuznacznie Gustaw Adolf na poprzednim sejmie występował w charakterze pretendenta do korony, jakie obietnice czynił i czem groził na wypadek odrzucenia swojej kandydatury.

---

[1]) ...das S. Churf. Durchl. es auch jederzeit erkent, und davor gehalten, dass der selben (Ihrer F. G.) interesse mit der wollfahrt der Evangelischen Stände der Crohn Polen und grossfürstenthums Littawn, worumter sie J. F. Geb. billige, alls eine der vornehmsten seulen und gliedern aestimiret, uffs näheste verbunden.

[2]) Summa der antwort welche S. Churf. Durchl... Seiner furst. Geb. Chr. Radziwill's... abgeschicktem Cammerjunker H. Johann von Ottenhausen gegeben. Custrin 14 czerwca (st. st.) 1632 r.

[3]) List Jana Zawadzkiego do elektora. Wierschi (?) 13 czerwca 1632 r.

Wprawdzie jeden z biskupów miał się wyrazić, że woli głosować na króla Gustawa Adolfa, jak Władysława, tamten bowiem jest jawnym kacerzem, podczas gdy drugi skrytym, a nawet ateuszem. Z wiarogodnego źródła słyszał także Bergmann, który to podaje, iż niektórzy duchowni korespondowali z arcyksięciem Leopoldem, który także miał zamiar starać się o koronę. Ale w rzeczywistości większą była obawa przed Gustawem Adolfem, jak niechęć do Władysława. Coby się stało, gdyby Gustaw Adolf spróbował urzeczywistnić swoje zamiary co do korony polskiej? Postawa dysydentów także dawała im dużo do myślenia. Obudził się w tych ostatnich jakiś zapał i stanowczość (*con gran fervore e risolutione)* w czasie bezkrólewia, który współczesny nuncyusz papieski przeciwstawia tchórzliwości katolików [1]). Te względy i obawa przed Gustawem Adolfem a po części dysydentami, skłaniały partyę katolicką do umiarkowania. Trzeba było poprzestać na królewiczu Władysławie — chociaż większość nie chciała się deklarować przedwcześnie.

Fakt analogiczny zachodził i w obozie dysydentów. Wprawdzie Bergmann zastał w Warszawie niektórych senatorów przychylnych Gustawowi Adolfowi, ale tych było bardzo mało. W Polsce krążyły horologi, przepowiadające, iż Gustaw zostanie cesarzem i królem w Polsce i że pogodzi się ze wszystkimi swymi wrogami [2]), ale były one rozsiane niezręczną ręką Roussel'a. Wręcz przeciwnie, większość szlachty była jak najnieprzychylniej usposobioną dla kandydatury Gustawa Adolfa. Nawet w Wielkopolsce, która miała najwięcej dysydentów a przeto najliczniejszego zastępu zwolenników Gustawa Adolfa należało się tam spodziewać — było powszechne hasło na sejmikach, że za wroga ojczyzny będzie ten uważany, kto wymieni Gustawa Adolfa, jako kandydata na króla. A gdy na jednym z sejmików w województwie sieradzkiem, Jan Baranowski próbował wybadać usposobienie szlachty dla tej kandydatury, napomykając o tem, aby wybrać jednego z obcych królów — został zakrzyczany i byłby rozsiekany, gdyby się był szybko z sejmiku nie ulotnił [3]). Gdy Bergmann przybył na konwokacyę i pytał się ks. Radziwiłła, kto będzie przyszłym królem, odpowiedział mu, że Gustaw z trudnością może godność królewską osiągnąć; *per viam electionis* nie byłoby zbyt dobrze, gdyż będzie za wiele oponentów. Gdyby zaś starał się przemocą napaść na Rzptą, każdy będzie się sprzeciwiał i oponował, gdyż poddać się zwycięzcy byłoby rzeczą i wątpliwą, i nędzną [4]). Dla tego także dysydenci poczęli uważać osobę Władysława za najodpowiedniej-

---

[1]) Theiner. Mon. Pol., t. III., str. 394—5.
[2]) Relacya z Królewca 23 sierpnia 1632 r.
[3]) Piasecki str. 441.
[4]) Relacya Piotra Bergmanna dla elektora doręczona w Johannisburgu 1 sierpnia 1632 r.

szą na króla. O ile zatem z początku bezkrólewia katolicy i dysydenci nie wiedzieli do kogo się udać i za kim iść mają — o tyle teraz w połowie bezkrólewia w czasie konwokacyi obydwie strony skłaniały się ku jednemu i temu samemu celowi, tylko nie chciały zawczasu zamiary swe wydać. Na tem zyskiwał królewicz Władysław, mimo powszechnej i obustronnej niechęci, jaką z początku ku niemu żywiono, szanse jego podniosły się a tem samem nadzieja spokojnego i pomyślnego przebiegu elekcyi.

Najciekawiej przedstawia się teraz stosunek Gustawa Adolfa do kandydatury Władysława. Elektor wysłał poselstwo do Gustawa, stosownie do obietnicy uczynionej poprzednio królewiczowi. Starano się wybadać, czy Gustaw sam myśli o koronie polskiej, czy też za przyznanie mu korony szwedzkiej przez Władysława gotów mu pomódz do uzyskania korony polskiej; czy wejdzie z nim w porozumienie i czy skłonny jest do przyjęcia pośrednictwa Władysława w sprawach Rzeszy. Na większość tych zapytań nie było odpowiedzi. Elektor jednak zauważył, iż Gustaw Adolf bardziej skłonny jest przyznać koronę Władysławowi, jak komu innemu [1]). I co do porozumienia była niejaka nadzieja, jeżeliby się złagodził spór o koronę szwedzką. Gustaw zdawał się być skłonnym do zawarcia traktatów pokojowych z Polską — a nawet pokoju powszechnego w Niemczech, tylko uważał, iż strona przeciwna nie myśli o tem szczerze, że więcej jej zależy na wzmocnieniu sił swoich na wewnątrz i zyskaniu sojuszników i rozstrzygnięciu całej sprawy z bronią w ręku [2]). Władysław nie potrzebował obawiać się Gustawa, gdyż wiedział, jak się wyraził o kandydaturze Leopolda: »Ja i mój ojciec wiedliśmy wojnę z Polską przez lat 30. Co do mnie, to będę drugie tyle popierał wojnę królewicza Władysława, aby Leopolda z Polski wypędzić«. W wielu też innych wypadkach Gustaw jak najprzychylniej o królewiczu się wyrażał [3]). Istotnie też przez cały czas bezkrólewia Gustaw niczem nie dał poznać, aby się o koronę polską ubiegał. Postępowania króla szwedzkiego nie można tłómaczyć platoniczną sympatyą dla królewicza. Jeżeli przed wmięszaniem się do walki w Rzeszy Gustaw nie miał do tego ochoty, to tem mniej teraz, gdy dla geniuszu jego otwierały się o wiele szersze plany. Być może, chociaż nie wiemy tego napewno, iż pewien wpływ wywarł na niego Władysław swoją propozycyą zgody. Walka z Zygmuntem była dla niego częścią walki z całą, jak się wyrażał, ligą papieską, której chodziło o posiadanie brzegów morza Bałtyckiego i która dążyła do

---

[1]) ...So viel hette man auch wolgespüret dem prinzen die Chron weit lieber, als einem anderen würde von ihnen gegönnet werde...

[2]) Instrukcya elektora dla Piotra Bergmanna udającego się w poselstwie do stanów polskich i litewskich na konwokacyę.

[3]) Sekretna relacya Bergmanna: »De persona eligenda«.

zdobycia zarówno Niderlandów, jak Szwecyi tudzież Danii [1]). Teraz Władysław idąc z nim razem, zrywałby dawne węzły sojuszu, zadzierżgnięte przez jego ojca z Austryą, wogóle z partyą katolicką. To przypuszczalnie usposabiało Gustawa przychylniej dla królewicza i niewątpliwie propozycyom jego był chętny.

Dysydenci rychło zmiarkowali ten zwrot w usposobieniu Gustawa Adolfa. Dla nich było to jasnem, że Gustaw sam przed dwoma przeszło laty, gdy bawił w Stralsundzie, mógł wyrazić chęć przyjęcia korony polskiej, teraz zaś, gdy spodziewa się czegoś większego, plan ten zarzucił. Zawadzki pisał o tem do swoich przyjaciół, jako o pewnej wiadomości, którą słyszał z ust jednego z dworzan elektora brandenburskiego, iż Gustaw wcale nie zamierza starać się o koronę polską, lecz wspólnie z elektorem pragnął pomagać w osiągnięciu jej Władysławowi. W rozmowie z Bergmannem zapytał go wojewoda bełzki, czy to prawda. Na co Bergmann odpowiedział, iż o takiem oświadczeniu się króla nic nie słyszał. Co się tyczy elektora, to życzy korony Władysławowi *caeteris paribus*, ale byłoby przedwcześnie co do tego się oświadczać. Ta odpowiedź podobała się wojewodzie; powiedział, że i on ma nadzieję, że królem zostanie Władysław, ale nie trzeba go upewniać przed czasem i zupełnie wybijać mu z głowy obawy przed Gustawem. W tym też duchu zdawał Bergmann sprawę królewiczowi na pierwszej swojej audyencyi w Warszawie; powiedział on, że wprawdzie Gustaw nie chce wyraźnie oświadczyć się co do swych pretensyj do korony — można się nawet spodziewać, iż ubiegać się o nią nie będzie — ale stanowczego zapewnienia w tej sprawie królewiczowi dać nie może.

Jakie mieli w tem zamiary dysydenci, to rzecz jasna. Radziwiłł wręcz oświadczył Bergmannowi, że królewicz Władysław wydaje się najodpowiedniejszym na króla, ale trzeba z nim wprzódy zawrzeć dobre warunki (*Capitulation*). Tak więc chodziło im naprzód o uzyskanie zgody co do swoich żądań, zanim poparcie swe ofiarują Władysławowi. Powtóre życzyli sobie, aby się wydawało, że to oni pomogli królewiczowi Władysławowi do osiągnięcia korony, a nie katolicy — przez co tem więcej mogli go sobie zobowiązać. Chcieli nawet Gustawa Adolfa nakłonić do pomagania Władysławowi, jednak z warunkiem, iż rozszerzy wolności ewangelikom. Gustaw trzymałby ich zawsze jakby pod swoją opieką (*in seinem patrocinio*), a powagą swoją u Władysława, broniłby ich i ochraniał [2]).

Tak więc i dysydenci przekonani byli, że Gustaw Adolf od kandydatury odstępuje a raczej nie podnosi jej wcale. Sprawy tej

---

[1]) Tak się wyraził Gustaw Adolf w liście do króla duńskiego 21 października 1627 r. Geijer t. III. str. 143.

[2]) Sekretna relacya Bergmanna j. w.

jednak nie wypuszczali z rąk swoich, ażeby ją mieć i używać jako broni, jako środka w dopięciu swoich zamierzonych celów u Władysława. Widzimy zatem, że dysydenci osobę Gustawa wciągali w swojej grze w podwójną rachubę. Raz trzymali ją, jako postrach a poniekąd przymus na Władysława do poddania się ich żądaniom co do rozszerzenia swoich swobód religijnych i politycznych. Powtóre, chcieli wciągnąć w swoje plany samego Gustawa Adolfa — uzyskać od niego poparcie dla kandydatury Władysława a to miało naturalnie wywrzeć nań wpływ moralny, jak najbardziej zgodny z ich interesami religijnymi i politycznymi.

To jest klucz do zrozumienia, dlaczego teraz dysydenci idą ręka w rękę z Władysławem i naodwrót; nic tak nie tłómaczy tej skłonności, tej gotowości do ustępstw Władysława względem nich, jak nadzieja, że za pośrednictwem ich, jak i elektora brandenburskiego dopnie zamierzonego porozumienia z Gustawem Adolfem. Stąd nieustanne konszachty Bergmanna w czasie konwokacyi z przywódcami dysydentów, jak Radziwiłłem i Leszczyńskim, tudzież audyencye u królewicza. Na kandydaturę jego elektor się zgadzał. Chodziło mu jednak o to, czy królewicz zgodzi się na wszystkie jego *praeiudicia i gravamina* i czy nie będzie nadużywał później swych praw wobec elektora. Dysydenci, zwłaszcza Radziwiłł zapewniali, iż królewicz jest jak najżyczliwiej dla elektora usposobiony. W tym też kierunku niewątpliwie starali się dysydenci usposobić Władysława i doprowadzić do zupełnego porozumienia między nim a elektorem, podobnie jak i z Gustawem Adolfem.

Dysydenci wraz z elektorem brandenburskim myśleli i pracowali wspólnie nad sojuszem Władysława z Gustawem Adolfem. Że jedynym najwłaściwszym sposobem do osiągnięcia tego celu było zrzeczenie się jego praw do korony szwedzkiej na rzecz Gustawa Adolfa, o tem nie można było wątpić. Czy Władysław do tego ustępstwa był skłonny? Trzeba przypuszczać, iż myśląc o porozumieniu się z Gustawem Adolfem nie wahał się przyznać mu prawa do korony szwedzkiej; co najwyżej zamierzał chyba uczynić jakieś zastrzeżenia co do praw swoich lub na korzyść własnego spadkobierstwa tej korony. Dziedziczne prawo do korony szwedzkiej przekazane mu przez ojca na łożu śmierci, albo, jak niektórzy mówili, — testamentem, uważał Władysław zawsze za silny atut w swoich rękach i na nim opierał w części swe plany porozumienia z Gustawem Adolfem. Z drugiej strony nawet król szwedzki nie mógł nie przyznać, iż Władysław miał prawo legalne do korony szwedzkiej i bez rekompenzaty w zamian za nią nie pozostawiłby go Gustaw Adolf.

Władysław przyjął tytuł króla szwedzkiego zaraz po śmierci ojca. Do wojewody bełzkiego pisał, dlaczego to uczynił, oświadczając, iż gotów się go zrzec, jeżeli tego interes Rzptej będzie wyma-

gał [1]). Swoją drogą co do praw do tego tytułu był drażliwy. Kiedy na audyencyi u królewicza Bergmann wręczał mu swoje listy uwierzytelniające i tłómaczył brak tytułu króla szwedzkiego tem, iż elektor nie otrzymał od królewicza dotąd nigdy pisma urzędowego z tym tytułem, Władysław wspomniał, iż list podobny wysłał z zawiadomieniem o śmierci ojca, ale dodał z przekąsem, że zapewne woły ciągnęły pocztę.

Inna rzecz w Polsce. Dla Polski dziedziczne prawo Władysława do korony szwedzkiej nie miało żadnej wartości. Owszem, nieraz już podnosiły się sarkania, iż dla niego za przeszłego panowania Polska straciła Prusy i Inflanty, i że królewicz lepiej byłby zrobił, gdyby się go był zrzekł. Tak jeszcze w maju na pewnej radzie senatu wojewoda wileński Lew Sapieha i wojewoda brzeski Jakób Szczawiński wyrazili życzenie, aby królewicz powstrzymał się od używania tytułu króla szwedzkiego i w. księcia moskiewskiego. Skoro nieboszczyk król Zygmunt, mając siły i władzę królewską, nie mógł utrzymać się przy nich, to tem mniej Władysław. Życzylibyśmy mu bardzo tego, gdyby był choć pozór możliwości. Radził więc Lew Sapieha, aby wysłać poselstwo od senatu do królewicza z prośbą, aby się powstrzymał od używania tego tytułu, gdyż Gustaw skoro się o tem dowie, będzie tem nieprzyjaźniej względem niego usposobiony. Na to odpowiedział hetman w. kor. iż ten wzgląd jest mniejszej wagi (*minoris momenti*), i że król Gustaw, sam to rozumie, że Władysław postępuje prawnie. Poco mamy wysyłać do królewicza prymasa i senatorów z prośbą, aby tytuł ten na pewien czas odłożył, skoro królewicz używa go z umiarkowaniem (*modice*). Dodał też, iż dwór daje mu ten tytuł *passim*, nie przywiązując doń wielkiej wagi, że królewicz stara się pozyskać sobie serca wszystkich, z braćmi żyje w zgodzie, starych sług ojcowskich stara się do siebie przyciągnąć, młodzi królewicze szanują go jak ojca, w tem przekonaniu, że na niego ta korona jest przeniesiona [2]).

Na każdy sposób król Gustaw Adolf nie mógł mieć pretensyi do Rzpltej o to, iż królewicz Władysław używa tytułu króla szwedzkiego, zanim nie osiadł na tronie ojca swego w Polsce. Ta okoliczność, iż nie żyje już Zygmunt III, któremu nikt nie mógł odmówić prawa do korony szwedzkiej i który jej się zrzekać nie mógł dla samej zasady legitymizmu, ułatwiała przyspieszenia traktatu pokoju wieczystego między Polską a Szwecyą. Albowiem wiadomo było, iż tytuł ten czyli pretensye Zygmunta III do korony szwedzkiej były jedną z największych zawad do zawar-

---

[1]) Hauptrelation des H. Bergmanns, wie zu Johannisburg S. Churf. Durchl. eingegeben worden (1 sierpnia 1632 r.).

[2]) Relation von ietzigen Zustandt im Königreich Pohlen (od 16 do 28 maja 1633 r.). Relacye Lebzeltera z Wiednia fsc. 8240 str. 108 b. sq.

cia tego pokoju. Teraz ta zawada była usuniętą. Bezkrólewie wydawało się przeto najodpowiedniejszą porą do ubicia całej tej sprawy. Nawet i ze strony polskiej odzywały się głosy, aby nie przystępować wprzód do elekcyi i do koronacyi, zanim się nie usunie z drogi przynajmniej głównych przeszkód, które były nie do zwalczenia za nieboszczyka króla [1]). — a przeszkodą tą było nic innego, jak tytuł króla szwedzkiego, któregoby się Władysław zrzekł z chwilą uzyskania korony polskiej.

Leżało to jeszcze bardziej w interesie Gustawa, jak Rzpltej. Dla tego też i on był zdania, że należałoby rozpocząć rokowania o pokój w czasie bezkrólewia, gdyż wtedy traktaty będą najłatwiejsze i najpewniejsze [2]). W tym też kierunku czynił Bergmann zabiegi w imieniu elektora, jako jednego z pośredników w czasie konwokacyi u stanów. Przedstawiał on potęgę Gustawa Adolfa, który dzierży w swych rękach porty na morzu Bałtyckiem i może bardzo zaszkodzić interesom Rzpltej; gdy tymczasem teraz wobec trudności w Rzeszy łatwo się zgodzi na korzystne warunki pokoju.

Usposobienie dla traktatów pokojowych było w Polsce bez wątpienia bardzo przychylne — zarówno pośród dysydentów, jak i katolików. Prawie wszyscy senatorowie z prymasem na czele, u których Bergmann w tej sprawie zasięgał zdania, oświadczyli się za tem, iż byłoby najlepiej jeszcze przed koronacyą zacząć je i skończyć. Ale trudności były nie do przezwyciężenia. Naprzód brakowało posłów króla francuskiego i angielskiego — a także i kanclerz Oxenstjerna bawił zbyt daleko, aby mógł przybyć na czas. Wypadało więc je odłożyć na później, po elekcyi. Na każdy sposób myślano w Polsce o ułożeniu warunków, które będą uznane za konieczne i przedłożeniu ich do przyjęcia i potwierdzenia przyszłemu królowi. Tego zdania był Lew Sapieha. Wojewoda zaś bełski chciał nietylko ułożyć warunki, do których przyjęcia przyszły król byłby zobowiązany, ale i przedłożyć ich przedtem Gustawowi. Gdy to Bergmann w rozmowie zaproponował kanclerzowi, otrzymał bardzo roztropną odpowiedź. iż trudno byłoby je utrzymać w tajemnicy, a to naturalnie zaszkodziłoby Rzpltej w czasie przyszłych traktatów, gdyż Gustaw wyzyskałby je na swoją korzyść.

W tym więc duchu wypadła odpowiedź dana elektorowi. Stany były za przyspieszeniem traktatów. Tylko co do miejsca panowała różnica zdań. Nie mogło być ono zbyt oddalone, jak naprzykład Hamburg albo Lubeka. Kanclerz proponował jakąś miejscowość na Śląsku, wojewoda bełski — Frankfurt nad Odrą. Stany zaproponowały miejsce zjazdu gdzieś w Prusach książęcych albo królewskich.

---

[1]) List Jana Zawadzkiego, sekretarza król. i starosty świeckiego do elektora z d. 5 maja 1632 r. por. Relacya Piotra Bergmana z Warszawy 20 czerwca 1632 r.

[2]) Instrukcya elektora dla Piotra Bergmanna.

Ta więc część poselstwa Bergmanna wypadła pomyślnie[1]). Stany dziękowały elektorowi za jego trudy i usilne zabiegi w sprawie zawarcia pokoju między Polską a Szwecyą.

Usposobienie dla pośrednictwa elektora było wogóle przychylne. Lew Sapieha zauważył, iż nikt tak nie nadaje się do tego pośrednictwa, jak elektor brandenburski, ponieważ królowie francuski i angielski, jak się okazuje, wcale o to nie dbają. Niektórzy przypuszczali jednak, iż elektor brandenburski bardziej sprzyja Gustawowi Adolfowi, jak Rzpltej. Jednak te obawy były całkiem płonne. Wprawdzie dotychczasowy stosunek elektora do Gustawa Adolfa rzucał cień na jego wierność i lojalność dla Rzpltej. Elektor w istocie przychylał się zawsze ku stronie silniejszej. Ale z drugiej strony musimy też przyznać, iż elektor obawiał się zamiarów Gustawa Adolfa, chcącego zatrzymać w swych rękach porty i brzegi morza Bałtyckiego[2]). Więcej elektorowi zależało na przywróceniu dawnego *status quo*, w któremby powróciły do niego zajęte przez Gustawa Adolfa porty. Bergmann przeto nie rozmijał się z prawdą, mówiąc, iż należałoby się raczej obawiać, iż elektor skłonniejszym jest względem Rzpltej, jak Gustaw Adolf. Lew Sapieha zdanie to potwierdził[3]).

Inaczej się rzecz miała z resztą żądań elektora, które Bergmann przedłożył stanom Rzpltej na konwokacyi. Obok licznych skarg, grawaminów i pretensyj, najważniejszem było domaganie się przez elektora prawa głosu przy elekcyi (*jus suffragii*). W tej więc sprawie porozumiewał się Bergmann z dysydentami i zasięgał ich wskazówek co do sposobu postępowania i audyencyi u stanów. Dysydenci gotowi mu byli w tem niewątpliwie szczerze pomagać. Żądanie elektora, aby uzyskał prawo głosu, było w zupełnej zgodzie z życzeniami ich, aby elektor przybył do Warszawy i żądania ich poparł swoim wpływem. Krzysztof Radziwiłł uznał więc postulaty elektora jako bardzo słuszne i konieczne (*sehr billig und nöthig*) i radził zaproponować je stanom. On też jak i wojewoda bełski gotowi mu byli dostarczyć wszelkiej pomocy w tej sprawie. Przedewszystkiem zaś przypominali, iż powinien mieć Władysława i jego »mignon« Kazanowskiego szczególnie na oku.

Bergmann z tem żądaniem udawał się także do innych senatorów. Najżyczliwiej usposobieni dla elektora, jak Lew Sapieha, nie chcieli wprawdzie odmawiać wręcz poparcia, ale odsyłali po odpowiedź wprost do stanów. Większość jednak uznawała pretensye elektora co do prawa głosu za nieuzasadnione i niezgodne z przyjętym zwyczajem na poprzednich elekcyach. Taką mniej więcej

---

[1]) Urzędową audyencyę miał on 3 lipca w senacie — 7-go zaś w izbie poselskiej.

[2]) Gindely. Der 30 jährige Krieg cz. II, str. 208—9.

[3]) Bergmanna główna relacya z poselstwa na konwokacyę 1 sierpnia 1632 r.

odpowiedź odbierał Bergmann wszędzie. Prymas do żądania elektora wręcz nie przychylał się; list podkanclerzego był kwaśny (*mürrisch*). Najbardziej charakterystyczną była rozmowa, jaką miał Bergmann w tej sprawie z Jerzym Ossolińskim, nowomianowanym podskarbim i jednym z wybitniejszych podówczas członków izby poselskiej. Oświadczył on, iż ta sprawa bez króla nie może być załatwioną, gdyż Rzplta nie ma do tego władzy w czasie bezkrólewia. To się wydało bardzo dziwnem Bergmannowi. Dla dyplomaty dobrze obznajomionego z usposobieniem ówczesnego społeczeństwa w Polsce, mowa ta wydawała się przeciwną wolności osobistej szlachty i wolności ojczyzny (*ein discurs contra propriam et patriae libertatem*). Inni obywatele bronili zasady, która wydawała mu się zdrowszą (*saniorem sententiam*), iż w czasie bezkrólewia prawa króla są w rękach szlachty (*in interregno iura majestatis esse penes nobilitatem*). W tym też duchu przekonywał podskarbiego — ale Ossoliński nie zmienił swego zapatrywania. »Zdaje się — pisze Bergmann — że ten szlachcic obok kilku innych, jak Sobieski, Ostroróg, silnie trzymają się partyi duchowieństwa, jako że jej zamiarów przez cały czas konwokacyi usilnie bronią i za nie walczą *tanquam pro aris et focis* i przeszkadzają dobrym planom innych, zwłaszcza ewangelików«[1]).

Królewicz Władysław, o którego przychylność Bergmann idąc za radą Radziwiłła i Leszczyńskiego, usilnie się starał, także nie posuwał się zadaleko w swych przyrzeczeniach względem elektora. Wprawdzie Bergmann żadnych obietnic co do głosu elektora na wypadek przypuszczenia go do elekcyi nie dawał, mówił tylko, że *votum* elektora nie wypadłoby na niekorzyść królewicza etc. Na to też Władysław oświadczył się z czułą przyjaźnią dla elektora, obiecywał, że nie tylko on, ale i inni monarchowie będą zadowoleni, gdy uzyska koronę, ale także przyrzeczeniami ani wyraźnemi obietnicami na przyszłość nie chciał się krępować. Co do grawaminów elektora, to kazał je sobie przedłożyć na piśmie, co do *votum* wyrażał swoją wątpliwość. Zresztą zasłaniał się tem, że jest osobą niemą w całej tej komedyi.

Ponieważ Bergmann zauważył przeszkodę do uznania prawa głosu elektora w tem, iż niektórzy obawiają się, że chce głosować na Gustawa Adolfa, przeto gotów był dać przyrzeczenie, iż w razie przyznania elektorowi prawa głosu przez stany, on na teraz nie zrobi z tego prawa żadnego użytku, byle tylko na przyszłość prawo to dla siebie mógł zachować.

---

[1]) Es scheint, dass derselbe Edelmann nebst etzlichen anderen als Sobiesky, Ostrorog etc. der Geistlichen faction hart anhiengen, als derer intentiones undt consilia sie die gantze Zeit der convocation ufs stackste defendiret, undt davor tanquam pro aris et focis gestritten, undt andere gute consilia insonderheit der Evangelischen gehindert haben...

W Polsce istotnie myślano, iż elektor żąda głosu poto, aby poprzeć Gustawa Adolfa. Obawiano się przybycia elektora na elekcyę z wielkiem wojskiem. Postawa, jaką zajął na granicy w czasie konwokacyi, niepokoiła katolików. Biskup przemyski Firlej ostrzegał (25 czerwca) stany, aby nie przeoczać postępowania elektora w Prusach, skąd wciąż donoszono o wojennych przygotowaniach[1]). Domagano się, aby elektor swoje żądania co do *ius suffragii* usunął oraz cofnął wojsko swoje od granicy. W izbie sejmowej przyszło nawet z tego powodu do wyraźnego skandalu. Gdy poseł elektora odprawiał ową misyę, szlachta poczęła krzyczeć i żądała odmówienia mu głosu[2]).

Nic więc dziwnego, iż mimo usiłowań dysydentów, którzy żądaniom elektora a zwłaszcza co do *ius suffragii* byli całkiem przychylni, stany uchyliły jego prośbę. Odpowiedź odmowną motywowano tem, iż bez króla nie mogą stany tak ważnej sprawy rozstrzygać. Co do grawaminów dziwiono się zwłaszcza temu, jak elektor może żądać darowania mu zaległej pensyi tytułem kosztów na utrzymanie załogi w Malborgu. Owszem, żądano, aby dłużej nie zwlekał w wypłacie zarówno 30 tys. zł. zaległej za rok przeszły pensyi, jak i 60 tys za rok obecny. W jednym tylko punkcie zdołał Radziwiłł, marszałek konwokacyi, złagodzić odmowę. Mianowicie, przeprowadził to, iż odpowiedź odmowną stanów nie wręczono posłowi elektora na piśmie, tylko przeczytano; miała przeto mniejsze znaczenie, jako akt prawny urzędowy i nie mogła być podstawą do uchylenia raz na zawsze wszelkich roszczeń i pretensyj tegoż elektora. Również i co do grawaminów jego oraz eksorbitancyj zostawiono mu furtkę do powtórnego upominania się o nie. W artykule bowiem konfederacyi, gdzie była mowa o eksorbitancyach i grawaminach ogólnie, Prusy zostały wyraźnie wymienione, mimo iż inne prowincye i ziemie Rzpltej zostały pominięte, aby elektor miał sposobność, gdy zajdzie potrzeba, udać się w tej sprawie powtórnie do Rzpltej. Mimo wreszcie natarczywych domagań się w czasie konwokacyi, aby elektor wypłacił zaległą pensyę, i mimo żądania w odpowiedzi dla posła, artykuł zobowiązujący go do tego brzmiał tak dwuznacznie, iż nie zawierał nawet terminu zwrotu tych sum.

Uchylenie żądania elektora co do prawa głosu było wręcz szkodliwe interesom dysydentów. Przypomnijmy sobie, iż dotąd

---

[1]) Dyaryusz konwokacyi od 22. czerwca do 16 lipca 1632.

[2]) An pacifici et benevoli animi signum id fuerat, quod Secretarium Serm. Electoris Collegio Nunciorum excludere et vociferationibus exagitare voluerint? pisze Radziwiłł w memoryale podanym elektorowi na zjeździe w Johannisburgu 6 sierpnia 1632 r. p. t. Des Fürsten Chr. Radziwill's übergebens bedencken in puncto religionis. Podaje ten fakt także Piasecki str. 452, ale odnosi go do sejmu elekcyjnego. Jestto rzeczywista pomyłka. Tłómaczy się ona tem, iż Piasecki pisał swą kronikę w parę lat później i ten fakt podał z pamięci, mylnie odnosząc go do innego czasu.

elektor w swych domaganiach szedł głównie za wskazówkami dysydentów. Wojewoda bełski i Radziwiłł nieustannie doradzali elektorowi, aby w czasie elekcyi zbliżył się ze swemi wojskami i dawał szczególne baczenie na wypadki.

Postawa, jaką dysydenci zajęli w czasie konwokacyi była nader silna. Przedewszystkiem liczba posłów z ich grona była o wiele wyższa, jak w czasie poprzedniego sejmu[1]). Powtóre wybrali marszałkiem Krzysztofa Radziwiłła. Wreszcie trzymali się silnie ze sobą razem oraz zawarli sojusz z dysunitami i głosili, że się nie rozłączą, póki wszystkich swych postulatów nie przeprowadzą. Prawie wszystkie województwa dały w instrukcyach swoim posłom zlecenie, aby swoboda religijna była zabezpieczona. Ten więc artykuł wszedł z łatwością do kaptura z słabą tylko opozycyą duchowieństwa, które się jak zwykle w takich wypadkach zastrzegało: *salvis juribus Ecclesiae Catholicae Romanae*[2]).

Ale dysydenci w swoich żądaniach szli jeszcze dalej. Życzyli sobie jak najszerszego zabezpieczenia swych praw (*plenissimam securitatem*). Co to miało oznaczać i dlaczego dysydenci nie poprzestawali na tym artykule, który wszedł do kaptura za dwóch ostatnich elekcyj? Dysydenci niewątpliwie pragnęli wrócić do tego samego stanowiska w Rzpltej, jakie zajmowali przed Zygmuntem III i żądali w tym celu prawnego zabezpieczenia swobody wiary w całej rozciągłości. A więc, aby między katolikami a dysydentami była zupełna równość, tak w wykonywaniu obrządków religijnych *exercitii religionis*, jak i w dostępowaniu urzędów oraz uciekaniu się do sądów. Przeciwko temu katolicy protestowali, a więc nie chcieli, aby była bezwzględna swoboda wiary dla wszystkiej szlachty i osób niższego stanu, aby mogli budować kościoły wszędzie *ubivis*, *etiam in ipsa aula regia*, aby mieli dostęp do starostw, aby w sprawach religijnych nie byli wzywani przed sądy biskupie. Duchowieństwo i partya katolicka zgadzała się na *exercitium religionis* publiczne w tych tylko miastach, gdzie dotąd było dysydentom dozwolone, z wykluczeniem tych wszystkich miast, z których dysydenci byli już wypędzeni. Na konwokacyi spór katolików i dysydentów nie został rozstrzygnięty, ale załagodzony. Mianowicie powierzono specyalnej komisyi zbadać ich pretensye i żądania[3]).

Tak więc ostateczne rozstrzygnięcie tej sprawy zostało odłożone do sejmu elekcyjnego. Dysydenci zamierzali teraz uzyskać, jeśli nie wszystko, to przynajmniej znaczną część swoich postulatów w czasie elekcyi. Nie mogąc przeforsować swych żądań w czasie konwokacyi, chcieli przynajmniej zdobyć grunt dla przy-

---

[1]) Theiner t. III, str. 395.

[2]) Relacya z Warszawy 2 lipca 1632 r. w Relacyach Lebzeltera loc. 8240 str. 289.

[3]) Piasecki str. 443.

szłego działania. Niemało też zawdzięczała ich sprawa Krzysztofowi Radziwiłłowi, marszałkowi sejmu, który kierował wszystkiemi obradami i uchwałami tak, aby jak najkorzystniej złożyły się na przyszłość dla dysydentów.

Chodziło im przedewszystkiem o osłabienie władzy prymasa, jako głowy Rzpltej w czasie bezkrólewia i zarazem przywódcy katolików, tudzież marszałka przyszłego sejmu na wypadek, gdyby nie mógł być powtórnie obrany Radziwiłł, ani też kto inny z pośród dysydentów. W tym więc celu uchwalono w kapturze rzecz niesłychaną dotychczas, aby prymasowi do boku wyznaczyć deputowanych z pośród senatorów i szlachty, aby ograniczyć jego władzę. Do deputacyi tej mieli wejść i ewangelicy, tak, iż prymas nic nie mógł uczynić na ich szkodę — a cokolwiek by uczynił, zostałoby obalone. Podobną deputacyę przydano i marszałkowi przyszłego sejmu, który sprawował wyłączną i nieograniczoną władzę sądowniczą w czasie kadencyi sejmowej. Mógł więc także wywierać swój wpływ na niekorzyść dysydentów. Wreszcie stany zezwoliły hetmanom werbować wojsko dla obrony Rzpltej; tego zezwolenia mógł oczywiście użyć Radziwiłł, jako hetman lit. na zebranie jak najliczniejszych sił dla celów swego stronnictwa, o ileby miał na to środki pieniężne.

Były to drogi prawne, do których uciekali się dysydenci, dla ułatwienia sobie zadań w czasie przyszłej elekcyi. Czy one wystarczą? — to pytanie stawiali sobie dysydenci i musieli, policzywszy się ze swojemi siłami, odpowiedzieć na nie przecząco. Ale i na ten wypadek przygotowywali się dysydenci i zdecydowani byli, jeżeli droga prawna *via iuris* będzie dla nich zamknięta, uciec się do ostatecznego środka, do przemocy i gwałtu czyli do *via facti*. W tym więc wypadku oglądali się za potężnymi sojusznikami — a tymi mogli być nie kto inny, tylko wrogowie Rzpltej.

Nadzieje swe pokładali naprzód w pomocy Kozaków, których siły może nazbyt wygórowanie obliczali na 60 tys. Czy i o ile Kozacy skłonni byli do tej pomocy — to rzecz wątpliwa. Wszakże już pod koniec konwokacyi sojusz ewangelików z dysunitami się rozprzęgł, na co ostatni bardzo sarkali.

Jedyną jednak nadzieję pokładali dysydenci w elektorze brandenburskim a za pośrednictwem jego w Gustawie Adolfie. Starano się, aby pomoc elektora a więc przybycie zbrojne na elekcyę, miało jak najwięcej pozorów prawa. Akt więc konfederacyi generalnej stanów został tak ułożony, ażeby na wszelki wypadek elektor znalazł w nim powód do wytłómaczenia się ze swego przybycia na sejm wraz z siłą zbrojną.

W wyszczególnieniu stanów Rzpltej na początku aktu konfederacyi zawierało się wyrażenie »i inne«, co można było rozumieć, że elektor i miasta pruskie do nich należą.

Gdzie była mowa o naznaczeniu dnia elekcyi, dołączono wezwanie do wszystkich stanów i miast mających prawo do tego wyboru. Ponieważ zaś elektor to prawo posiada — jak sam utrzymywał i jak chcieli dysydenci — chociaż z niego nie korzysta, może więc, gdy zechce, wziąć to wezwanie do siebie.

Wreszcie artykuł, zabraniający przybywać na elekcyę z orszakiem wojsk cudzoziemskich, nie mógł się stosować do sił zbrojnych elektora, ponieważ te stanowią mieszkańcy Prus a więc obywatele Rzpltej, a nie cudzoziemcy[1]). Tą kazuistyką prawną chcieli się dysydenci zasłonić wobec przeciwników na wypadek, gdyby im zarzucano gwałcenie praw Rzpltej. Tak więc co do samego elektora istniał szczery zamiar ściągnięcia go na elekcyę wraz z posiłkami wojennymi i uzyskania od niego poparcia dla interesów religijnych i politycznych. Co do Gustawa Adolfa wątpliwą jest rzeczą, aby dysydenci bardzo na jego czynną, orężną pomoc liczyli. Chodziło im więcej o zastraszenie tą pomocą katolików. Tak w czasie konwokacyi dysydenci nie szczędzili pogróżek katolikom, że się połączą z ewangelikami w Rzeszy i że przyjdzie im z pomocą Gustaw Adolf, który ma swe wojska rozłożone w pobliżu granic Rzpltej w Marchii brandenburskiej, na Śląsku i na Pomorzu[2]). W każdym razie na jakąś pomoc czynną zarówno ze strony Kozaków, jak i Gustawa Adolfa liczyli. Parę tysięcy Kozaków chcieli mieć w pobliżu na wszelki wypadek w czasie elekcyi, chociaż, być może, udałoby im się bez ich pomocy obejść. Co do Gustawa Adolfa pragnęli, aby przynajmniej jaką małą armię, którą trzymał w garnizonach w Prusach, wyprowadził w pole, aby tem nastraszyć katolików. Wreszcie po długiem trzymaniu tych planów w tajemnicy, zwrócił się Radziwiłł wprost z zapytaniem do Bergmanna, co elektor zechce uczynić, jeżeli ewangelicy będą zmuszeni próbować czegoś siłą oręża (*vi armata tentirent*). Bergmann odpowiedział, iż niema wprawdzie co do tego żadnego mandatu od swego pana, ale przypuszcza, że elektor mógłby i chciałby coś zrobić[3]). Pieniędzy ma niewiele, ale ma gotowe wojsko, albo może je mieć, gdy zechce. Na to książę zauważył, iż na wojsko też są potrzebne pieniądze. Bergmann odpowiedział na to, że elektor musiałby się i o to postarać. Z odpowiedzi tej Radziwiłł był całkiem zadowolony[4]). Radziwiłł badał pierwszy grunt dla propozycyj u elektora, gdy tymczasem wojewoda bełski podał i rozwinął naprzód cały plan.

Na wypadek, gdyby elektor miał przybyć na elekcyę powinien przywieść ze sobą tylko 1000 żołnierzy, co się nikomu nie

---

[1]) Confoederationis Generalis extractum aliquot articulorum, qui statum et interessa Sermi Electoris concernunt.

[2]) Piasecki. Chronica str. 443

[3]) ....allein ich vermeinte, sie (elektor) könte und würde etwas thun...

[4]) Bergmanna sekretna relacya: Religio.

wyda podejrzanem, gdyż nie jeden możny pan przyprowadza ze sobą o wiele więcej; resztę powinien na wszelki wypadek trzymać w Prusach w pogotowiu a parę kompanij odda na jakiś czas swoim przyjaciołom w Koronie, od których łatwo może ich odebrać każdego czasu. W trakcie sejmu elektor powinien trzymać się z wojskiem na samej granicy Rzpltej i dawać poznać, że na żądanie uda się osobiście na elekcyę. Powinien wreszcie postarać się o to, aby jakaś mała armia szwedzka wyruszyła w pole dla nastraszenia katolików[1]).

Były to propozycye już o wiele wyraźniejsze aniżeli te, które w czerwcu listownie Radziwiłł komunikował elektorowi. Obie strony musiały przeto wejść w bliższe ze sobą porozumienie, jak tego się domagał w swoim czasie Radziwiłł. Teraz więc po skończonej konwokacyi mógł przyjść do skutku ów zjazd, na który w zasadzie zgodzono się jeszcze w czerwcu. Teraz elektor pierwszy za pośrednictwem Bergmanna wyraził zamiar zjazdu, a Radziwiłł przyjął go skwapliwie[2]).

Nastąpiła bardzo żywa wymiana listów w tej sprawie. Wreszcie, co do miejsca wybrano Johannisburg (Jansbork) na pograniczu Prus i Polski. Co do terminu naznaczono pierwotnie 4-y sierpnia, później 5-y. W istocie zjechano się dopiero 6 sierpnia i zjazd dłużej nie trwał, jak 2 dni, gdyż Radziwiłł musiał się spieszyć, aby zdążyć do domu na sejmiki, rozpoczynające się 13 sierpnia[3]). Zjazd był z pewnością w tajemnicy obmyślany i przeprowadzony, chociaż pogłoski o nim musiały się przedrzeć do ogółu[4]). Z przywódców dysydentów, był na nim sam Radziwiłł wraz z zaufanym swym sługą i poplecznikiem Piotrem Kochlewskim burgrabią Kiejdan *(capitaneo Keitanensi)*. Wojewoda bełski był na nim nieobecny z niewiadomych nam powodów. Prawdopodobnie przeszkodził mu urząd, włożony na niego w czasie przeszłego sejmu, który nie pozwalał mu długo być nieobecnym w Warszawie[5]).

Na zjeździe tym przedłożył Radziwiłł elektorowi dwa memoryały; jeden dotyczący specyalnie interesów religijnych dysydentów, oraz wyciąg z uchwał konfederacyi generalnej (kaptura), do-

---

[1]) Bergmanna sekretna relacya »De voto et suffragio in electione«.

[2]) . . . rerum et temporum conditio intimam inter nos de bono communi consiliorum communicationem exposcere videtur... List Radziwiłła do elektora, Zabłudów 28 lipca 1632.

[3]) Cała korespondencya, jak i akta do tego zjazdu zawarte są w fascyt kule p. t. »Tractata H. Radziwill's bei Seiner Churf. Durchl. zur Johansburg«.

[4]) Relacya z Królewca 23 sierpnia 1632 r. Relacye Lebzeltera j. w. str. 356.

[5]) Tem później tłómaczy, dlatczego nie może pospieszyć na żądanie elektora na zjazd wcześniej jak przed 21 września i to gdzieś na granicy. Lis do elektora. Radzymin 5 września 1632 r.

tyczący interesów elektora. Na to elektor dał Radziwiłłowi po porozumieniu się ze swoją radą odpowiedź, którą Kochlewski przeniósł na papier. Ważniejsze punkta były omawiane na ustnej konferencyi z Radziwiłłem, poczem elektor dał drugą odpowiedź na piśmie. Na ostatek Radziwiłł dał jeszcze elektorowi pewne pisemne wyjaśnienie.

Memoryał Radziwiłła tłómaczy naprzód, jaki sobie cel założyli dysydenci na poprzedniej konwokacyi. Ponieważ nie mogli dopiąć tego, co uznali za najlepsze i najzbawienniejsze, przeto rzeczą ich było przynajmniej uchylić to, co jeszcze bardziej by im zaszkodziło, przygotować drogę do nowej elekcyi i przedłożyć przed *forum publicum* skargi i eksorbitancye szlachty wraz ze środkami do ich poprawy. Chociaż im samym mogłoby to się wydawać nic nieznaczące, ile jednak kosztowało pracy i zabiegów, to mogą przyznać tylko ci, którym jest dobrze znany stan Rzpltej i sposób sejmowania podatniejszy do obalenia, jak do stanowienia uchwał (*modus comitiorum evertendis, quam constituendis consiliis aptior*). Lecz o ile z tego upadku ducha, który się znalazł u przeciwników w czasie ubiegłej konwokacyi, wnioskować można, na tem dysydenci pokładają nadzieję i to ich napawa ufnością, że napędzili im teraz strachu i niepokoju.

O co chodzi dysydentom, to wyłuszczają elektorowi w 6 punktach, w formie zapytań postawionych, i na każdy żądają od elektora rady i odpowiedzi.

Naprzód, jak ratować kościół ewangelicki w Rzpltej (*ad salvandas Ecclesiae Evangelicae in hoc regno reliquias*), liczba krzywd bowiem, które ponoszą od katolików ludzie wszystkich stanów wyznania augsburskiego, jak i reformowanego, czy to drogą prawa czy też gwałtu, jest olbrzymia.

Drugie pytanie dotyczy praw i swobód Rzpltej, które rzekomo są zachwiane.

Trzecie — wojny ze Szwecyą, tudzież zabezpieczenia się od niej, w czem leży interes zarówno elektora, jak ziem pruskich i Litwy.

Czwarte — wojny moskiewskiej, której Rzplta, zawarłszy pokój ze Szwecyą, odrazu mogłaby się pozbyć.

Punkt piąty jest niezmiernie ważny i ciekawy. Radziwiłł proponuje elektorowi zastanowić się, co wypadałoby zrobić na korzyść potomstwa nieboszczyka króla, do jakich uciec się środków, tudzież planów, przy pomocy których możnaby tę sprawę traktować[1]). Chociaż nieboszczyk król — mówi Radziwiłł — myślał niepomiernie nad tem, aby troskę o swoje potomstwo powierzyć tym, których przychylność i życzliwość kupił sobie za olbrzymie beneficya,

---

[1]) . . . proponitur erga deliberationis Sermi electoris, quid in gratiam prolis Regiae a nobis fieri et quo delectu quo consilio rem tractari oporteat...

tych zaś miał w podejrzeniu i nienawiści, którzy za cenę czci i sumienia nigdy nie chcieli porzucić sprawy Rzpltej dla osoby króla, jednak jak wszystkim wiadomo, ci, którzy najbardziej strzegą wolności, dochowują zarazem najmocniej wiary królom, a powszechnie wiadomo, że ewangelicy byli pierwsi, którzy zajęli się losem dzieci nieboszczyka króla«.

Wreszcie co do samego księstwa pruskiego zapytuje Radziwiłł elektora, co chce uzyskać i na jakiej zasadzie. Do tego punktu dołączone były artykuły uchwał konwokacyi, której rezultat acz nieprzychylny dla elektora w całości — w punktach szczegółowych dawał się tłómaczyć na jego korzyść oraz wyzyskać w czasie przyszłego sejmu elekcyjnego[1]).

We wszystkich tych punktach dysydenci odwoływali się po radę do elektora, jako księcia i członka Rzpltej *(tanquam Regni principem)*. Chcieli go przekonać, że w interesie elektora uczynili wszystko, co się tylko dało zrobić na poprzednim sejmie. Miało to być tylko jednak wstępem do odwołania się o pomoc jego, jako potężnego członka Rzeszy[2]). Nie darmo w czasie poprzedniego sejmu uzyskali tyle, iż obawy, podejrzenia i nienawiści katolików względem nich wzrosły do najwyższego stopnia. Teraz trzeba było to wyzyskać, w przeciwnym razie katolicy tak się podniosą na duchu, ich zaś partya tak upadnie, iż omal czy kiedy te siły i ten duch do niej powrócą[3]).

To podnosi Radziwiłł w swoim memoryale, dotyczącym sprawy religijnej. Ten drugi memoryał jest pisany w tonie tak namiętnym, tak gwałtownym przeciwko katolikom, iż nie waha się oskarżać ich o pragnienie krwi ewangelików. »Znany jest niegodny względem nas nastrój papieżników, którzy już przedtem zawsze łaknęli naszej krwi, teraz zaś tak są podrażnieni klęskami swojemi w Niemczech, iż gorycz zalewa im duszę, że w nas dotąd widzą jeszcze życie, że nie mogą przynieść nas na ofiarę powszechnej nienawiści i że krwią naszą nie mogą przebłagać zabitych w Niemczech papistów«[4]).

---

[1]) Hr. Radziwill's vortrag d. 6 sierpnia 1632 r. wraz z Confoedarationis generalis extractum aliquot articulorum, qui statum et interesse Sermi Electoris concernunt.

[2]) Ut nobis et aliis a nobis pendentibus non abrumpetur spes salutis, quam a vicinitate et auxilio tam potentis Sac. Rom. Imperii Septemviri in eadem nobiscum nave pereclitantis nobis polliceatur...

[3]) Si enim aut nihil, aut parum hic consultum effectumque fuerit, crescet adversariis animus, bonae vero partis ita succumberit, ut vix credibile sit, eos unquam spiritum ne dum vires resumere posse...

[4]) Notus enim est pontificiorum pravus in nos animus, qui cum antea semper sanguinem nostrum sitiebat tum vero maxime hoc rerum statu ita sunt cladibus germanicis irritati, ut acerbum sibi vitam putent, quod nos adhuc vivere videant, et quod nos tanquam victimam publici odii immolare, et ex sanguine nostro infoerias caesis in Germania papistis dare nequeant.

Niezmiernie ważną i ciekawą jest ta solidarność interesów religijnych, do której poczuwają się dysydenci w Polsce z protestantami w Rzeszy.

Radziwiłł w ten sposób skarży się w swym memoryale na ucisk papistów w Polsce: »Niegdyś, być może, trzymali się tego sposobu postępowania, że między ewangelikami szerzyli waśń, to jednych to drugich na przemian otaczali miłością lub nienawiścią, nie aby istotnie ich kochali, lecz aby przez pozorną życzliwość różnili ich wzajemnie. Lecz tego niegodnego sposobu imali się, póki jeszcze siły ewangelików w Rzpltej były większe i straszniejsze. Teraz zaś, gdy je widzą poderwane i zmniejszone, uciekają się do jedynego środka — zuchwalstwa. To zuchwalstwo sprawiło, iż zarówno luteranów, jak i reformowanych pędzą i proskrybują z miast królewskich, że jednych i drugich nie dopuszczają do urzędów, że jednym i drugim odbierają *exercitium* wiary, że domagają się rozciągnięcia praw kościoła na Prusy, Inflanty i Kurlandyę, że chcą zachwiać pokój, bezpieczeństwo i swobodę religii, zatwierdzoną jednym i drugim przez przodków pod przysięgą, honorem i czcią, i nie chcą, aby były wzmocnione przysięgą królewską i konstytucyą sejmową, a ponieważ pierworodnego syna nieboszczyka króla podejrzywają o herezyę, innego na jego miejsce wybrać usiłują«.

Widzimy zatem, iż dysydenci wyraźnie już stawali po stronie Władysława, że jego interesy identyfikowali ze swoimi własnymi.

Możemy twierdzić na pewno, iż Władysław z niezwykłym talentem zdołał sobie pozyskać przychylność dysydentów. Co więcej, byli oni przekonani, że za ich sprawą czyli za sprawą Władysława, pójdzie zarówno elektor brandenburski, jak i Gustaw Adolf. Taki był *vox populi* przynajmniej pośród dysydentów. Współczesne pismo *Rationes pro summo principe Vladislao* między innymi powodami, dla których powinien być wybrany Władysław królem, wymienia i ten, że jest w stosunkach przyjaźnych z elektorem saskim i brandenburskim i że zwycięski król Gustaw skłania się do przyjaźni z nim[1]). Ewangelicy byli jak najmocniej przekonani, iż Władysław łatwo się porozumie z Gustawem Adolfem[2]). Dlatego to Radziwiłł w swoim memoryale razem ze swoimi interesami religijnymi popiera kandydaturę Władysława do korony, każe elektorowi zastanowić się nad środkami zaopatrzenia potomstwa Zygmunta III, prosi o wyszukanie środków, celem zabezpieczenia Prus, Inflant i Litwy od wojny szwedzkiej, tudzież ma nadzieję, iż ułożywszy się z Gustawem Adolfem, Polska pozbędzie się zarazem wojny z Moskwą.

---

[1]) Victoriosus Sueciae Rex ab amore ejus non est alienus. Cum electoribus Saxoniae et Brandenburgensis caeterisque principibus Germaniae colit amicitiam. Relacye Lebzeltera j. w. str 290.

[2]) Relacya z Ortelsburga 4 października 1632 r. j. w. str. 373.

Widzimy w tem wszystkiem myśli Władysława. Czy i o ile dysydenci działali z nim w porozumieniu i czy zjazd ten odbył się za jego wiedzą? Na to drugie pytanie możemy odrazu odpowiedzieć stanowczo. Radziwiłł przez cały czas obrad z elektorem również usilnie omawia interesy dysydenckie, jak i sprawy Władysława. Bądź co bądź musiał więc być jego wysłańcem, jeżeli nie jawnym, to przynajmniej tajnym — zwłaszcza, że sprawy Władysława omawia przeważnie ustnie z elektorem na poufnej konferencyi[1]).

Drugie pytanie — jaki udział Władysław miał w planach dysydentów — jest o wiele ważniejsze i trudniejsze do rozstrzygnięcia. Odpowiedź na nie możemy dać tylko warunkową — znając sposób zapatrywania Władysława, tudzież cały kierunek jego polityki. Nie darmo katolicy posądzali go o bardzo słabe przywiązanie do religii katolickiej. Był on rzeczywiście zawsze indyferentnym. Do walki o interesy religijne nie miał żadnej skłonności. Na stronę dysydentów przechylały go od początku względy polityczne. Pomijamy na razie stosunki wewnętrzne Rzpltej - a mamy na względzie jedynie interesy polityki zagranicznej. Jeżeli prawdą jest, że osią zabiegów Władysława IV od samego wstąpienia na tron, a jakeśmy to wyżej wykazali, jeszcze za życia ojca było uzyskanie korony szwedzkiej, to popieranie dysydentów nie sprzeciwiało się, ale wprost pomagało tej polityce, choćby z tego względu, aby osłabić obawy w królestwie szwedzkiem przed przyszłym królem papieżnikiem.

To był interes główny, bardzo ważny, chociaż dalszy. Na razie chodziło mu zapewne o co innego. Władysław był tem skłonniejszym i przychylniejszym żądaniom dysydentów, im wydawali mu się bliższymi Gustawa Adolfa. I na odwrót dysydenci tem mocniej popierali go, im bardziej widzieli interesy Władysława związane ze zbliżeniem się i pojednaniem z Gustawem Adolfem. Bo zresztą istotnego niebezpieczeństwa dla przyszłej swojej elekcyi ze strony katolików, jak to przypuszczali dysydenci, Władysław z pewnością nie widział, tylko, że w rachuby jego polityczne wchodziło od początku nie samo uzyskanie korony polskiej, ale i szwedzkiej zarazem — w czem interesy Władysława były silnie spojone z interesami dysydentów i na odwrót. To nie wyklucza obietnic, jakie mogły być i były bezwarunkowo czynione przez Władysława dysydentom w zamian za poparcie przy elekcyi. Ale obok tego, jeśli nie ponadtem, przeważał interes inny — interes dynastyczny, który nakazywał Władysławowi trzymać się

---

[1]) Relacya z Malborga 20 lipca 1632 r. mówi o jakimś tajnym zjeździe elektora brandenburskiego z Władysławem, naznaczonym w Ortelsburgu. (Relacye Lebzeltera j. w.) O ile się nie mylimy — wiadomość ta jest błędna, przynajmniej wzmianki o tym zjeździe nie pozostało żadnej w archiwum berlińskiem.

blisko z dysydentami, z elektorem brandenburskim, aby za ich pośrednictwem dopiąć swego drugiego celu — który na ten raz skrystalizował się w sojuszu czy w porozumieniu z Gustawem Adolfem.

Inna rzecz, czy obydwie strony, dysydenci i królewicz Władysław pisały się każda w całości na plany drugiej, czy nawet o nich zupełnie wiedziały. Tutaj, jak w ogóle zawsze w polityce, czy to się rzecz ma między mocarstwami, czy też stronnictwami, albo wreszcie ich przywódcami, była to gra w ślepego. Jednej stronie zdawało się, iż przenika plany drugiej i potrafi je wyzyskać na swoją korzyść, nie zdradzając się, do jakiego zmierza celu. Dysydenci myśleli, iż wyzyskają plany Władysława co do porozumienia się z Gustawem Adolfem na swoją korzyść, podczas gdy Władysław posługiwał się nimi bynajmniej nie z myślą poparcia sprawy dysydenckiej w Polsce. Była to mistrzowska gra polityczna, która zwykle kończy się wygraną strony silniejszej i zręczniejszej. Czy jednak byli nią dysydenci i sam Radziwiłł? Na to pytanie przyszłość miała dać odpowiedź.

Na każdy sposób, mimo wspólności planów dysydentów i Władysława co do przyszłej elekcyi w Polsce, oraz co do porozumienia z Gustawem Adolfem, musimy w pertraktacyach Radziwiłła z elektorem rozróżniać jako dwa odrębne i niezależne od siebie kierunki, plany Władysława i plany dysydentów. Dla Władysława było głównym celem zapewnienie sobie przychylności Gustawa Adolfa, wreszcie zgody z nim; dla dysydentów elekcya Władysława i związek jego z Gustawem Adolfem były celami drugorzędnymi, którymi podporządkowywali swój interes religijny.

W tym też kierunku nawiązywał Radziwiłł swoje pertraktacye z elektorem brandenburskim. Skarżąc się na ucisk i prześladowanie różnowierców w Rzpltej tak na drodze prawnej, jak i gwałtu, starał się zainteresować tą sprawą elektora jako najprzedniejszego członka tej Rzpltej (*tamquam eiusd m Reipublicae nobilissimo membro*) oraz przekonywał, iż stan ten nie skończy się na jednem miejscu, lecz przeniesie się do sąsiednich prowincyj a zwłaszcza do Prus. »Albowiem doświadczenie poucza nas« — mówi Radziwiłł — »iż nigdy nadużycia i gwałty nieustają tam, gdzie się poczęły, lecz zawsze idą dalej i to od słabszych przenoszą się do silniejszych[1])«. Każe mu sobie przedstawić, jakby to było przykre i nieznośne, gdyby Prusy od tylu swobód i praw zeszły na ten stopień, na jakiem się znajduje Warmia i ziemia Chełmińska[2]).

---

[1]) Experientia enim nos docet nunquam praeiudicia et gravamina ibi, ubi incoeperunt, cessare, sed semper ulterius et ab infirmioribus ad potentiores grassari.

[2]) At Sermo Electori et Statibus Prussiae, quam triste et intolerabile esset a tanta dignitate et libertate (quod Deus avertat) excidere et pari cum Varmiensibus et Culmensibus incolis sorte premi, ipsimet iudicandum relinquitur. .

Te obawy natury religijnej były za słabe, aby zdołały nakłonić elektora do poparcia interesów dysydenckich. Musiał przeto Radziwiłł użyć innych przestróg co do niebezpieczeństwa grożącego elektorowi, przestróg natury politycznej — i te bezwarunkowo musiały być skuteczniejsze.

Stosunek Księstwa do Rzpltej był taki, iż każdej chwili można się było spodziewać przyłączenia jego do Polski. Elektor sam czuł to najlepiej. Można przypuszczać, iż to go skłaniało do żądania głosu przy elekcyi. Chodziło mu o trwałe zabezpieczenie posiadania Prus w swoim domu. A tymczasem prawo do lenna rozciągało się nie na wszystkie gałęzie domu brandenburskiego, (n. p. pominiętą była linia frankońska). Stosunek jego lenniczy do Polski narażał go na niebezpieczeństwo. Złamanie wierności i przysięgi wobec króla mogło go pozbawić praw lenniczych. Na to się elektor zawsze oglądał. A tymczasem ile powodów do wyzucia go z praw miała Rzplta w ostatniej wojnie z Gustawem Adolfem. Dlatego w Polsce dawały się słyszeć nie tylko sarkania, ale i pogróżki, że jak tylko Gustaw Adolf upadnie, elektor powinien pójść za nim i w pierwszym rzędzie postradać lenno.

Tem więc chciał Radziwiłł nastraszyć elektora, grozą przyłączenia Prus do Polski. Miało to niechybnie nastąpić wskutek wzmożenia się partyi katolickiej w Polsce, której nieprzychylność i nieufność dla elektora nie podlegała wątpliwości. Za klęską dysydentów w Polsce miał nastąpić upadek elektora. Radziwiłł zaprzecza korzyściom, jakieby Prusy miały z przyłączenia do Polski i rozszerzenia jeśli nie religijnych, to przynajmniej politycznych swobód szlachty. »Nigdy bowiem panujący nie zechcą pozwolić, aby szlachta Rzpltej przez przyłączenie się do niej mieszkańców Prus wzmogła się i spotężniała liczebnie. Ani też kler nie pozwoli, aby mu ta zdobycz, na którą dwukrotnie otwierał paszczę, została przez szlachtę wyrwaną. Lecz co już przedtem było postanowione w sprawie Kurlandyi, postanowionoby i co do Prus, a mianowicie, aby panujący przypuścił do posiadania części ziemi kler, część zaś, aby zatrzymał na użytek swój i własnego potomstwa«.

Te widoki natury nie tylko religijnej, ale i politycznej powinny były nakłonić elektora i stany pruskie do udzielenia pomocy dysydentom. Dwie zwłaszcza strony memoryału Radziwiłła zasługują na uwagę. Naprzód, iż nie mają żadnej nadziei co do środków, których używali dotychczas, a tymi są prośby, cierpliwość, powoływanie się na słuszność swej sprawy etc. etc.[1]). Powtóre, iż muszą teraz nie zwlekając poruszyć wszystkie sprężyny i postarać się o to, aby uzyskać swobodę wiary mocną, i słuszną bez

---

[1]) Nam cum hactenus ab Interregno aliquam Status nostri restaurationem expectassemus, nunc ita clerum difficillem et immitem experti sumus, ut in precibus, in obsequiis, in patientia, in aequitate causae nostrae (his enim hactenus talis animam eorum expugnare voluimus) nihil amplius spei collocari posse certe statuamus.

wszelkich wyłączeń, zastrzeżeń i ograniczeń ze strony kleru [1]) a przynajmniej być w pogotowiu do odparcia wszelkich zamachów na swoją wolność i prawa.

Plan zatem dysydentów, który Radziwiłł w całości odkrywał elektorowi, polegał na tem, aby zawiązać konfederacyę religijną wszystkich stanów Rzpltej naturalnie różnowierczych wraz z elektorem i ziemiami pruskiemi [2]). Do tego sojuszu opartego na wzajemnej umowie, możnaby było na wypadek jakiegoś większego niebezpieczeństwa wciągnąć Ruś, podległą patryarsze konstantynopolitańskiemu, która rozporządza zawsze silnymi zastępami Kozaków, a także księcia kurlandzkiego. W akcie konfederacyi każda strona miała podać ilość sił i wojska, którą zobowiąże się dla wspólnej sprawy dostarczyć [3]).

Natychmiast elektor powinien był wysłać poselstwo do miast pruskich z żądaniem przyłączenia się do konfederacyi i z wykluczeniem jakiejkolwiek neutralności. Również radzi mu Radziwiłł prosić królów Anglii, Danii, Stany Niderlandzkie tudzież elektora saskiego o wysłanie uroczystych poselstw na elekcyę do Polski w celach popierania żądań elektora i ziem pruskich, a *implicite* żądań dysydenckich. Nie od rzeczy byłoby podobne poselstwo i od króla szwedzkiego. Stosownem byłoby dla zastraszenia przeciwników, a zwłaszcza kleru, aby elektor naznaczył sejmiki w Prusach i domagał się od szlachty wojska i pieniędzy na wszelki wypadek. Jeszcze bardziej byłoby pożądane, aby elektor także w sąsiedniej Marchii urządził podobny sejmik i lustracyę szlachty.

Co się tyczy samego elektora, to konieczną jest rzeczą, aby z początkiem sejmu elekcyjnego przeniósł swój dwór w Prusiech jak najbliżej Warszawy, wojsko zaś swe rozłożył w sąsiednich miastach i zamkach załogą [4]).

Mamy więc przed sobą cały plan konfederacyi, do zawiązania której dążyli dysydenci w czasie bezkrólewia — konfederacyi, w której łączyli się z ościennemi w części niepodległemi prowincyami Rzpltej mającemi pokrewne interesy religijne, lecz wrogiemi pod względem politycznym, jak Prusy, w której otwierali na oścież drzwi wpływom mocarstw postronnych, jak Anglii, Danii, Stanom

---

[1]) ...Non alia expectanda esse tempora, sed nunc omnes consiliorum lacerti movendi, ut ad proximum Electionis conventum ita nos praeparemus, ut aut justam et firmam nulloque Cleri exceptationibus distinctionibus et reservationibus obnoxiam libertatem Religionis impetrare possimus, aut si nos uno ictu et impetu sanguinolenter tollere voluerunt, media tuende salutis et incolumitatis nostrae in promptu habeamus ..

[2]) ...Ut omnium consiliorum initium a firma fide, stabilique confoederatione sumitur ita hic quoque praemitti deberet inter Sermum Electorem et Terras Prussiae et inter ordines Poloniae et Mag. Duc. Lithuaniae a Romana Religione dissidentes fide et insolubilis societas pactis mutuis firmata. .

[3]) ...Declaratio eidem Confoederationi inserenda quantum quicque virium vel copiarum pro communi ista causa in medium adducere velit...

[4]) Des K. Fürsten Radziwill's übergebenes bedencken in puncto religionis.

Niderlandzkim a nawet Szwecyi, dotąd zamięszanej w walkę z Rzpltą. Nie zwracano zatem uwagi na niebezpieczeństwo zewnętrzne, jak i osłabienie wewnętrzne państwa. Przykładów wprawdzie na to w ówczesnej epoce, w której interesy religijne dominują ponad wszystkimi, znalazłoby się podostatkiem i gdzieindziej. Z tego naturalnie powszechnego stanowiska religijnych interesów brali i oceniali swój projekt dysydenci a te interesy tworzyły węzeł solidarności międzynarodowej ściślejszy, jak węzeł między stronnictwami i partyami w jednym kraju. Nie należy też brać i poczytywać im to za taką zbrodnię, jakbyśmy z dzisiejszego stanowiska na te rzeczy patrzali. Weźmy jeszcze pod uwagę butę magnacką (Radziwiłł) i pierwiastek stanowy, który do samego jej końca nigdy nie został przełamany, a znajdziemy wszystkie trzy pierwiastki, jakie się złożyły na ten pomysł konfederacyi. Co z tego miało wyniknąć? Jaka groza i niebezpieczeństwo dla Rzpltej? Jakie zawichrzenie w czasie przyszłej elekcyi?

Widzieliśmy, że dotąd elektor brandenburski szedł powolnie za radą i wskazówkami dysydentów. Dotąd zależało mu na uzyskaniu prawa głosu przy elekcyi, wreszcie na uchyleniu niektórych grawaminów i utwierdzeniu praw do lenna pruskiego w domu brandenburskim. Czynił więc demonstracyę wojenną. Szedł poniekąd ręka w rękę z dysydentami, gdyż widział w tem korzyść dla siebie, dla swego domu, gdyż nareszcie zależało mu na poparciu tego stronnictwa w Rzpltej. Jak teraz przyjął projekt konfederacyi religijnej Radziwiłła, tak śmiały, tak awanturniczy, w którym przychodziło rzucać wszystko na szalę oręża? Takich groźnych następstw dla siebie, a poniekąd dla dysydentów z upadku ich projektów w czasie przyszłej elekcyi nie widział. Widoczne było, iż dysydenci a przynajmniej sam Radziwiłł zbytnio się unoszą. Mniejsza o to, czy wiedzą, czy nie wiedzą sami — dokąd. Albo też są kierowani czyjąś ręką, która posługuje się ich zaślepieniem. Bądź co bądź, elektor prawdziwych ich zamiarów nie odgadywał.

Czego chcą dysydenci — jaki jest cel ich, nad tem pytaniem deliberował elektor wraz ze swoją radą, w skład której wchodzili znani już nam z poprzednich relacyj Bergmann i Kosspoth (dnia 6 sierpnia 1632) a powtóre, jaką pomoc możnaby im okazać.

Celem jest zrównanie całkowite co do praw i wolności dysydentów z katolikami — na to się wszyscy zgadzali. Ale czy ten cel w dzisiejszych warunkach da się osiągnąć? Co do tego można było powątpiewać. Dlatego Kosspoth radził się jeszcze raz spytać, jaki jest właściwie ich cel i jak zamierzają go uzyskać. To samo marszałek (*Landhofmeister*) radził spytać się Radziwiłła, czy dysydenci obstają przy kapturze.

Jakie były stosunki między katolikami a dysydentami w Polsce — o tem radcy elektora w części wiedzieli. A więc, że ewangelicy, luteranie i reformowani a nawet grecy i aryanie połączyli się ze sobą i domagają się *exercitium ubivis etiam in aula regia*, sądów na gwałcicieli pokoju — i domagają się także, aby katolicy

to podpisali. Katolicy pozwalają tylko na *exercitium* w miastach, w których dotąd ewangelicy mają to prawo z wyłączeniem tych, w których niegdyś dysydenci je mieli a potem z nich zostali wypędzeni. Bergmann, który miał najlepsze informacye o stosunkach w Polsce, uważał sprawę za nader ważną i mocno obchodzącą elektora. Celem dysydentów jest równość — to i jego zdanie. Otóż chcą oni ustępstw od katolików, przywrócenia im ich biskupstw i kościołów, nie wyłączania od urzędów, oraz równej opieki i sprawiedliwości dla religii. Tak więc co do celu dysydentów na radzie była zupełna zgoda (z pewnemi zastrzeżeniami) i przyzwolenie — marszałek nawet zauważył, iż powinniby ewangelicy żądać zwrotu odebranych kościołów.

Lecz co do środków okazało się wielkie umiarkowanie. Marszałek radził stopniowo dążyć i każdą okazyę do tego wyzyskiwać, a w szczególności domagać się na sejmie elekcyjnym *per rationem*, zobowiązać do swych warunków przyszłego króla. Co do środków radził zapewnić sobie u króla szwedzkiego i stanów ewangelickich w Rzeszy sojusz i pomoc. Kosspoth nie pokładał żadnej nadziei, aby dysydenci na drodze prawnej *(via iuris)*, przeprowadzili swe żądania. Elektor mógłby w przyszłych traktatach pokojowych między Polską a Szwecyą coś niecoś w sprawie dysydentów uczynić — a nawet i teraz popierać u króla szwedzkiego, aby potroszę ujął się za ewangelikami. Ale katolicy wiele sobie z tego robić nie będą, póki wynik sprawy orężnej w Rzeszy nie będzie wiadomy. Lecz za pomocą zbrojną (*via facti*) stanowczo odradzał się oświadczać. »Nie znamy dostatecznie zamiarów dysydentów, musimy przeto uważać, aby nie obiecywać czegoś, czego dać nie możemy, albo co w czasie przyszłej elekcyi może im przynieść szkodę«.

Bergmann więcej ufał drodze prawnej; być może nie teraz, ale w przyszłości. Zawsze ma się na myśli wybór Władysława, a ten będzie dbał o bezpieczeństwo a nawet o równość dysydentów z katolikami. W czasie elekcyi powinni dysydenci żądania swoje dalej forsować, gdyż katolicy będą się starać o obalenie kaptura. Czy pożądanem byłoby starać się o poselstwo na elekcyę od króla szwedzkiego dla popierania sprawy ewangelików, to rzecz wątpliwa. Na katolików wywrze to słabe wrażenie a i w opinii ogółu dysydentom może zaszkodzić, zwłaszcza, jeżeli wypadki w Rzeszy złożą się dla króla niepomyślnie. Elekcyi przeszkadzać nie wypada — a więc nie gorączkować się i nie rzucać wszystkiego na jedną kartę, lecz statecznie dążyć do celu. Później będzie można więcej pozyskać od przyszłego króla. Potrzebną jest tylko zręczność i solidarność między dysydentami.

Z pomocą orężną nie radził się spieszyć. Siły ewangelików opierają się przeważnie na pomocy Kozaków, którzy mają za sobą liczebność i zdecydowani są na wszystko. Ale ci lepiej nadają się do niszczenia, jak do pomocy i mogą być użyci w tym tylko wypadku, kiedy już się zwątpi o wszystkiem i mówi się »ani mnie, ani

tobie«. Na wszelki wypadek, jeżeliby miało przyjść do otwartego zerwania (*zu einem ruptur*) czyli do wojny, to elektor mógłby pomoc swą przedłożyć[1]). Katolicy nie doprowadzą do tego z obawy przed elektorem. Ale trzeba i jednego i drugiego się spodziewać Zobowiązań (*obligatorya*) do czasu nie dawać, szczegółowych warunków żądać od nich dopiero w przyszłości[2]).

Marszałek przyszedł do wniosku, iż drogą prawną nie da się nic urzeczywistnić, droga faktu jest nieroztropną — trzeba się więc uciec do drogi układów (*via compositionis*). Punkty kapturu mogą posłużyć do nich za podstawę. Jeżeli uzyskają coś, to na razie powinni dysydenci siedzieć cicho — i oczekiwać pomocy dla siebie od stanów protestanckich Rzeszy i skądinąd[3]).

W tym więc duchu ułożoną została dnia następnego odpowiedź Radziwiłłowi. Porozumienia i łączności z dysydentami elektor nie odrzucał, owszem dziękował im za dotychczasowe zaufanie do niego i prosił o komunikowanie mu swoich planów i na przyszłość. Na teraz w głównej sprawie więcej żadnych innych wyjaśnień nie żądał — ale na przyszłość zostawiał sobie drogę otwartą do traktowania. Na razie poprzestawał na udzieleniu dysydentom rad i wskazówek.

W szczegółach wiadomy mu jest ucisk dysydentów w Rzpltej, dla tego pochwala chęć ich uwolnienia się od niego; on także uważa czas bezkrólewia za najodpowiedniejszą do tego porę. Na cel dysydentów się godzi. A celem tym jest, aby dysydenci nie tylko byli zabezpieczeni co do swej wiary tak, że prawo, ani władza uciskać ich nie będzie, lecz aby między dysydentami a katolikami panowała zupełna równość we wszystkiem, a zwłaszcza w trzech rzeczach: 1) w swobodnem wyznawaniu wiary (*exercitium religionis*) bez różnicy stanu, osób czy języka, 2) w równouprawnieniu co do udziału w zaszczytach, godnościach i urzędach, 3) w równym wymiarze sprawiedliwości. Elektor nie rozumie tego w tem znaczeniu, aby dysydenci nalegali na odbiór katolikom ich kościołów, tudzież intrat, lecz aby protestanci na równi z katolikami mogli wszędzie swoim kosztem religię swą wyznawać a więc w domach i w kościołach, w dobrach prywatnych i królewskich, we wsiach, miastach i miasteczkach, zarówno w Koronie, jak na Litwie, tudzież przynależnych do niej prowincyach. Jednak tam, gdzie dysydenci mieli wprzód kościoły, które im odebrano, nie od rzeczy będzie domagać się ich powrotu.

Co do środków, wskazywał na drogę prawną, drogę przy-

---

[1]) ...Uff allen fall, wenn es zu einem ruptur kommen sollte, so könte J. Churf. Durchl. sich zur assistenz erbieten...

[2]) ...Die Catholischen thuen doch nicht vor S. Ch. D. müssen eadem in utroque casu erwarten. Doch sogar obligatoria noch zum Zeit nicht zugeben Specialia von Ihnen kunfftig erst zu fordern...

[3]) Protocolla deliberationis habitae super punctis a principe Radzivill's propositae. Johannisburgi 6 sierpnia 1632 r.

jaznych układów (*viam justitiae, viam amicabilis compositionis*). Drogę gwałtu, drogę oręża (*via fa ti et armorum*) stanowczo odradzał. Do tej ostatniej uciekać się byłoby rzeczą wątpliwą. Naprzód przy ówczesnym stanie rzeczy w Niemczech nie można było jeszcze zabezpieczyć sobie stamtąd najważniejszej pomocy. Powtóre siły ewangelików w Polsce nie mogą być dostateczne do osiągnięcia ich celów. Do Kozaków się uciekać, po których stronie jest i liczebność i odwaga, byłoby rzeczą niewłaściwą i desperacką, zważywszy na ich sposób prowadzenia wojny, który polega na tem, aby niszczyć wszystko tam, gdzie się znajdują.

Widzimy zatem, iż elektor poszedł za zdaniem większości swej rady — zdaniem umiarkowanem i to zarówno co do żądań dysydentów, jak i środków do ich urzeczywistnienia.

Doradzając drogę spokojną, drogę układów, musiał naturalnie zalecać cierpliwość. Należało stopniowo domagać się swych praw, korzystać z każdej nastręczającej się sposobności, zadawalniać się na razie drobnymi sukcesami, a tem samem zbierać środki i być w pogotowiu na każdy wypadek. A do tego może posłużyć silna łączność i sojusz dysydentów przeciwko katolikom, i szukanie związku i sojuszu ze Szwecyą i stanami protestanckimi w Rzeszy, a co tylko bardzo wolno i stopniowo da się zrobić drogą pertraktacyj, pozyskania i zapewnienia sobie tego, komu prawdopodobnie przypadnie korona polska — a więc Władysława, oraz sprzyjanie zamiarom jego i reszty braci.

Nie odbierał elektor dysydentom nadziei na pomoc Gustawa Adolfa, ale odkładał ją do przyszłych traktatów między Polską a Szwecyą, przy których król szwedzki może wiele zrobić na korzyść dysydentów w Polsce. Żądanie od niego intercesyi w obecnej chwili mogłoby wzbudzić tylko jeszcze większą nienawiść względem ewangelików, zgotować im większe trudności – a w dodatku Gustaw Adolf nie mógłby się za nimi ująć. Ze swej strony proponował elektor dysydentom własną intercesyę u stanów Rzpltej — ale sam był tego zdania, iż nie miałaby żadnego wpływu i znaczenia wobec słabej sympatyi, jaką się cieszy wśród katolików w Polsce.

W odpowiedzi tej elektora zawierała się gorzka pigułka, którą musieli połknąć Radziwiłł i dysydenci na swoje gorączkowe żądania.

Co więcej, domaganie się dysydentów pomocy od elektora w celach naprawy swobód i praw Rzpltej (*qua re juribus libertatibus Rpbcae succurri possit*) spotkało się również ze stanowczą odprawą. Elektor zapytywał się dysydentów, w czem widzą to gwałcenie praw i wolności. Żądał czegoś bliższego i szczegółowszego w odpowiedzi. Mniemał jednak, że stany mają do tego właściwy sposób i nieraz już przedtem nim się posługiwały, nie przystępować do elekcyi, póki wszystkie niedomagania (*vulnera*) Rzpltej nie będą usunięte i ten warunek (*solche capitulation*) przedłożyć elektowi, aby wszystkie ich prawa i wolności były zabez-

pieczone. Na każdy sposób musi elektor się zastrzec, iż jest przeciwny temu, aby pod pretekstem wolności (*sub specie libertatis*) nie została ustalona taka dowolność (*licentia*), któraby wreszcie przeszła w anarchię i aby władza królewska nie była zbyt ograniczoną a nawet unicestwioną, gdyż wtedy król nie mógłby w razie potrzeby ewangelikom i innym dysydentom przyjść z pomocą.

Dysydenci musieli się przekonać, iż elektor nie tylko nie zamierza pójść dalej w poparciu ich żądań, ale wręcz przeciwnie, cofa się nawet z zajmowanego poniekąd dotąd stanowiska. O wysłaniu poselstw od siebie do króla Anglii, Danii i do Stanów niderlandzkich ani nie wspomniał w swojej odpowiedzi. Co więcej, na żądanie demonstracyi wojskowej na granicy, przybycia do Warszawy i posiłków wojennych odpowiedział odmownie, jeżeli nie wręcz, to przynajmniej pośrednio — komunikując swój zamiar domagania się owych postulatów za pośrednictwem nowego poselstwa, które miało być wysłane na sejm przyszły, w razie zaś powtórnego ich odrzucenia przedłożyć je na piśmie lub przez posła królewiczowi Władysławowi [1]), w szczególności zaś pragnie się domagać, aby ponad *pacta* do innych zobowiązań nie był pociąganym.

Żądania przeto ogólne dysydentów i plany, dążące do dopięcia ich były tak mętne, iż wciągnąć się do nich elektor nie dał.

Jaki był przebieg sprawy Władysława na zjeździe w Johannisburgu? Mówiliśmy, iż zjazd ten również dotyczył sprawy dysydenckiej, jako też zamiarów Władysława — chociaż jedne i drugie nie pokrywały się wzajemnie. Dotąd znamy odpowiedź elektora na żądanie samych dysydentów. Bezwątpienia jednak, żądania ich schodziły się w części z zamiarami Władysława. O ile można przypuszczać, były następujące główne punkty styczne. Naprzód porozumienie się z Gustawem Adolfem, powtóre elekcya Władysława na króla. Przytem, co do pierwszego z tych punktów dysydenci mieli głównie na myśli pokój ze Szwecyą, jakoteż z Moskwą, zawarty jednocześnie, razem lub też za pośrednictwem Gustawa Adolfa. Co do drugiego — zabezpieczenie i rozszerzenie swych praw i swobód religijnych.

Otóż co do obydwóch tych punktów elektor wyraźnie oświadczał się z gotowością do usług. Naprzód radził ewangelikom oddać swe głosy na korzyść Władysława, w razie jeśli im sprzyja, jak również pomódz w zaopatrzeniu ich braci ze strony Rzpltej. Na ustnej konferencyi z Radziwiłłem omawiano sprawę usposobienia Władysława względem elektora i dysydentów. Elektorowi chodziło o to, czy uzyska swoje postulaty od Władysława i czy Radziwiłł

---

[1]) S. Ch. D. erclerung uff des Fürsten Radziwill's propositiones von H. Bergmann undt mir zuerst S. F. G. selbst, darnach auch dem vertrawten Rhat Petr. Cochlewsky capitaneo Keytanensi (der sie an die feder excipiret) eingebracht zu Johannisberg 7 sierpnia 1632.

może mu przyrzec od królewicza przed elekcyą piśmienne zapewnienie co do tego. Na ten wypadek w razie niejednomyślnej elekcyi, elektor zobowiązywał się do popierania tej partyi, która się oświadczy za królewiczem. W takim razie gotów jest przyjść ze zbrojną pomocą i to warunkowo, tudzież wyjednać poparcie u króla szwedzkiego. Pieniędzy na ten cel odmawiał, jak również sądził, że na próżno szukać ich będą u Gustawa. Radził jednak dysydentom udać się z tem żądaniem do miast pruskich. Gotów był jednak, jeżeli sprawy w Rzeszy dobrze pójdą zwerbować armię z 4 tys. piechoty i tysiąca jazdy. Również z Prus mógł przyprowadzić 1.000 koni i 3 tys. wybrańców (*Wibrantz*); także i u króla szwedzkiego postarać się o pomoc. Zgromadzenie armii na śląskiej granicy byłoby rzeczą możliwą; ale rozlokowanie armii szwedzkiej w Prusach zawierało dla samego elektora niebezpieczeństwo, aby Szwedzi później nie chcieli dalej rozszerzać swego panowania w jego ziemiach. To wszystko obiecywał na wypadek przyjęcia postulatów jego przez królewicza Władysława, mógł nawet marzyć, iż za tę pomoc uzyska jeszcze coś więcej.

Radziwiłł zapewnił elektora o życzliwem usposobieniu Władysława zarówno, względem elektora, jak i dysydentów — zasługuje przeto na jego poparcie. Przyrzekał, iż Władysław zrobi dla elektora wszystko, co tylko będzie mógł — podobnie jak i wobec dysydentów chce się jaknajlepiej zasłużyć przez co kler stara się wykluczyć go od elekcyi. W szczególności co do postulatów elektora, Władysław jest o wszystkiem poinformowany; jeśli nie w całości to w części uda się je od niego uzyskać.

A teraz najważniejsza sprawa, dla której Władysław porozumiewał się z dysydentami i z elektorem brandenburskim. Tą był związek i przyjaźń z Gustawem Adolfem. W tej sprawie interes dysydentów nie wykraczał po za te ramy, które jej nakreślały interesy elektora. Czy tak samo się rzecz miała i co do planów Władysława? Dysydenci pragnęli tylko pokoju ze Szwecyą a przy tej sposobności i z Moskwą.

W sprawie zawarcia pokoju elektor był przychylnie usposobiony. Radził nalegać na przyspieszenie traktatów pokojowych a co najmniej na przedłużenie zawieszenia broni tak, aby jeszcze przed elekcyą doprowadzić je do skutku *(einen gewissen schluss machen)*, a przynajmniej elektowi przedłożyć już gotowe warunki do przyjęcia i zatwierdzenia. Przyrzekał także jak najusilniejsze starania i pośrednictwo, mimo przyjętego na siebie znacznego ciężaru w postaci sekwestru i pragnąłby, aby Rzplta dała mu więcej upełnomocnienia co do warunków, aby wiedział, dokąd ma zmierzać i jak trudnościom zapobiegać. Jeżeli zaś ma przyjść do wojny (*si neque pax, neque ulteriores induciae successerint*), prosił Radziwiłła o zakomunikowanie mu tego w tajemnicy, aby mógł się przygotować i wyraźnie za jedną lub drugą stroną oświadczyć.

Połączeniu traktatów szwedzko-polskich i polsko-moskiew-

skich — elektor się nie sprzeciwiał. Nie widział w tem jednak bynajmniej pożytku dla Rzpltej, gdyż jednej sprawie stawałaby wciąż na przeszkodzie druga. O jednem tylko nie wątpił, iż w razie, jeżeli przyjdzie do skutku pokój ze Szwecyą, to i pokój z Moskwą pójdzie o wiele łatwiej. Przyrzekał dołożyć wszelkich usiłowań, aby wraz z zawarciem pokoju wieczystego ze Szwecyą, Gustaw przyczynił się do zawarcia pokoju z Moskwą, czy też dopomógł Rzpltej w wojnie toczącej się z nią.

Tak dalece przeto elektor brał współudział w planach dysydentów a po części Władysława. Był zupełnie przychylny temu, ażeby między królewiczem a Gustawem Adolfem nawiązać przyjazny stosunek a nakłonić Gustawa Adolfa do popierania jego sprawy, tudzież sprawy dysydentów przy elekcyi. W tym też celu obiecywał wybadać usposobienie Gustawa Adolfa dla królewicza i przyrzekał wysłać jednego z zaufanych radców do Gdańska naprzeciw królowi szwedzkiemu. Zapytywał tylko, jak daleko Władysław posuwa się w swoich zamiarach sojuszu z Gustawem Adolfem, czy zechce pójść z nim we wszystkiem ręka w rękę nawet przeciwko Austryi [1]).

O takim sojuszu marzył elektor. O połączeniu obydwóch koron polskiej i szwedzkiej, mniejsza o to czy teraz, czy w przyszłości — co leżało w planach Władysława — elektor wcale nie myślał. Czy mógł wreszcie mieć to na myśli, pracując nad pogodzeniem Władysława z Gustawem Adolfem, podczas gdy Oxenstierna w rozmowie z nim zawsze kładł nacisk na zrzeczenie się pretensyj do korony szwedzkiej wszystkich synów Zygmunta III.

Gdyby zresztą elektor przenikał w zupełności wszystkie zamiary Władysława, byłby napewno im szkodził. Co do pokoju a nawet sojuszu Polski i Szwecyi nie miał nic do nadmienienia, owszem zbliżał go do upragnionego celu — odzyskania portów, utraconych w czasie ostatniej wojny polsko-szwedzkiej. Inaczej się rzecz miała z połączeniem obydwóch państw. Taka potęga zrujnowałaby odrazu stanowisko elektora, zagarniając w swe ręce całe panowanie nad morzem bałtyckiem. Tem bardziej, iż Jerzy Wilhelm marzył o czemś podobnem; pragnął on połączenia Szwecyi i Prus, przez małżeństwo swego syna (przyszłego wielkiego elektora) z jedyną córką i spadkobierczynią Gustawa Adolfa. Traktaty co do tego już w tym czasie były nawiązane i Jerzy Wilhelm miał najlepsze nadzieje co do urzeczywistnienia swoich planów [2]).

Te więc rachuby Władysława co do związku z Gustawem Adolfem elektor zupełnie wykluczał i dla tego jako pierwszy punkt i zawadę w porozumieniu uważał spór o koronę szwedzką.

---

[1]) Nur allein hatte S. Ch. D. hierüber S. F. G. eigentlich erclerung zu bitten, ob sie sicherlich das dürffe anbringen lassen, dass der Prinz cum Gustavo dergestalt conjungiren wolle, dass beyde ein velle undt nolle sein solle undt das S. F. D. kein bedencken machen wolle auch gegen dass Hauss Oesterreich mit ihm zu gehen.

[2]) Geijer t. III, str. 248, 253.

Czy Władysław i jego bracia zechcą się zrzec swych pretensyi do tronu dziedzicznego w Szwecyi, oraz jakie zabezpieczenie względem tego może dać Rzplta Szwecyi i jakiego odszkodowania będą sobie życzyć królewicze — oto pierwsze pytanie, które postawił elektor Radziwiłłowi; a powtóre był jeszcze spór między Polską a Szwecyą — w którym ta ostatnia przynajmniej będzie żądała odszkodowania kosztów wojennych.

Na to Radziwiłł nie mógł dać żadnych bliższych i szczegółowych odpowiedzi, był bowiem tylko wysłańcem do ogólnego traktowania sprawy. Na podstawie ogólnego porozumienia można będzie przyjść z czasem do dalszych pertraktacyj. Zapewniał tylko, iż jeśli król szwedzki będzie sprawiedliwym, to królewicz uczyni wszystko, co będzie potrzebnem do zbudowania przyjaźni [1]). Dodał tylko od siebie, iż co do tytułu króla szwedzkiego, nie będzie Władysławowi trudno zrzec się go na równych i korzystnych warunkach. Bracia nie mają żadnego prawa do niego, gdyż jedynie królewiczowi Władysławowi przekazał ojciec koronę. Nie będą zresztą sprzeciwiać się królewiczowi. Co się tyczy stosunków z domem austryackim, to nie mógł dotąd Radziwiłł zbyt głęboko wybadać zamysłów Władysława, jest jednak pewnem, iż królewicz więcej ma na względzie dobro Rzpltej, aniżeli względy prywatne, czyli swe związki familijne [2]).

Jeżeli rzucimy okiem na cały dotychczasowy przebieg pertraktacyj Władysława z Gustawem Adolfem, toczonych za pośrednictwem elektora brandenburskiego, przekonamy się, że rezultat tylu wysiłków, tylu zabiegów królewicza był bardzo błahy. Wprawdzie nie możemy twierdzić stanowczo, aby Władysław nie szukał także innych dróg zbliżenia się do Gustawa Adolfa pomimo elektora. Ale na każdy sposób sprawa jego dalej się nie posunęła, opierała się tylko na obietnicach elektora. A dotąd, jak widzimy, były to same ogólne propozycye zgody i porozumienia się wzajemnego. Prawda, że i druga strona, t. j. Gustaw Adolf nie okazywał się niechętnym tym propozycyom. Ale cóż więcej dawał ponad gołosłowne zapewnienia przychylności dla najstarszego z królewiczów? To, że nie czynił przeszkód zabiegom o koronę polską Władysławowi, wynikało nie tyle ze sprzyjania jego kandydaturze, ile z ówczesnego stanu rzeczy w Niemczech a zwłaszcza w Polsce. Łatwo było królowi szwedzkiemu wyrzekać się tego, o czem nigdy na prawdę nie marzył, t. j. korony polskiej, zwłaszcza w takich okolicznościach, gdy ani na Litwę, ani na dy-

---

[1]) In summa poenitere se nihil audere, sed spem bonam concipere, si Rex Sveciae aequum fecerit, principem omnia facturum, quod ad conditam amicitiam pertineat.

[2]) Odpowiedź elektora dana Radziwiłłowi uff die puncta privati colloqii wraz z odpowiedzią na nią Radziwiłła »Fürst Radzivill hatt hierauff in Summa dieses repliciret«.

sydentów, ani na tę część szlachty, która była obałamucona pismami Roussel'a nie można było liczyć.

Jaki był wynik ostatniego poselstwa elektora do Gustawa Adolfa — o tem nie wiemy. Wątpliwem jest dla nas, czy Gustaw Adolf dał Władysławowi przed elekcyą jaką odpowiedź za pośrednictwem elektora brandenburskiego. Jakąkolwiek ona była w ogólności, przychylna czy nieprzychylna — to jest pewnem, że co do szczegółów, co do warunków, układy między Władysławem a Gustawem Adolfem nie posunęły się dalej ponadto, o czem mówiono na zjeździe w Johannisburgu, aż do samej elekcyi Władysława, aż do dnia bitwy pod Lützen (16 listopada 1632 r.). Wszakże poseł Gustawa Adolfa żądał od stanów, aby nie wybierały królem żadnego z synów Zygmunta III, póki nie zrzeknie się pretensyi do korony szwedzkiej [1]). To był jedyny rezultat a zresztą neutralność Gustawa Adolfa w czasie elekcyi Władysława — neutralność może i dobrowolna, ale zarazem przymusowa.

Oceniając politykę Władysława ze stanowiska realnych zdobyczy musimy powiedzieć — daremny trud, próżne wysiłki.

Można jednak uczynić słuszną uwagę, iż samo nawiązanie rokowań z Gustawem Adolfem, pierwsze złagodzenie nieprzyjaznych stosunków pomiędzy obydwoma gałęziami domu Wazów od lat 40 wrogo względem siebie usposobionemi, było wielką wygraną ze strony Władysława. Trzeba byłoby również osądzić, czy względy dynastyczne, węzły pokrewieństwa, troska o utrzymanie i podniesienie domu Wazów, na których tyle polegał i budował Władysław w swoich zamiarach zgody, odpowiadały sposobowi myślenia, oraz planom Gustawa Adolfa. Na to brak nam stanowczej odpowiedzi. Nie wiemy, czy Gustaw Adolf nie nosił się również jak Władysław z zamiarami, których odkryć elektorowi nie myślał. Być może, iż te zamiary stanęły na przeszkodzie ostatecznemu zrealizowaniu traktatów familijnych między nim a Jerzym Wilhelmem. A zostawiając wreszcie na boku sprawę połączenia dwóch koron, polskiej i szwedzkiej, możemy się słusznie zapytać, czyby Władysław nie dopiął sojuszu z Gustawem Adolfem, zrzekając się swych pretensyj do korony, czyby nie połączył się z nim przeciwko Austryi.

To są przeważnie zagadki psychologiczne. Klucz do nich utonął w fatalnej śmierci Gustawa w bitwie pod Lützen. Dla Władysława zawsze jednak pozostało to przeświadczenie, iż wypadek ten nagły i niespodziewany nie zbliżył go, lecz oddalił od zamierzonych celów.

O ile wynik zjazdu w Johannisburgu był pomyślny dla zamiarów Władysława, o tyle dla dysydentów był niekorzystny. Obie strony, Radziwiłł i elektor brandenburski, rozstawały się pozornie w wielkiej zgodzie, wyrażały sobie szczerą przyjaźń, niemal bra-

---

[1]) Piasecki str. 452.

terstwo [1]), ale stosunek między nimi istotnie ochłódł. Radziwiłł udał się na sejmiki litewskie, które się właśnie rozpoczynały. Korespondencya między nim a elektorem nagle się urywa. Co więcej, wojewoda bełski, do którego elektor zwraca się z końcem sierpnia lub na początku września z propozycyą zjazdu, ociąga się z przyjęciem powtórnego zjazdu z elektorem. Za wymówkę służą mu sprawy i zajęcia przedelekcyjne i dopiero koło 21 września, a więc przed samym sejmem ofiarował się przybyć na zjazd gdzieś na granicy Rzpltej (Johannisburg lub Heydenburg, jak proponował elektor). Wątpliwą wszakże jest rzeczą, czy zjazd ten powtórny przyszedł do skutku [2]).

Plany konfederacyi religijnej i zbrojnego poparcia interesów różnowierstwa rozchwiały się. Pogłoski wprawdzie o walce, która lada dzień ma wybuchnąć pomiędzy obydwoma stronnictwami religijnemi, nie głuchną. Spodziewano się lada dzień wybuchu, zwłaszcza po sejmikach, na których zbierano *rota* dla przyszłej elekcyi i gdzie się bez tumultu i rozlewu krwi nigdy nie obyło [3]).

W rzeczywistości dysydenci wyrzekli się swych pierwotnych, zbyt obszernych i daleko idących zamysłów. Przystosowali je do wymagań chwili, wobec niewątpliwej przewagi nad nimi przeciwników, a zapewne i wobec znacznych widoków wyboru królem Władysława. Decyzya ich przechyliła się przeto na drogę owej *amicabilis compositionis*, którą wskazywał im elektor. Echa jednakowoż tych rokowań, które dysydenci za pośrednictwem Radziwiłła toczyli z elektorem, musiały się przedostać do przeciwników, skoro Wallenstein, mimo zatrudnień, jakie miał w Niemczech w walce z Gustawem Adolfem, wysłał kilka pułków na pogranicze Śląska i Rzpltej dla obserwowania ruchów przeciwnika [4]).

Całkowity przebieg układów królewicza Władysława i dysydentów z Gustawem Adolfem daje nam poznać, jak dalece sytuacya europejska na zachodzie a zwłaszcza wypadki w Rzeszy określały przebieg bezkrólewia 1632 i samą elekcyę. Osobistość Gustawa Adolfa, jako potężnego króla szwedzkiego, a zarazem protektora wszystkich ewangelików, za jakiego się zawsze sam podawał, wywarła pomimo całkiem neutralnego jego stanowiska wpływ zarówno

---

[1]) ...Gratias ago, quod VSDtio non tantum prolixa humanitate in me usa sit, sed etiam amicitiae nostrae fidem ita aestimaverit, ut spontaneo fraternitatis vinculo mecum voluerit conjungi... List Radziwiłła do elektora z Wąsowa d. 8 sierpnia 1632. Odpowiedź nań elektora jest pełną podobnych grzeczności. Johannisburg d. 9 sierpnia 1632.

[2]) Odpowiedź Rafała Leszczyńskiego na list elektora 5 września 1632 Radzymin. List elektora, w którym proponuje miejsce zjazdu 13 września 1632. Innych materyałów w tej sprawie nie znaleźliśmy.

[3]) Relacya z Królewca 23 sierpnia 1632 r. Relacya Lebzeltera j. w. str. 356.

[4]) Piasecki str. 454.

na stosunek wzajemny do siebie dwóch obozów religijno-politycznych, walczących ze sobą w Polsce — dysydenckiego i katolickiego, jak i na szanse kandydatury królewicza Władysława. Dysydenci wciągnęli w swoje rachuby polityczne Gustawa Adolfa naprzód jako kandydata do korony polskiej, później jako postrach na przyszłego elekta Władysława, wreszcie, jako alianta i sprzymierzeńca zarówno w sprawie elekcyi najstarszego syna Zygmunta III, jak i w osiągnięciu planów swego stronnictwa. Nadzieje, jakie dysydenci pokładali na pomoc króla szwedzkiego i stanów protestanckich Rzeszy, zwłaszcza elektora brandenburskiego, podsycały nieustanny ferment w łonie tej partyi, dodawały dysydentom bodźca i otuchy — doprowadziły wreszcie do śmiało obmyślanego, ale zbyt krewkiego i dorywczego planu konfederacyi religijnej i domagania się owych postulatów z bronią w ręku. Plan wyszedł zapewne z zapamiętałej a porywczej głowy Krzysztofa Radziwiłła, chociaż nie bez wiedzy dysydentów w Polsce, jak Rafała Leszczyńskiego a ugrzązł w obradach z elektorem brandenburskim na zjeździe w Johannisburgu.

Ale i katolicy krępowali się w swych ruchach osobą Gustawa Adolfa, zarówno w stosunku do dysydentów, jak i zamierzonej elekcyi. Aczkolwiek ta strona sprawy jest dla nas bardziej ukrytą i ciemną, to jednak z tych obaw, jakie panowały w obozie katolickim przed zamiarami Gustawa Adolfa, łatwo można wnioskować, co ich nakłaniało, jeśli nie zupełnie, to w znacznym stopniu do ustępstw, do umiarkowania, do poprzestania wreszcie na niemiłym, choć bezwarunkowo jedynym do przyjęcia dla obydwóch partyj kandydacie królewiczu Władysławie.

Te względy, acz nie jedyne, dla których oba stronnictwa w Polsce liczyły się z Gustawem Adolfem, wywarły na powodzenie kandydatury Władysława wpływ bardzo pomyślny. Także plany dysydentów co do pomocy Gustawa Adolfa łączyły się z zamiarami Władysława porozumienia się z tym królem.

Tu był więc węzeł między sprawą dysydencką a sprawą królewicza Władysława w czasie elekcyi. Tylko inaczej przedstawiali sobie ten sojusz dysydenci, inaczej królewicz Władysław. Dla dysydentów sojusz ten miał być źródłem zabezpieczenia Rzpltej od zewnętrznych wrogów (Szwecyi i Moskwy) a głównie ogniwem, spajającem interesy przyszłego króla ze sprawą dysydentów, hamulcem na zapędy religijne i polityczne partyi katolickiej.

Władysław tylko w części marzył o pokoju między Polską a Szwecyą — dla niego zaś główną korzyścią z tego sojuszu była sprawa ubezpieczenia interesów własnego domu, własnej rodziny. Lecz przy tem zakreślał tak szeroko swoje plany (odzyskanie w. księstwa moskiewskiego, pośrednictwo w sprawach Rzeszy), że i interesy Rzpltej plany te ogarniały.

Dysydenci nie uzyskali nic pozytywnego od króla Gustawa. Stosunek polityczny Gustawa Adolfa do Władysława zmienił się z wrogiego w neutralny. Stosunek osobisty przyjął już cechy wza-

jemnej życzliwości i zaufania wyrażanego dotąd słownie. Pierwsi rozczarowali się co do wszelkiej pomocy zbrojnej Gustawa Adolfa, czy elektora, czy wreszcie stanów protestanckich Rzeszy, na zjeździe w Johannisburgu. Dla planów Władysława przegraną była bitwa pod Lützen.

Ale z tych nieudałych wysiłków i próżnych zabiegów wynikł przynajmniej bardzo dodatni rezultat, mianowicie przychylanie się dysydentów na drogę pokojowego traktowania sporów religijnych z katolikami, którzy też do ustępstw stali się skłonniejsi, oraz pozyskanie przez Władysława dla swojej kandydatury zarówno katolików jak i dysydentów. A te dwa czynniki złożyły się przeważnie tak na spokojny przebieg bezkrólewia, jak i na zgodny, jednomyślny prawie obiór królem Władysława IV.

Maks. Gumplowicz

Wyprawa Pomorska
BOLESŁAWA ŚMIAŁEGO

Odbitka z „ATENEUM" (Grudzień 1899).

WARSZAWA
DRUKARNIA I LITOGRAFJA JANA COTTY
7 ulica Kapucyńska 7

1900

Дозволено Цензурою.
Варшава, 7 Декабря 1899 года.

Wyprawa Pomorska Bolesława Śmiałego.[1]

Nierozstrzygnięty toczy się dotąd między historykami spór, jakiego to zamku „Gradec" dobywał bezskutecznie Bolesław Śmiały? jaki to „Gradec" szturmując, doznał porażki? (około r. 1062).

Spór powstał stąd, że podczas, kiedy dwaj bliżsi wypadku tego kronikarze, Baldwin Gallus (piszący 1113 r.) i Kadłubek (piszący około 1220 r.) opowiadają o wyprawie Bolesława na Pomorzan, późniejsi kronikarze i historycy odnoszą tę wiadomość bez dostatecznej podstawy do jakiejś wojny Bolesława z Prusakami.

Jasna rzecz, że na większą wiarę zasługują w tej mierze kronikarze, bliżsi wypadkowi, aniżeli dalsi, a zatem Gallus i Kadłubek na większą, aniżeli Boguchwał (koniec XIII wieku), Długosz (około

---

[1]) Dr. Ludwik Gumplowicz, profesor uniwersytetu w Grazu, znalazł pracę niniejszą w pozostałości literackiej po przedwcześnie zmarłym synu swoim Maksymilianie, lektorze języka polskiego przy uniwersytecie Wiedeńskim. Wywody tak bystrego badacza, jakim był M. Gumplowicz, zaciekawiają zawsze i godne są uwagi, choćby się na ich ostateczny wynik trudno było zgodzić. (Przyp. Red.).

połowy XV wieku) i wszyscy późniejsi. W pierwszym rzędzie zaś rozstrzygającym w tej kwestyi powinien być Baldwin Gallus, który kronikę swoją pisał nie więcej, jak pół wieku po owym zdarzeniu, a czerpiąc, jak to sam powiada, z opowiadań starych ludzi, nie trudno między nimi mógł znaleźć współczesnych świadków owego zdarzenia.

Przypatrzmy się więc przedewszystkiem tym roździałom w kronice Galla, w których on zdarzenie to opisuje. Jeżeli się pokaże, że przedstawienie jego jest jasne i nie pozostawia żadnej wątpliwości, to oczywista, wszystkie późniejsze przedstawienia tej rzeczy, o których wiemy, że nie polegają na żadnych autentycznych źródłach, są tylko „amplifikacyami" i przeróbkami wiadomości, podanych przez Bald. Gallusa, według subjektywnego pojmowania lub, co gorsza, według subjektywnych tendencyi późniejszych historyków, stracą wszelką wiarogodność, o ile się z pierwowzorem, t. j. Baldwinem Gallusem nie zgadzają.

Otóż Gallus przedstawia zdarzenie to w dwu roździałach kroniki swej, mianowicie w roździale 22 i 25 księgi I-ej [1]).

Że te dwa roździały stanowią właściwie jedną całość, że roździał 25, choć odgrodzony od 22 innemi opowiadaniami, do tegoż się odnosi, tego dowodem prócz treści tych dwu roździałów, jak się czytelnik o tem wnet przekona, są własne słowa kronikarza, któremi on, kończąc roździał 24, zagaja opowiadanie następnego roździału 25 „adnectendum est". Albowiem to „adnectendum est" nie przypuszcza innej interpretacyi, jak tylko, że „do tego, co powyżej o wyprawie na Pomorze powiedziałem, dołączyć jeszcze muszę".

Roździały te brzmią:

Roździał 22: „Po śmierci tedy Kazimierza (Odnowiciela 1038—1058) Królestwem Polskiem rządził pierworodny syn jego Bolesław, mąż szczodry i waleczny, który licznymi czynami (bohaterskimi) dorównał czynom przodków swoich, tylko, że trochę zanadto dał się powodować ambicyą i próżnością. Wskutek tego stało się, że podczas, kiedy na początku swych rządów nad Polakami i Pomorzanami panował i wielką ich moc zgromadził w celu oblężenia zamku „Gradec", przez uporczywą niedbałość nie tylko, że zamku tego nie zdobył, ale zaledwie uszedł zasadzkom Czechów, panowanie zaś nad Pomorzanami w ten sposób stracił. Ale nie wielka rzecz, jeżeli przez nieświadomość człowiek się pomyli, jeżeli

[1]) ed. Bandtkie p. 98, 99, 104, 105.

tylko następnie uda się roztropnością naprawić to, co się zaniedbało" [1]).

Po tym roździale 22 o wyprawie na „Gradec" następuje roździał 23, opowiadający wyprawę na Ruś, następnie roździał 24, o napadzie Czechów na Polskę, przy którego końcu wspomnianemi już wyżej słowami „adnectendum est" nawiązuje kronikarz znowu opowiadanie o wyprawie Pomorskiej, „dołączając" jeszcze szczegół ważny, o którym poprzednio, wdawszy się w ogólną refleksyę („nie wielka rzecz" etc.), zapomniał. Roździał ten drugi o wyprawie Pomorskiej brzmi (zacząwszy od ostatnich wierszy roździału 24): „Dołączyć jeszcze muszę przyczynę, z jakiej prawie w całej Polsce zaniechano używania ciężkich zbroi, które dawniej w wojsku Bolesława Chrobrego było powszechnem. Zdarzyło się bowiem, że Pomorzanie znienacka napadli na Polskę, co król Bolesław, bawiący daleko od owej części kraju, usłyszał. Pragnąc więc gorąco z rąk pogan wybawić ziemię swoją, nie czekając zebrania się całego wojska, nierozważnie puścił się naprzód. Gdy więc przybył nad rzekę, poza którą obwarowały się hufce pogan, zbrojni ciężko żołnierze, nie pytając, czy jest most, czy bród, puścili się wpław przez głębię. Gdy więc wielu śmiałków, obciążonych rynsztunkiem, potonęło, reszta żołnierzy porzucili rynsztunki, a przebywszy wpław rzekę, choć poniósłszy straty, odnieśli zwycięstwo. Od tego czasu zarzucili Polacy ciężkie zbroje. Tak więc każden na nieprzyjaciela lżej nacierał i bezpieczniej, bez ciężaru żelaza, rzekę przepłynął. [2])."

---

[1]) Postquam itaque extremum vale Kazimirus mundo fecit, Boleslaus ejus primogenitus, vir largus et bellicosus, Polonorum regnum rexit, qui sua satis gesta gestis predecessorum coaequavit, nisi quod quaedam eum ambicionis vel vanitatis superfluitas agitavit. Nam cum in principio sui regiminis et Polonis et Pomoranis imperaret, eorumque multitudinem ad castrum Gradec obsidendum innumerabilem congregaret, suae contumaciae negligencia, non solum castrum non habuit verum etiam Bohemorum insidias vix evasit ac Pomoranorum dominium sic amisit. Sed non est mirum aliquantulum per ignorantiam oberrare, si contigerit postea per sapientiam, quae neglecta fuerint, emendare. (ed. Bandtkie p. 98, 99).

[2]) Adnectendum est etiam racionem quae causa fere totum de Polonia loricarum usum abolevit, quas antiquitus magni Boleslai regis exercitus ingenti studio frequentavit. Contigit namque, Pomoranos subito Poloniam invasisse, regemque Boleslaum ab illis remotum partibus hoc audisse; qui cupiens animo ferventi de manu gentilium patriam liberare, collecto nondum exercitu, debuit antecedens inconsulte nimium properare. Cumque ventum esset ad fluvium, ultra quem turmae gentilium residebant, non ponte requisito vel vado, loricati milites et armati profundo gurgiti se credebant. Pluribus itaque loricatorum ibi praesumptuose submersis, loricas reliqui superstites abjecerunt, transmeatoque flumine, quamvis dam-

Jakkolwiek te dwa roździały, odnoszące się najwyraźniej do wyprawy Pomorskiej, nie stanowią ani stylistycznie, ani logicznie jednolitej całości, nie są przedstawieniem rzeczy z jednego odlewu, co się łatwo tłómaczy pośpiechem autora („aliisque compluribus gestis sub silentio *pro festinantia* reservatis", wyznaje sam na początku roździału 22), wskutek czego opuszcza dość ważne fakta, które dopiero później, spostrzegłszy, się dołącza („adnectendum est"): to jednak wątpić nie można, że oba te roździały odnoszą się do jednej i tej samej wyprawy Pomorskiej. Dowodem tego jest sama ich treść, która, oczywista, odnosi się do jednego i tego samego epizodu tej wyprawy. A mianowicie, jeden i drugi roździał odnoszą się do usiłowanego zdobycia twierdzy, położonej nad wielką i głęboką rzeką, przy której przebyciu wskutek nierozwagi („negligentia") i nieświadomości („ignorantia") dużo rycerzy poginęło.

W pierwszym bowiem roździale (22) opowiada kronikarz ogólnikowo tę samą awanturę, którą następnie w roździale 25, przypomniawszy sobie, że awantura ta stała się przyczyną ważnej zmiany w taktyce wojskowej polskiej, szczegółowo powtarza.

Że się rzecz tak, a nie inaczej ma, o tem najlepiej się przekonamy, jeżeli na próbę odwrócimy porządek tych rozdziałów, na pierwszem miejscu położymy szczegółowy opis nieszczęśliwej przeprawy przez rzekę z roździału 25, a na drugiem miejscu ową ogólną refleksyę, zawartą w roździale 22. Bo wtedy się pokaże, że ta refleksya ogólna jest tylko sensem moralnym, wyprowadzonym z owego szczegółowo opowiedzianego zdarzenia, i że te dwie części opowiadania doskonale do siebie przystają i stanowią jedną nierozłączną całość.

W odwróconym bowiem tych dwu roździałów porządku opowiadanie przedstawiłoby się mniej więcej, jak następuje:

„Zdarzyło się, że Pomorzanie znienacka napadli na Polskę. Na wiadomość tę Bolesław, aczkolwiek daleko wtedy bawił, pospieszył z licznym wojskiem, aby uwolnić kraj swój od napastników. Gdy wojsko przyszło nad rzekę, poza którą obwarowali się poganie" i t. d. i t. d., nastąpiła znana już nam smutna awantura.

Przypatrzmyż się teraz, jak do tego szczegółowego opisu przystaje szczelnie ogólna refleksya, zawarta w pierwszym ustępie:

---

pnose, victoriam habuerunt. Ex eodem tempore loricis Polonia dissuevit et sic expedicior hostem quisque invasit, tuciorque flumen objectum sine pondere ferri transmeavit. (ed. Bandtkie p. 104, 105).

„Bolesław był waleczny; dosyć dorównał czynami swymi czynom przodków swoich, tylko czasem zbyt powodował się ambicyą i próżnością. Tak, że kiedy na początku rządów swoich nad Polakami i Pomorzanami panował i wielką ich moc w celu zdobycia zamku „Gradec" zgromadził, przez uporczywą niedbałość (bo nie przekonał się najprzód, czy w zamierzonem miejscu można rzekę bezpiecznie przebyć!), nie tylko zamku nie zdobył, ale nawet o włos byłby wpadł w zasadzkę Czechów i tak panowanie nad Pomorzanami stracił. Ale nie wielka to rzecz czasem przez nieświadomość (bo nie wiedział, że tam głębie są w rzece) zbłądzić, jeżeli potem..." i t. d. i t. d.

Tak tedy widzimy, że te dwa roździały ściśle do siebie przystają, jeżeli je położymy w odwrotnym porządku, co służyć może za dowód, że w głowie kronikarza stanowiły pierwotnie jedną całość, tylko, że częścią z pośpiechu (pro festinantia), częścią z zapomnienia najprzód wypowiedział refleksyę ogólną, niejako sens moralny, z faktu wypływający, a potem, spostrzegłszy się, że fakt ten sam ma pewną wagę (bo był przyczyną reformy wojskowej), dodał go w późniejszym roździale 25.

Z tego więc pokazuje się, że oba te roździały odnoszą się do jednej i tej samej wyprawy Pomorskiej, (co niektórzy późniejsi historycy również w wątpliwość podawali).

Zachodzi teraz pytanie, jaki to był zamek „Gradec", o którym w tem miejscu pisze Baldwin Gallus.

Odpowiedź na to pytanie jest tak łatwa i na zasadzie tekstu kroniki Gallusa tak niewątpliwa, że dziwić się tylko trzeba, jakim sposobem rzecz ta stała się niejasną i do dziś dnia stanowi łamigłówkę historyczną.

Oczywista, nie będzie się temu dziwił ten, który wie, jak późniejsi kronikarze i historycy aż do naszych czasów potrafili proste rzeczy powikłać i jasne zaciemnić. Pomówimy o tem następnie; najprzód zaś odpowiemy na powyższe pytanie li tylko na zasadzie tekstu Baldwina Gallusa, który, jakeśmy już wspomnieli, w tej sprawie jest najwiarogodniejszem źródłem.

Otóż kiedy w tych ustępach opisaną jest wyprawa na Pomorzan, to oczywista ten „Gradec" musi leżeć na Pomorzu. Podrugie, musi on mieć takie strategiczne położenie, że przez utratę jego straconem było panowanie nad Pomorzem („Pomeranorum dominium *sic* amisit). Potrzecie, musi on leżeć nad znaczną i głęboką rzeką; poczwarte, musi on leżeć poza tą rzeką ze stanowiska kro-

nikarza piszącego, w Polsce i Polski wogóle (ad flumen *ultra* quem turmae gentilium residebant).

Otóż wszystkie wskazane tu znamiona, które ów „Gradec" w sobie łączyć musi, łączy istotnie w sobie zamek Gardziec na Pomorzu (Garz), leżący nad Odrą cztery mile przed Szczecinem.

Zamek ten bowiem Pomorski ma w istocie takie położenie i warowne i strategiczne, że kto go ma w ręku, panuje nad Pomorzem, kto go traci, traci tem samem panowanie nad tą ziemią. Broni on bowiem przeciwko wojskom polskim przystępu do Szczecina i do morza, a warowne jego położenie nie pozwala ominąć go w dalszym pochodzie na Szczecin, bo w takim razie tyły wojska, postępującego na Szczecin, byłyby zagrożone. Stanowi zatem Gardziec prawdziwy klucz panowania nad Pomorzem, co tłómaczy słowa Baldwina, że straciwszy „Gradec", Bolesław „sic amisit dominium Pomoranorum".

Następnie Gardziec leży na lewym t. j. zachodnim brzegu Odry, a za tem ze stanowiska opowiadających rzecz tę Polaków i kronikarza, piszącego w Polsce, wyrażenie „ad flumen *ultra* quem turmae gentilium residebaut" staje się zrozumiałem.

Nareszcie rzeka Odra na tem miejscu jest widocznie tak wielka i głęboka, że przebycie jej wpław przez żołnierzy w rynsztunkach przedstawia w każdym razie poważne niebezpieczeństwo.

Przytoczywszy tak większą część argumentów, przemawiających za tem, że Baldwina Gallusa „Gradec" jest zamkiem Gardziec nad Odrą na Pomorzu: najlepiej będzie zaraz na tem miejscu wykazać, że żadne z tych koniecznych znamion owego zamku „Gradec" nie stosuje się do zamku „Gradec" na Szląsku, uważanego dzisiaj mylnie przez historyków za ów przez Bolesława Śmiałego bezskutecznie dobywany zamek. Później wrócimy do dalszego przedstawienia, w jaki sposób historyografia nasza popadła w błędne tłómaczenie całej tej sprawy.

Otóż najprzód Szląski Gradec nie leży na Pomorzu, a więc, straciwszy ten Gradec nad Mohrą (Mokrą na Szlązku powyżej Oppawy) nie można przez to („*sic* amisit"!) stracić panowania nad Pomorzem, jak to Gallus wyraźnie powiada Gradec bowiem Szląski z panowaniem nad Pomorzem nie ma żadnego związku!

Powtóre, Gradec Szląski leży nad tak małą rzeczułką Mohrą, że o klęsce przez utonięcie wielkiej liczby żołnierzy w jej „profundo gurgite" ani mowy być nie może. Potrzecie, o Szląskim Gradcu kronikarz polski nie mógłby powiedzieć, że poza („ultra") rzeką leży, bo Szląski Gradec leży na prawym, t. j. wschodnim brzegu Mohry, a zatem, od Polski idąc, leży „*cis*", a nie „*ultra*", tak że wojsko

polskie, dobywając zamku tego, nie potrzebuje przebywać rzeki pod okiem nieprzyjaciela. Do Gradca Szląskiego z Polski można się nawet dostać suchą nogą.

A nareszcie jeszcze, gdyby Baldwin Gallus miał na myśli Szląski Gradec, jakimże sposobem mógłby mówić, że się w nim obwarowały „hufce pogan" (turmae *gentilium*); wszak Czesi dawno przed Polakami byli chrześcianami—w drugiej połowie XI wieku na Szląsku na lekarstwo by pogan nie znalazł, skądby się tam byli wzięli? Ale Baldwin Gallus, oczywista, mówi o Pomorzanach, którzy wtedy jeszcze byli poganami.

Sądzę, że dostatecznie udowodniłem, że Baldwina Gallusa „Gradec" w żaden sposób nie może być Gradcem Szląskim nad wschodnim brzegiem Mohry i przedstawię teraz, jakim sposobem jasne opowiadanie rzeczy przez Baldwina Gallusa w ciągu wieków uległo najfałszywszym tłómaczeniom, aż nareszcie w naszym wieku z Pomorskiego Gardźca zrobił się Szląski Gradec, do którego całą resztę opowiadania nastroić usiłowano.

Wprzód jednak jeszcze wspomnieć należy, że najbliższy po Baldwinie Gallusie kronikarz polski Mistrz Wincenty Kadłubek, który zresztą, jak wiadomo, jest wielkim mistrzem w przekręcaniu i zaćmiewaniu prawdy, dziwnym przypadkiem w tem miejscu główne rysy opowiedzianej przez poprzednika swego wyprawy Pomorskiej Bolesława Śmiałego, oddał wiernie, nie zmieniając w nich nic, dodając tylko swoim zwyczajem trochę tym razem nieszkodliwego bombastu. Opowiada on rzecz tę na tle Gallusa, jak następuje:

„Znowu na bydłokradów Pomorzan, z samej prawie granicy Polskiej, łup i rabunek uprowadzających, wpada przybiegłszy nagle, Bolesław, rabusiów tuż za wielką rzeką już spostrzegł; bez wahania się rzuca w najostrzejszy prąd; ślepa miłość rodzicielska, woła, i dzikie zwierzęta oddaje w ręce polujących; wykrzykuje jeden drugi: niechaj zginę, podle w tyle nie zostanę!

Wielu też, obciążonych ciężką zbroją, tonie, w nurtach i niewielu z królem Bolesławem ledwie przepływa i pozbywszy się zbroi nad zbrojnym nieprzyjacielem zwycięstwo odnosi" [1]).

---

[1]) Rursus pomoranorum abigeis e continio pene polonie, predam ac manubias agentibus, preceps advolat Boleslaus, predones spaciosi fluminis intrajectu jam securos conspicatur; et rapidissimo inhesitanter insiliens torrenti; amor, inquit, catulorum feras venabulis inpingit. Exclamant singuli: Occupet extremum

Z tego przedstawienia Kadłubka w każdym razie pokazuje się, że jeszcze za jego czasów (początek XIII w.), a więc jakie półtora wieku po owem zdarzeniu, a przeszło wiek po opisie Baldwina Gallusa, rzecz sama tak, jak ją Gallus opisał, uchodziła w Polsce za fakt niewątpliwy, któremu w całości lub w części zaprzeczyć nikomu na myśl nie przyszło; w spisanej historyi i w żywej tradycyi żył znikąd niezaprzeczony fakt, że Bolesław Śmiały wyprawił się na Pomorzan, którzy do Polski, rabując, byli wtargnęli, że Pomorzanie za jakąś szeroką rzeką (spaciosi fluminis) obronne zajęli stanowisko, że wielu zbrojnych żołnierzy Bolesławowych wskutek ciężkich rynsztunków w nurtach tej rzeki potonęło, ale że reszta z Bolesławem na czele, wyratowawszy się, choć „bezbronni nad zbrojnym nieprzyjacielem tryumfowała".

Jasna rzecz więc, że za czasów Kadłubka tkwiła jeszcze żywo w pamięci potomnych głośna swego czasu sprawa utonięcia wielu rycerzy w głębiach wielkiej rzeki na wyprawie przeciw Pomorzanom.

Z Gallusowego opisu zatarł się może tylko ten rys ujemny, niezdobycia zamku, albo go też Kadłubek podnieść nie uważał za potrzebne, powtarzając tylko za Gallusem, że nie mniej, pomimo poniesionej straty, Bolesława rycerstwo dobrze się spisało.

Również jeszcze następny po Kadłubku kronikarz Baszko czy Boguchwał, autor t. zw. kroniki wielkopolskiej z końca XIII w., zapisuje owo zdarzenie na wyprawie Pomorskiej z zachowaniem głównej treści i wybitnego rysu opowiadania Baldwina Gallusa.

I w tej bowiem jeszcze kronice wielkopolskiej powtórzone są najwybitniejsze znamienne rysy wyprawy Pomorskiej tak, jak ją znamy z kroniki Gallusa i jak ją za nim powtórzył Kadłubek. Ustęp, dotyczący kroniki wielkopolskiej, brzmi:

„W czasie, kiedy Bolesław bawił w krajach Czechów i Austryaków, ziemie tychże po nieprzyjacielsku pustosząc, Prusacy (Pruteni) i inne narody pogańskie, sądząc, że Bolesław już nie wróci, wtargnęli po nieprzyjacielsku na Pomorze. Co, gdy się Bolesław dowiedział, zaniechając dalszej wojny z Czechami i Austryakami, do kraju swojego wraca, a dopadłszy nieprzyjaciół na Pomorzu, na nich uderza. Których uciekających za rzekę Sarus ścigając, wielu

scabies mihi turpe relinqui. Multi ergo armorum pressi mole fluctibus immerguntur; perpauci cum rege vix enatant et Boleslaus et inermes, de armata hostium multitudine triumphant. (ed. Przezdz. p. 63).

ze swoich stracił, którzy w rzece, nie z ręki nieprzyjaciół, ale wskutek ciężaru zbroi w głębiach potonęli. Z tego też powodu odtąd Polacy rynsztunków ciężkich nie używają" [1]).

I tutaj zatem Bolesław, daleko od Pomorza bawiąc, dowiaduje się o napadzie na Pomorze, przedsięwziętym przez „nationes paganicae". Zaniechawszy więc wojny z Czechami i Austryakami, wśród których go wiadomość o napadzie na Pomorze doszła, śpieszy na obronę własnego kraju (ad propria convolat), a zastawszy nieprzyjaciół na Pomorzu (hostes in Pomorania reperiens) uderza na nich. Tu następuje i w kronice wielkopolskiej ta sama katastrofa, znana nam już z kroniki Gallusa i Kadłubka, że wielka liczba żołnierzy „non ab hostibus sed armorum pondere pressi in profunda demerguntur", a więc nie ścigani przez nieprzyjaciół, tylko przy przeprawie w celu uderzenia na nieprzyjaciół, wskutek ciężkich rynsztunków w głębiach rzeki toną.

Główną treść więc opowiadania Gallusa i Kronika wielkopolska reprodukuje. Obok tego jednak znajdujemy w niej dwie rzeczy nowe, których ani w Gallusie, ani w Kadłubku nie było, mianowicie: wzmiankę o Prusakach (Pruteni), którzy mieli wtargnąć na Pomorze, i nazwę rzeki „Sarus".

Z tych dwu nowości ta ostatnia, Sarus, jest właściwie tylko potwierdzeniem opowiadania Gallusa, a tylko przez pomyłkę jakiegoś przepisywacza mogła stać się powodem bałamuctw. Bo zważmy, co znaczy rzeka „Sarus"? Takiej rzeki w obrębie ziem ani polskich, ani pruskich, ani pomorskich niema. A zatem musi to być pomyłka jakiegoś przepisywacza. Jeżeli zaś jest pomyłka pisarska, to właściwa nazwa musiała być podobna tak, że pomyłka łatwo zajść mogła. Otóż wiemy, że ową rzeką, w której głębiach potonęło tylu żołnierzy Bolesławowych, była Odra, po łacinie Viadrus. Z tego Viadrus przez pomyłkę łatwo zrobił się Sarus, co, jak potem zobaczymy, dało powód do różnych nieporozumień i bałamuctw.

Mniej niewinną, niż, ta nowość wprowadzona do opowiadania Gallusa przez Kronikę wielkopolską, była owa wzmianka o Prusa-

---

[1]) Tempore autem quo in terris Bohemorum et Australium rex Boleslaus intraret, eorum terras hostiliter devastando, Pruteni et aliae nationes paganicae, de reditu Boleslai dubitantes, Pomoraniam hostiliter invadunt. Quod cum ad notitiam Boleslai pervenisset, Bohemorum et Australium impugnatione obmissa, ad propria convolat et hostes in Pomorania reperiens, invadit. Quos fugientes in Sarum fluvium insequutus, ibique non pauci de suis... in profunda demerguntur" (Mon. Pol. Hist. II, p. 487).

kach, napadających na Pomorze (Pruteni Pomoraniam hostiliter invadunt). Nie wchodzę w to, z jakiej przyczyny Baszko czy Boguchwał ni stąd, ni zowąd całą winę tej wojny na Pomorzu zwalił na Prusaków.

Być może, że jako Wielkopolanin, sąsiadując z Prusakami, niepokojącymi w XIII wieku ciągle Wielkopolskę, miał na nich żółć i przy tej sposobności chciał im przypiąć łatkę, że to oni już w XI wieku w Polsce wzniecali zaburzenia. Ale gdyby był wiedział Baszko czy Boguchwał, jakiego bigosu narobi historyografii polskiej tymi swoimi Prusakami, niepotrzebnie w tę sprawę przez niego wmieszanymi, pewnie dałby im spokój w tem miejscu.

Bo w Kronice wielkopolskiej pomimo niepotrzebnie wściubionych Prusaków wyprawa sama Bolesława Śmiałego została się nie mniej tem, czem była, t. j. wyprawą na Pomorze; więc ci „Prusacy" tutaj jeszcze nie zmienili faktu samego. Dopiero w półtora wieku później, u Długosza, miały się okazać fatalne następstwa tego wmieszania w tę sprawę Prusaków.

Puściwszy bowiem zwyczajem swoim wodze fantazyi, Długosz z tego jednego słówka Kroniki wielkopolskiej o „Prusakach" wymyślił całą wojnę Bolesława Śmiałego z Prusakami o Pomorze, a biorąc pochop z dwu roździałów Gallusa, które, jak widzieliśmy, opowiadają jedno zdarzenie, fabrykuje Długosz dwie wyprawy na Prusaków.

Nie szczędząc przy tem swoich „amplifikacyi", Długosz, kładąc tę wojnę z Prusakami (za Kroniką wielkopolską) po skończonej wojnie z Czechami, tak opowiada przebieg jej pod r. 1064.

„Po zawartym pokoju z Czechami nastała wojna z Prusakami. Barbarzyńcy ci, niezadowoleni jeszcze zaniechaniem płacenia haraczu Polsce, częste podejmowali wycieczki w granice Polski. Zbudowali nawet w tym celu zamek, który Polacy Grodkiem nazwali, i silną zaopatrzywszy go załogą dla czynienia Polakom szkód i łupienia ich, coraz dalej i śmielej zapuszczali się. Tą nieprawością oburzony Bolesław przystąpił do oblężenia Gródka. Gdy jednak zamku, naturą i sztuką warownego, Prusacy walecznie bronili, od oblężenia odstąpić musiał".

Widzimy, że aż dotąd Długosz reprodukuje treść roździału 22 Gallusa, zmieniwszy jednak za Kroniką wielkopolską Pomorzan na Prusaków, przenosi już cały teatr wojny z Pomorza do Prus (czego jeszcze Kronika wielkopolska nie uczyniła), za czem pójść musiała zmiana pomorskiego „Gradec" na pruski zamek „Grodek". Pozostał jednak jeszcze Długoszowi do wynicowania roździał 25 Gal-

lusa o owej katastrofie na rzece. Zrobił z tego roździału osobną drugą wyprawę, którą znowu z „amplifikacyami" swojemi w następujący sposób przedstawia, pozostając już oczywista na ziemi pruskiej.

„Niepowodzenie Bolesława, pisze on, podniosło butę Prusaków. Ledwie więc Bolesław się oddalił, posunęli oni się jeszcze o jeden stopień dalej i całe prawie Pomorze podbili i władzy swej poddali. Martwiła dumnego króla strata Pomorza i klęska, poniesiona pod Grodkiem; przemyśliwał więc nad tem, jakby Prusaków, unikających bitwy, a zadawalniających się ukrywanemi złodziejskiemi wycieczkami, do bitwy wciągnąć". Każe dalej Długosz Bolesławowi użyć podstępu, wkroczyć na Pomorze niby to nie na Prusaków, ale tych mając na oku. Dopiero dowiadując się przez donosicieli, że Prusacy nad „Ossą" obozem się rozłożyli, aby stamtąd do Polski znowu zrobić wycieczkę, król czemprędzej, zanim, by się Prusacy o tem dowiedzieli, zbacza w tamtą stronę, każe wojsku swemu wpław przebyć „Ossę", przyczem wielu, rynsztunkiem obciążonych, ginie, ale inni, porzuciwszy rynsztunki, przepływają, Prusaków okropnie tłuką i tym sposobem Pomorze odzyskują.

Na taką drugą wyprawę na Prusaków przerobił Długosz znany nam roździał 25 Gallusa. W tej drugiej wyprawie na Prusaków nie wspomina on już o żadnym zamku, bo też i Gallus w roździale 25 żadnego zamku po nazwisku więcej nie wymienia.

Natomiast, prócz swoich fantastycznych amplifikacyi Długosz w tej drugiej wyprawie znowu wprowadza jakąś nowość: rzekę „Ossę". Miał on bowiem przed sobą kronikę wielkopolską, za którą idąc, z wojny Pomorskiej zrobił Pruską. Otóż w tej kronice musiał on już widzieć ową rzekę „Sarus", która, kiedy już się wdał w wojnę pruską, musiała koniecznie leżeć gdzieś w Prusiech. Wprawdzie takiej rzeki „Sarus" i Długosz w Prusiech znaleźć nie mógł, ale szukając za podobną nieco znalazł Ossę, której mianownik Oss*a* miał przecież jedną sylabę wspólną ze *Sa*rusem. A zatem, niewiele się namyślając, każe żołnierzom Bolesławowym topić się w Ossie w ziemi chełmińskiej na granicy Prus. Czuł wprawdzie i Długosz, że to nie tak łatwa rzecz, bo Ossa jest bardzo mała rzeczka (wpadająca po prawej stronie do Wisły), w której nie sposób, aby całe szeregi wojowników miały się topić. Ale na to nie trudna rada. Każe Długosz rzeczułce tej *ad hoc* mocno wezbrać („fluvium Ossa tunc acquis inflatum"), po czem już bez skrupułu katastrofę urządza.

Tak tedy Długosz z jednej wyprawy Pomorskiej zrobiwszy dwie pruskie, z Gardźca Pomorskiego zrobiwszy jakiś „Grodek" pruski, ze Sarusa Kroniki wielkopolskiej zrobił Ossę.

Przy czem jeszcze uwagi godne, jak Długosz się wystrzega, jakiegokolwiek połączenia zamku swego „Grodek" z rzeką Ossą, nad którą żaden taki zamek nie leży, chociaż przecież u Gallusa wojsko Bolesława przebywa rzekę w celu zdobycia zamku, leżącego na przeciwnym brzegu. Trudna bowiem była rada; nad Ossą nie leży żaden zamek. Wprawdzie kilka mil na południe od ujścia Ossy do Wisły leży Grudziądz, ale do tego zamku droga nie przez Ossę. Jeżeli zaś nad brzegiem Ossy niema żadnego zamku, nie miałby więc Bolesław żadnej przyczyny przeprawiać się przez Ossę. Otóż Długosz każe Prusakom *ad hoc* rozłożyć się tam obozem, aby umotywować przeprawę Bolesława.

Ale koniec końców *Longinus locutus est, causa finita.* Za tak poważnym i wiarogodnym historykiem, jakim był kanonik krakowski i dezygnowany biskup lwowski, cóż dziwnego, że ślepo szły całe szeregi historyków duchownych i świeckich przez kilka wieków, a dwukrotna wyprawa Bolesława Śmiałego na Prusaków stała się dogmatem historyi polskiej.

Co więcej, znakomity nasz historyk Naruszewicz, któremu przecież trudno odmówić znacznego zmysłu krytycznego, nietylko, że w Długoszowym Grodku starał się wykazać pruski Grudziądz, ale w jakimś prawdziwie przewrotnym krytycyzmie wykazuje „pomyłki" Gallusa na podstawie opowiadania Długosza!

Naruszewicz bowiem, nie wątpiąc o prawdziwości opowiadania Długosza i przyjmując te wyprawy pruskie Bolesława Śmiałego za fakta niewątpliwe, krytykuje, na tej podstawie Gallusa i powiada, że „Marcin Gallus zamiast Prusaków położył Pomorzanów" [1]).

W dalszym ciągu owej krytycznej noty dowodzi Naruszewicz, że tym Grodkiem Długoszowym, o którym „Gallus wspomina nie wyrażając miejsca, gdzie był zbudowany" mógł być tylko Grudziądz, którego wprawdzie „ci barbarzyńcy" nie zbudowali, jak twierdzi Długosz, (fabricato autem castro) ale — „napadłszy na gotowy już zamek, opanowali go". Przeoczył przytem Naruszewicz, że według Długosza Prusacy zbudowali „castrum" nad Ossą, a Grudziądz nie leży nad Ossą! Nie mniej Naruszewicz powagą swoją wzmocnił jeszcze pomysł Długosza, ufundowawszy go na niewątpliwie na granicy ziemi Pruskiej leżącej twierdzy Grudziądzu! (choć wielka kwestya, czy Grudziądz istniał w XI wieku, bo pierwsza wzmianka o nim datuje dopiero z XIII wieku!

[1]) Naruszewicz wyd. Warszawa, 1780, tom II, str. 389.

Trzeba było dopiero tak trzeźwego i krytycznego umysłu, jak Roepell, aby w tej fantastycznej budowie historyografii naszej pierwszy zrobić wyłom: wypielęgnowaną zacząwszy od Długosza bajkę o wyprawach pruskich Bolesława Śmiałego po części rozchwiać. Bo podczas kiedy Naruszewicz, wbrew wszelkim zasadom naukowej krytyki, Gallusa chce prostować według Długosza, Roepell [1]), przywraca naturalny porządek rzeczy i zauważa słusznie przeciw historykom polskim od Długosza do Naruszewicza, że przecież „Gallus ani słowem Prusaków nie wspomina“ (na tem miejscu). Ale, niestety, Roepell w krytyce swojej zatrzymał się w pół drogi, nie rozwikłał całej sprawy, dając się znowu w inną błędną stronę zawieść przez Palackiego, jak to zaraz zobaczymy. Z tej okoliczności, że „Gallus nie wspomina o Prusakach”, wyprowadza Roepell tylko ten w każdym razie słuszny wniosek, że ów Gallusowy „Gradec” nie może być Grudziądzem. W tem ma zupełnie racyę. Ale tutaj zachodzi Roepplowi w drogę Palacky. Ten, jako „narodowy” historyk, powodujący się zawsze i wszędzie patryotyzmem czeskim, przy tej także sposobności chciał znowu Czechom przysporzyć jakiegoś zwycięstwa nad Polakami, i nie wiele pytając, z owego Gradca Gallusowego robi znany nam już Gradec nad Mohrą na Szlązku, przyczem z Długoszowej Ossy (urosłej, jak wiemy z Boguchwałowego Sarusa) robi za pomocą małej tylko odmiany dwu ss na dwa pp—szląską Oppę, w której znowu każe się topić żołnierzom Bolesławowym [2]). Ale Gradec szląski nie leży nad Oppą, która jest małym przypływem górnej Odry i nawet wezbrana nie mogłaby być przyczyną znaczniejszej katastrofy, jaka spotkała Bolesława Śmiałego, zwłaszcza, że nie potrzebowałby jej przebywać pod murami obsadzonego przez nieprzyjaciół zamku.

Nie mniej Roepell, ustrzegłszy się szczęśliwie błędu Naruszewicza, uwierzył takiej powadze w rzeczach słowiańskich, jak Palacki, a za takiemi dwiema znów powagami, jak Palacki i Roepell, poszli znowu wszyscy najnowsi nasi historycy, przenosząc scenę katastrofy Bolesławowskiej pod zamek Gradec na Szlązk i na rzeczkę Oppę, nad którą ten Gradec Szląski nie leży!

Dziwna to zresztą rzecz, jak taki znakomity historyk, jak Roepell, w tym punkcie formalnie zadrzemnął trochę, co, jak wiadomo i Homerowi czasem się zdarzało.

---

[1]) Tom I, str. 190 w nocie.

[2]) Palacky, Geschichte Böhmens I, 299.

Powiada on bowiem słusznie przeciwko Naruszewiczowi, że „ten Gradec nie może być Grudziądz, bo w tym całym ustępie Gallusa niema mowy o Prusakach, ale za to o Czechach".

Z tego więc powodu odrzuca on Grudziądz i przyjmuje za Palackim Szląski Gradec, jako bezskutecznie przez Bolesława szturmowany zamek. Przeoczył tutaj zupełnie Roepell, że Gallus w owym rozdziale 22 nie tylko wspomina o Czechach, ale głównie o Pomorzanach. Powinien był zatem Roepell zanim, przyjął zdanie Palackiego na zasadzie „wzmianki o Czechach", rozważyć, co Gallus w tym ustępie mówi o Czechach, a co o Pomorzanach?

Otóż o Pomorzanach powiada, że Bolesław z początku nad nimi panował, ale gdy bezskutecznie zamku Gradec dobywał, nie tylko zamku nie zdobył, ale ledwie uszedł zasadzkom, gotowanym mu przez Czechów, i panowanie nad Pomorzanami tak stracił.

A zatem, jak to już wyżej wykazałem, Gallus chybiony zamach na zamek Gradec, podaje jako przyczynę utraty panowania nad Pomorzanami, co jak również już powyżej wykazałem jest ze względu na położenie tego zamku rzecz jasna i zrozumiała.

Ale co mają znaczyć słowa o zasadzkach Czechów, którym Bolesław zaledwie uszedł? Czy z tych kilku słów „verum etiam Bohemorum insidiis vix evasit" można w jakikolwiekbądź uzasadniony sposób wywnioskować, że ów zamek Gradec leżał na ziemi czeskiej lub szląskiej?

Bynajmniej! Ta „wzmianka o Czechach", która skłoniła Roepella do przyjęcia mylnego zdania Palackiego o Szląskim Gradcu, ta wzmianka jest zupełnie jasna, ale nie ma najmniejszego związku ze zamkiem Gradec. Ma ona zupełnie inne znaczenie.

Wiadomo, że między władcami Polski i Czech od dawien dawna, bo jeszcze od czasów Bolesława Chrobrego, toczyły się wojny o pograniczne między ich państwami ziemie, głównie zaś o Szlązk, ba, nawet o ziemię krakowską. Czesi nie mogli nigdy tego zapomnieć, że niegdyś panowanie ich rozciągało się daleko na wschód i obejmowało nie tylko Szlązk, ale i całą ziemię krakowską. Nie dziw więc, że czychali zawsze na sposobność odzyskania choć części dawnych posiadłości czeskich, które im zabrał Bolesław Chrobry.

Z tej tendencyi politycznej Czechów wynikała naturalna ich taktyka, że ilekroć władzcy Polski zajęci byli wojnami bądź to na dalekim wschodzie na Rusi, bądź to na północy lub na Pomorzu Czesi starali się korzystać z ogołocenia Szlązka i Małopolski z wojsk polskich i najeżdżali tę ziemię. Najazdy takie powtarzały się kilkakrotnie w XI i XII wieku.

Otóż taka sama sytuacya zaszła w chwili, kiedy Bolesław Śmiały wyprawiał się na Pomorze, zabrawszy na tę wyprawę „niezliczoną" moc wojsk swoich. Czychający zawsze na taką sposobność Czesi najprawdopodobniej gotowali jakiś zamach na Szlązk albo też na Krakowskie: musiał jednak Bolesław Śmiały jeszcze na czas wrócić z nieszczęśliwej wyprawy Pomorskiej i zapobiedz grożącej od Czechów napaści.

Takie, a nie inne znaczenie ma owa „wzmianka o Czechach" w Gallusie, z której Palacki zwyczajem patryotycznych narodowych historyków wyczytał wielkie zwycięstwo czeskie pod szląskim zamkiem Gradec i wielką klęskę, zadaną tam Bolesławowi Śmiałemu.

Ale gdyby takie zwycięstwo w istocie wtedy miało miejsce, pewnie współczesne źródła czeskie wiedziałyby coś o tem i nie przemilczałyby takiego faktu.

Tymczasem współczesny Kosmas, który w czasie, kiedy owo zwycięstwo czeskie według Palackiego się miało zdarzyć (1061), był już młodzieńcem dwudziestokilkoletnim, nie tylko, że nic o tem nie wie, ale, rozpisując się obszernie o latach 1060, 1061 i 1662, (pod którym zapisuje przyjazne stosunki Bolesława Śmiałego z Wratysławem czeskim i ożenienie się tegoż z siostrą Bolesława Swatawą), nic a nic o żadnem zajściu nieprzyjaznem między Czechami a Polską nie wspomina. Następnych zaś pięć lat (1063—1067) wypisuje zwyczajem swoim każdego roku całą datę wyraźnie, nie zapisując pod nimi żadnych wypadków. Takie milczenie Kosmasa (a jest on w tem miejscu dobrze zachowany, bez żadnej gwałtownej luki, jak między latami 1074—1081) jest najlepszym dowodem, że w owych latach nie było żadnej wojny między Czechami a Polską, i że cała sprawa Gradecka, jako czesko-polska, jest wytworem patryotycznej fantazyi Palackiego, za którego powagą poszedł Roepell.

Roepell bowiem, zarzuca słusznie Naruszewiczowi, że „nie może to być Grudziądz, bo niema w ustępie Gallusa wzmianki o Prusakach". Dobrze! ale gdyby Roepell w tem miejscu nie powodował się powagą Palackiego, tylko w myśl poprzedniej swej słusznej argumentacyi był dalej samodzielnie logicznie argumentował, powinien był tak rozumować: ponieważ jednak Gallus w tym ustępie wspomina o wojnie z Pomorzanami, więc ów Gradec musi leżeć na Pomorzu. Tej logicznej dalszej argumentacyi Roepell zaniedbał. Jest to oczywisty u niego *lapsus*. Ale być także może, że Roepell nie znał Gardźca Pomorskiego, choć prawdopodobniejszem jest, że uwierzył ślepo Palackiemu.

Rezultat tej całej komedyi pomyłek jest, że za Roepellem znowu nasi historycy najnowsi każą Bolesławowi Śmiałemu zdobywać bezskutecznie Szląski Gradec nad Mohrą niedaleko Opawy, ponieść klęskę od Czechów, a żołnierzom jego topić się w niewinnej Oppawce, która pewnie od stworzenia świata tylu topielców nie widziała.

Cała ta historya wyprawy Pomorskiej Bolesława Śmiałego, tak zwięźle i dość jasno opowiedziana przez Baldwina Gallusa, jest typowym przykładem, jak fakta pierwotnej historyi polskiej częścią przez retoryczne „amplifikacye" historyków naszych, zacząwszy od XIII wieku, częścią przez różne tendencye bądź kościelne, bądź świeckie (w najnowszych czasach) zostały albo zupełnie zaćmione albo nie do poznania przekręcone.

Dzisiaj pierwotna historya Polski tak, jak ją przedstawiają historycy popularyzatorowie, politycy lub retorowie, jest prawdziwie augyaszowską stajnią bajek, służącą najrozmaitszym tendencyom kościelnym, politycznym lub narodowym, ale nie jest tem, czem wszelka, historya, mająca pretensyę do naukowości być powinna—świątynią prawdy.

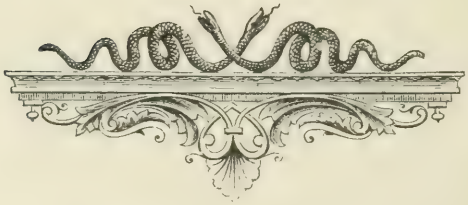

HENRYK LISICKI.

DOMOWE SPRAWY.

ODPOWIEDŹ HR. STANISŁAWOWI TARNOWSKIEMU,
Z POWODU BIOGRAFII ALEKSANDRA WIELOPOLSKIEGO.

KRAKÓW
1880.

NAKŁADEM AUTORA.

W DRUKARNI „CZASU“ POD ZARZĄDEM JÓZEFA ŁAKOCIŃSKIEGO.

TREŚĆ.

Str.

Wstęp 1

I Przyczyny powstania r. 1830 11

II Emigracya w stosunku do kraju i do Margrabiego . 36

III Towarzystwo Rolnicze. — Sprawa włościańska . . 68

IV Komitet Towarzystwa Rolniczego i Margrabia . . 79

V Stosunki kościelne. Sprawa Nuncyatury 99

VI Drobne sprawy 129

Przystępując do pisania biografii Margrabiego Wielopolskiego, wiedziałem doskonale, jakie przyjęcie czeka moją książkę; nie wątpiłem ani na chwilę, iż przyjęcie to będzie złe, że książka poruszy na nowo przycichłe nieco namiętności, wywoła wiele gniewu i zarówno wszystkim obozom przeciwnym się niepodoba. Nie obcem mi było również i to, że osobiście na siebie ściągnę liczne gromy, spotykające u nas mniej więcej każdego, kto śmie wyłamywać się zpod przyjętego zwyczaju, który nakazuje taić wszystkie nasze błędy, a przyczyny upadku i odpowiedzialność niedoli zwalać na nieprzyjaciół i praw naszych gwałcicieli. Przygotowany byłem na gromy tem więcej, że miałem mieć do czynienia nietylko z chorobliwą drażliwością ogółu na prawdę historyczną, ale jeszcze z miłością własną wielkich i małych winowajców, nadzwyczaj czułych na prawdę dla nich gorżką, bolesną i sromotną. Nie wahałem się jednak z przywiedzeniem do skutku dawno powziętego zamiaru, sądząc, iż dla narodu znajdującego się w położeniu ze wszech miar ciężkiem i trudnem, który tak mało i coraz mniej ma do stracenia, który własnemi siły od ostatecznej zagłady bronić się musi, nie może być obojętną rzeczą zbadanie najświeższej przeszłości

i poznanie, o ile on sam, a raczej ludzie, którym losy jego były powierzone, przyczynili się do klęsk i nieszczęść spadłych na Polskę.

Sąd mój o ludziach i rzeczach tego czasu może być mylnym i stronnym, ale nie był ani porywczym ani też z dnia na dzień powziętym. Wypadki r. 1861 zastały mnie bardzo młodym, wcale niedoświadczonym, i bardzo mało wykształconym, tak jak całe prawie moje pokolenie wychowane w szkołach mikołajowskich i mimochodem o zagraniczną edukacyę otarte. Jak wszyscy moi rówiennicy, wzrosłem w pewnych wyobrażeniach powszechnie przyjętych o naszej przeszłości i teraźniejszości. Ani lepszy, ani gorszy od innych, powinienem był przylgnąć duszą i ciałem do ruchu ówczesnego; powstrzymał mnie najprzód instynkt a następnie wstręt nieprzezwyciężony do środków jakiemi wówczas się posługiwano. Żywą pozostanie mi w pamięci chwila, w której dowiedziałem się o strzałach 27 lutego. Bawiłem wówczas w domu blizkiej rodziny jednego z poległych, i na mnie spadło smutne poselstwo zawiadomienia jej o niespodziewanej stracie. Bolejąc całem sercem nad przedwczesnym zgonem człowieka, z którym łączyły mnie blizkie stosunki, nie mogłem uwierzyć żadną miarą w nadnaturalną stronę starcia między ludem i wojskiem, ani też zgodzić się na to, aby jedynym powodem nieszczęścia było «okrucieństwo Moskali.» Ostro naganiony za moje niedowiarstwo i ekscentryczne opinie, włożyłem jak wszyscy żałobę, uczęszczałem wraz z innymi na nabożeństwa za «poległych braci,» wynosząc coraz większe obrzydzenie do teatralnych obrzędów, w których widocznie coraz mniej było religijnego uczu-

cia i w których żadnego pożytku dla kraju dopatrzyć nie mogłem. Jeśli jakiekolwiek jeszcze zachowałem iluzye, to je do reszty straciłem w Horodle: po osobistem zetknięciu się z przywódcami i po naocznem przeświadczeniu, jak wśród tych saturnalii wszystko bywało poniewierane, począwszy od krzyża i nabożeństwa, skończywszy na białym orle zdobiącym brzuchy gawiedzi. I długo potem wielu rzeczy sobie wytłómaczyć nie byłem w stanie, ale czułem, że jesteśmy na drodze najzgubniejszej i najgorszej, że lecimy prosto w otwartą przepaść. Ten sam instynkt, co mnie o niebezpieczeństwach ostrzegał, wskazywał mi ratunek w Margrabim, którego nie znałem i którego polityki nie pojmowałem. Wiekiem i złem zdrowiem od wszelkiego udziału w życiu czynnem usunięty, byłem otwartym, i wyznać to muszę, namiętnym przeciwnikiem ruchu, a ta nienawiść wzrastała we mnie w miarę jak się ruch szerzył i rósł, w miarę jak plamił się zbrodnią, w miarę jak teroryzm podziemnej władzy i brukowej opinii coraz stawał się nieznośniejszym. Powstanie zastało mnie już zupełnie wystudzonym. Przejrzałem całą małoduszność starszyzny, która ruch potępiając w duchu, nie miała nigdy odwagi wyrzec jednego słowa mogącego złemu jakąś tamę położyć. Widziałem, jak rzadkiemi były prawdziwa wiara i zapał, jak przeważały słabość i sztuczny fanatyzm pokrywający zimną rachubę i poziome lub zgoła nikczemne ambicye. Pytałem się, czy się godzi, czy nie jest zbrodnią pchać do zguby co było najlepszego między młodzieżą, i z cudzego poświęcenia robić podścioł dla fantastycznych widoków lub chciwych rachub mianem ojczyzny okrytych. Wtenczas też począłem wcho-

dzić w siebie i uczyć się. Sprawa była trudna, gdyż wszyscy wyssaliśmy z mlekiem legendę, że Polska była wśród narodów wcieleniem doskonałości, i drugą legendę Napoleońską, i trzecią legendę 1830 r., nie mówiąc już o rewolucyjnej tradycyi wyniesionej z dzieciństwa między rokiem 1846 i 1849. Z literatury swojskiej trudno było wydobyć jakątaką prawdę, bo przykrojona według przyjętego zwyczaju, tonęła w bezwzględnem apoteozowaniu nas samych. Praca była to bolesna, trzeba było bić się i walczyć z samym sobą, palić pomału dawne bogi, starą skórę z ciała kawałami zrywać; i jeżelim wybrnął z tej walki, to tylko dzięki poznaniu, że społeczeństwo ludzkie ma prawa odwieczne w każdym czasie i w każdem położeniu bezwarunkowo obowiązujące. Tą drogą moje młode instynkta zamieniły się w przekonania. W r. 1865 spotykałem od czasu do czasu Margrabiego w Dreźnie, zwykle zdaleka, najczęściej w galeryi obrazów i w gabinecie rycin, i wtenczas, nie marząc nawet o tem, aby kiedyś mnie, co piórem jeszcze władać nie umiałem, przypadł zaszczyt być jego biografem, mawiałem często w duchu: mój Boże! czyż nigdy nikt temu człowiekowi sprawiedliwości nie odda! I aż do jego śmierci nie było nigdy o tem mowy między mną a kimkolwiek z jego rodziny. W lecie 1870 bawiąc w Lwowie, trapiony bezsennością, począłem razu jednego rozmyślać nad warszawskiemi wypadkami. Przeszłość stanęła mi w oczach tak żywo, wszystkie wspomnienia tak się we mnie rozbudziły i tak mną wstrząsnęły, że dla własnej ulgi od jednego rzutu spisałem myśli gwałtem cisnące się pod pióro. Pisałem bez dokumentów, bez żadnej pomocy prócz własnej pamięci.

Tak urodził się ów artykuł drukowany w Przeglądzie*, który p. Tarnowski teraz wydobył z zapomnienia i w którym odnalazł sprzeczności z książką o lat ośm późniejszą. Dodać muszę, że artykuł wyszedł poobcinany i to mocno, opatrzony przypiskami redakcyi i łaskawie dorobionym pseudonymem. Popełniłem w nim jedną wielką omyłkę, twierdząc, jakoby Margrabia w adresie żądał był przywrócenia nie konstytucyi roku 1815, lecz Statutu organicznego roku 1832. I to pamiętam, jak powiedziawszy pierwotnie, iż szło o konstytucyę, później zachwiałem się, a nie będąc pewnym siebie, w miejsce konstytucyi położyłem statut, który wydawał mi się zgodniejszym z programem wprowadzonych reform. Stało się to dlatego także, żem nie znał tekstu adresu, który już po śmierci Margrabiego długo uważaliśmy za stracony. Trzy sprzeczności wykryte przez p. Tarnowskiego, dotyczą powieszenia Jaroczyńskiego, artykułu Dziennika Powszechnego o cylindrach i branki. O tych sprzecznościach podrzędnej wagi pomówimy niżej; na tem miejscu pozwolę sobie zrobić uwagę, że wielka zachodzi różnica między sądem opartym na niezupełnej znajomości rzeczy, a sądem powziętym po zbadaniu autentycznych źródeł. Czasy się zmieniają a z niemi i ludzie, czego najlepszym dowodem, że Przegląd dziśby już takiego artykułu nie umieścił, tak jakby już nie wydrukował Teki Stańczyka i Królowej Opinii. W końcu zaś, bardzo nawet ściśle i surowo rzeczy biorąc, porównanie owego artykułu z biografią pokaże dowodnie, jak wówczas już miałem takiesame

* Królestwo Polskie w ostatnim lat dziesiątku p. Henryka Szreniawę. — Przegląd Polski. Sierpień 1870.

opinie, taksamo zapatrywałem się na rzeczy i od moich opinii i zapatrywań nie odstąpiłem. Zgodność ta tłómaczy, jakim sposobem «w tak krótkim przeciągu czasu» stanęło cztery tomy Aleksandra Wielopolskiego: w gotowe bowiem ramy pozostawało mi tylko wstawić wizerunek, na który dokumenta same się złożyły.

W literaturach zagranicznych, obfitujących w życiorysy znakomitych mężów, biografie, o ile mi przynajmniej wiadomo, uważane są za materyał i źródło do dziejów. Tak pojmując moje zdanie, starałem się spełnić je sumiennie, i dziś z czystem sumieniem powtórzyć mogę, iż w tem, co się tyczy moralnego wizerunku człowieka, losów jego życia i losów jego myśli politycznej, czytelnik znajdzie nietylko prawdę, ale prawdę całkowitą i zupełną, czyli innemi słowy, że nie ukryłem nic i wypowiedziałem wszystko, co doszło do mojej wiadomości. Przyszłość zaświadczy, o ile ta prawda jest prawdziwą i zupełną. Z drugiej strony, ani tak zarozumiałym, ani tak ograniczonym nie jestem, abym pod tę klauzulę podciągać miał moje własne sądy; owszem żeby czytelnika w błąd nie wprowadzać i nie podsuwać mu mniemania o mojej nieomylności, dodałem wyraźnie, iż odpowiedzialność za sądy o rzeczach, ludziach i wypadkach, piszący, z imienia i nazwiska poniżej wymieniony, sam wyłącznie ponosi. Każdy przeto, czytelnik czy krytyk, wiedział naprzód, czego się trzymać, gdzie szukać materyału do sądu o Margrabim i jego polityce, a co położyć na karb mojej porywczości i niewiadomości. Więcej nikt zdaje mi się odemnie wymagać po sprawiedliwości nie może; jeżelim zgrzeszył przesadą w uwielbieniu Margrabiego, to obok są fakta i dokumenta,

według których łatwo bardzo moje błędne wystawienie rzeczy sprostować. Dziwnie brzmi zarzut apologii robiony mojej książce przez szkołę, zwaną niegdyś przez Lucyana Siemieńskiego szkołą egzagerantów krakowskich, którzy w uwielbieniu bezwzględnem własnych bożków i półbożków przeszli zaiste wszelką miarę i wszelkie dozwolone granice! P. Tarnowski porównał biografią ze swemi mowami pogrzebowemi i nekrologami, a żeby jeszcze lepiej moją pracę zniweczyć, przyznał, że te mowy i nekrologi piszą się «dla rodziny, nad świeżą mogiłą.» Słuszny czytelnik pomyśli sobie zapewne, że mojej książce nie należy się:

ni cet excès d'honneur, ni cette indignité.

Ja zaś jestem spokojny, bo kiedy już nikt do mów p. Tarnowskiego zaglądać nie będzie, to do mojej książki jeszcze zajrzy każdy, co o tej epoce i o Margrabim oświecić się zechce. Nie zajrzy do niej, aby napawać się mądrością autora, ale szukać w niej będzie dokumentów, do których czas późniejszy nie wiele dorzuci. Kogo rażą moje dodatki, ten ma w ręku środek prosty i pewny: niech wydrze lub zamaże w pierwszym tomie wszystko, co nie oznaczone cudzysłowami. Pozostanie wtenczas sama prawda naga, ale «harda i nieznośna, bardzo harda i bardzo nieznośna.» Zarzucają mi, żem odarł Margrabiego z popularności i z uroku, jakiemi w ostatnich latach życia był otoczon. Wiem o tem i wcale mię to nie martwi, choć jego pamięć jest mi bardzo drogą. Po upadku Margrabiego dawni jego antagoniści usnuli podanie, że Margrabia był niepospolitym człowiekiem i dobrym patryotą; że naprzeciw niego

stali ludzie równi mu rozumem, wyżsi patryotyzmem, a głównie przewyższający go poczuciem ducha narodu; że obie strony byłyby się z sobą porozumiały, gdyby «Moskal» nie był stanął na zawadzie. Niejakie wątpliwości, co do dalszych celów i dążeń Margrabiego, dodawały wielkiej siły i znaczenia temu podaniu, które niszczą do szczętu fakta dowodzące, iż Margrabiego niczem niezapełniona przepaść dzieliła od białych; białych bowiem pierwszem żądaniem było odsunięcie Wielopolskiego od władzy. Odkąd Margrabia ukazał się w świetle dokumentów, — dokumentów, których wiarogodności zaprzeczyć nie łatwo, — odkąd jego polityka wystąpiła w całej krystalicznej przejrzystości i prostocie a świat się przekonał, iż nic w niej wstrętnego myśli polskiej nie było, odtąd jego przeciwnicy niesłychanie zmaleli. Prawda ich razi i kaleczy gorzej niż wybryki mego pióra; bole swoje starają się koić wznawianiem byzantyńskich sporów o to, jak Margrabia się kłaniał i jak ręce trzymał za plecami, jak się na ludzi patrzał i jak do nich mówił. — Martwię się tem mniej owem zniszczeniem popularności Margrabiego, gdy się przekonywam, że młodsze pokolenia, niezwiązane własnemi wspomnieniami, niezsolidaryzowane z błędami tej epoki, inaczej zupełnie sądzą Margrabiego i zimniej na jego biografią się zapatrują; nie rozumieją sporów o słowa i ukłony, lecz ważąc rzecz samą i pożytek kraju, Margrabiemu słuszność oddają.

Niejakiem świadectwem, jak złą jest sprawa przeciwników Margrabiego, służy krytyka p. Tarnowskiego. Nie tajnem mi było, iż gotuje się gruntowna refutacya biografii, pocisk z olbrzymiego działa, mający zetrzeć

na miazgę książkę i jej nieszczęśliwego autora. Czekałem spokojnie: jakoż po wielu naradach, długim namyśle i kilkakrotnem przelewaniu pocisku, skończyło się na wystrzale z pukawki. Pan Tarnowski pisał o rzeczach nienależących do jego literackiej specyalności, o wypadkach mu obcych lub znanych zaledwie z dalekiego odgłosu, a tej znajomości zastąpić nie zdoła żadne natchnienie, ani też notatki najznakomitszych ludzi. Przywykły nadto do komentowania poetów i rymowanych utworów, podobnie nieco obchodzi się z historyą i wypadki sądzi według własnych wrażeń i uczuć, omijając rzeczywistość. Urażony moją śmiałością w targnięciu się na ludzi, którym ślubował wieczne, bezwzględne i bezgraniczne uwielbienie, nie mogąc obalić i zniweczyć postaci Margrabiego, stracił równowagę i wypowiedział wojnę autorowi, — ugodził także jak Hamlet w kotarę, w nadziei, że króla za jednym przebije zamachem. Ze wszystkich krytyk p. Tarnowskiego, krytyka mojej książki wyróżnia się osobistą tendencyą i wyraźnym zamiarem zdruzgotania autora, tak wyraźnym, iż to mu zjednało komplementa *Dziennika Polskiego* i *Dziennika Poznańskiego*, który zarzuca mu jedno tylko, że był dla mnie zbytecznie i niepotrzebnie — grzecznym. — Gniewa go to, co jest w książce i to czego niema. — Zarzuca mi pośpiech w pisaniu, jak gdyby Akademia już ustanowiła przepis, ile czasu piszący ma strawić nad każdą kartką, i rozdała czasomiary pozwalające wylegitymować się autorom, że prawa nie naruszyli. — Chce anegdotek, choć Margrabia wcale na anegdotycznego człowieka nie wygląda; gdy zaś znajdzie anegdotkę tak wyborną jak listy panny Błudow, wten-

czas z tajemniczą miną powiada, że »celu« nie widzi. Rozszerzywszy się nad zadaniem biografa i dodawszy cudowną receptę na idealnie doskonały żywot wielkiego człowieka, żali się, żem mu popsuł wizerunek Margrabiego, który w książce wychodzi inaczej niż w jego wyobraźni. Kiedy mu już zbraknie argumentów, chwyta się podejrzeń i podejrzywa moje serce, podejrzywa, że nie umiem wyrazić tego, co jest w mojej głowie, i ostrzega, że mogę być posądzonym o rzeczy, z któremi nie mam nic wspólnego. Co się tyczy mojej głowy, jest w niej bardzo mało, ale to co jest, jest jasne i wyraźne; a jakkolwiek styl mój jest nieudolny i ubogi, mam zwyczaj każdy frazes dziesięć razy obejrzyć i z sobą przedyskutować, zanim oddam do druku, aby żadnej wątpliwości nie pozostawić i czytelnika nie skazywać na odgadywanie szarad. Dalsze wnioski czytelnika do mnie nie należą i gdyby mnie kto posądził, na mocy mojej książki, o «moskiewskie sympatye,» będzie mi to, wyznaję szczerze, najzupełniej obojętnem. Wreszcie heroicznym środkiem p. Tarnowskiego jest przeczenie, i ile razy coś mu się nie zdaje lub nie podoba, powiada: «to nie tak, to nie tak!» Jak, tego najczęściej nie dodaje, dla prostej przyczyny że nie wie, gdyż w owych czasach w Królestwie nie żył, a później rzeczami temi się nie zajmował.

Gdyby szło tylko o mnie i o moją sławę autorską, byłbym chętnie milczał: skoro jednak p. Tarnowski dotyka kwestyi zasad, niektóre fakta przekształca i podnosi spór o rzeczy, które do pewnego stopnia przynajmniej wyjaśnione być powinny, widzę się zmuszonym podnieść rękawicę.

I.

PRZYCZYNY POWSTANIA r. 1830.

Oprócz blizkiego pokrewieństwa wypadków r. 1863 z wypadkami r. 1830, zachodzi jeszcze ścisły i nierozerwalny związek między epoką konstytucyjną i polityką Aleksandra Wielopolskiego. Przemyśliwając nad ratunkiem kraju w ciężkich latach Mikołajowskiego ucisku, Margrabia uznał w konstytucyi r. 1815 podstawę prawną, do której wrócić należało i na niej oprzeć wzajemne stosunki dynastyi i Polski. Do tego celu dążyła i emigracya około r. 1860, jak o tem świadczą Wiadomości Polskie, z tą różnicą, że emigracya chciała, aby powrót do konstytucyi nastąpił wskutek interwencyi mocarstw traktatowych, podczas kiedy Margrabia zamierzał dojść do celu drogą porozumienia z Monarchą. To był punkt wyjścia całej polityki Margrabiego, określonej w obu adresach z r. 1856 i 1861, i tą myślą kierować się nie przestał w ciągu urzędowania. Żeby ułatwić zrozumienie dążności Margrabiego, umieściłem między dokumentami tekst Konstytucyi i Statutu, oraz poważyłem się dodać treściwy pogląd na całą epokę konstytucyjną, mogący choć w części zara-

dzić brakowi historycznego podręcznika. Dałem mojej rozprawie, którą p. Tarnowski «broszurą» zwać raczy, tytuł «Przyczyny powstania,» najprzód dlatego, żeby mnie nie pomawiano o kuszenie się na rzecz przechodzącą moją możność, to jest na historyę; powtóre dla tego, że przyczyn powstania nie można odnaleźć gdzieindziej jak tylko w życiu politycznem kraju. Bądź co bądź, «broszura» moja jest obszerniejszą i śmiem dodać dokładniejszą, niż to wszystko razem, co o tej epoce napisano; daje ona treściwy obraz ówczesnych stosunków, sejmowania i administracyi, zebrany ze źródeł powszechnie dostępnych lecz dotąd pominiętych, — i o tem p. Tarnowski byłby się przekonał, zadając sobie pracę porównania mojej «broszury» z Morawskim, Skarbkiem, Koźmianem, z dyaryuszami, Dziennikiem Praw i współczesnemi gazetami. Sądziłem taki obraz użytecznym i potrzebnym, albowiem Pamiętniki Koźmiana, jakkolwiek szacowne, zawierają wiele omyłek, które wkradły się tam, już to dlatego, że autorowi pamięć niezawsze dopisywała, już to wskutek niedbałości wydania. Morawski pisał bajki historyczne. Skarbek zaś chciał tylko dowieść, «że próba r. 1815 się nieudała,» i bardzo wiele rzeczy opuścił lub mylnie opowiedział.

Czym tak mocno zbłądził, szukając przyczyn klęski r. 1830 w zbiorowem życiu poprzednich lat piętnastu, bliższy rozbiór okaże. P. Tarnowski wyrzuca mi, żem pominął »stanowczą i główną« przyczynę powstania, rozbiór Polski, wobec której wszystkie inne są »mniejsze, podrzędne, dodatkowe;« i na mocy tego liczy mnie do pozytywistów, odrzucających duszę człowieczą,

względy moralne i psychologiczne, światło prawdy i świadomość prawa. Zapewne rozbiór Polski był także przyczyną, nawet kardynalną, powstań r. 1830 i 1863, gdyby bowiem Polska nie została rozebraną, część jej nie przeszłaby pod panowanie Rosyi i upadłaby racya walki. Ale kiedy już szukamy przyczyn ostatecznych, to pójdźmy do źródła, do rozmowy Ewy z wężem pod zakazanem drzewem, co pociągnęło za sobą grzech i wypędzenie z raju, wieżę Babel i pomięszanie języków, a wreszcie powstawanie państw, zarówno Polski jak i jej rozbiorowych sąsiadów. Obok zaś samego faktu rozbioru, mieszczą się dwa inne fakta wielkiej i istotnej doniosłości politycznej. Polska została rozebraną wtenczas, kiedy się sama wewnętrznie rozpadła, kiedy nie miała ani rządu, ani wojska, ani skarbu, ani sprawiedliwości, ani administracyi, ani porządku społecznego. Prawa absolutnego do niepodległości politycznej nie zna historya, i sama jest niezmiernem cmentarzyskiem upadłych wielkości, świetnych niegdyś cywilizacyi i potężnych niegdyś narodów. Żaden naród nie otrzymał obietnicy trwałości politycznej; Żydzi, lud od Boga wybrany, poszli w niewolę i zostali rozproszeni za karę za własne błędy. Bóg widocznie pieczę nad niepodległością zostawił samym narodom, tak jak człowiekowi dał rozum, wolną wolę i sumienie. Naród traci lub nabywa prawa do niepodległości, własną nieoględnością lub zasługą. Rozbioru Polski to nie usprawiedliwia, bo jak trafnie wyraził się marszałek Windisch-Graetz, mówiąc o rozbiorze: »un gouvernement ne peut pas agir autrement qu'un honnête homme;« dla nas przecież wypływa ztąd nauka, że niepodległości nie odzyskamy przypominaniem utraconego

prawa, tylko wewnętrzną pracą, odbudowaniem społeczeństwa i dobrą polityką. Zaraz w r. 1813 popełniliśmy olbrzymi błąd, kiedy Rada konfederacyi odrzuciła propozycye przymierza, robione przez Aleksandra I, i kiedy ks. Józef, zamiast zostać z wojskiem na ziemi ojczystej, podążył za Napoleonem. »Poszliśmy pod Lipsk, dokąd nas prowadził mniemany honor, bo nas w kraju nie zatrzymywała ani miłość ojczyzny, ani rozum polityczny.*« Tak zawyrokowali «nauczyciele narodu» i podobno się nie omylili. W następstwie odejścia wojska i rozejścia się Rady konfederacyi, kraj dostał się pod obce panowanie bez żadnego warunku i na kongresie nie miał urzędowego reprezentanta; bronił naszej sprawy sam Aleksander, o czem świadczy ks. Adam Czartoryski w liście do swego ojca: «Tout le monde dispute la Pologne à l'empereur Alexandre... mal servi par les siens, tracassé par les autres, il tient cependant ferme... Tous les cabinets sont contre lui, personne n'ose dire un mot en notre faveur.**» Aleksandrem kierowały rozmaite względy, między niemi i polityka, dla kombinacyi politycznych najlepsza podstawa. Że nam dobrze życzył, że nam dobrze robił, tego i p. Tarnowski nie przeczy. Uduszenie Pawła, sprawa czysto rosyjska, nas nic a nic nie obchodziła, na nasze sprawy nie wpływała i wpływać nie mogła. O ile Aleksander był w zamiary morderców wtajemniczony, nikt nie wie, ani nawet pan Tarnowski, który wyciągając mgliste konkluzye, stosuje je do Polski, taksamo jak do Aleksandra cytacyą

---

* Roczniki Polskie T. I. p. 46.

** Un essai de libéralisme russe en Pologne, — Revue des Deux Mondes, 15 mai 1863.

o Tullii, jeżdżącej po ciele swego ojca na Via scelerata, i kończy: «podobno i Tullii i tego zabójstwa nigdy nie było..,» Jeżeli Aleksander był zbrodniarzem, jak z tem pogodzić dwadzieścia lat wiernej przyjaźni z cesarzem ks. Adama, jego poufałe stosunki i urzędowanie? Czyż nie wiedział, że służy zbrodniarzowi? Czyż nie wiedział, że wobec Polaków występuje jako poręczyciel zamiarów i intencyi człowieka, co palce w ojcobójstwie umoczył? Nie kto inny jak ks. Adam ręczył Koźmianowi i Linowskiemu za przychylność dla Polski Nowosilcowa, z którym przez lata się stykał i w gabinecie cesarza pracował. Albo więc ks. Adam nie znał się na ludziach, tyle co nowo narodzone dziecko, albo Nowosilcow nie był tak zaciętym wrogiem polskości, jakim go chce mieć legenda. Z czasem i Aleksander i Nowosilcow ostygli w liberalnym zapale, w czem znowu musieli mieć udział sami Polacy, nadużycia popełnione w Sejmach i spiski knowane. Na zmianę usposobień cesarza wpłynęły i stosunki europejskie, przecież ustępując sprzymierzeńcom, mianowicie ks. Meternichowi w kwestyach europejskich, nie ustąpił na gruncie polskim i swobód Królestwa nie umniejszył tak, jak tego gabinet wiedeński sobie życzył. Do r. 1820 Nowosilcow nie dał powodu do najmniejszej skargi, dopiero szaleństwa sejmowe i odkrycie spisku Łukasińskiego dałą mu przewagę w rządzie i wpływ na sprawy bieżące, a następnie na wychowanie publiczne w Litwie. Któż mu to ułatwił jeśli nie Polacy? na których sumieniu ciężyć będzie odarcie Litwy z dobrodziejstwa oświaty. «Czasy jeszcze niedawne, kiedy Ruś nasza i Litwa jaśniały światłem wielkich naukowych zakładów, — czytamy w Wiado-

mościach Polskich: Były to dla narodu ważniejsze dobrodziejstwa, niż gdyby cesarz Aleksander armią królestwa jeszcze o trzydzieści tysięcy powiększył, lub prowincye zabrane pod szalony zarząd ks. Konstantego oddał. Bo armią w kilku godzinach niezdolny jenerał stracić może, a to światło i nauka, które uniwersytet Wileński wraz z liceum Krzemienieckiem w naszem obywatelstwie rozkrzewił, mimo granice i podziały na gubernatorstwa, utrzymują Polskę przy jej narodowości i charakterze politycznym*» Obejrzy się kiedyś potomność i przypomni sobie spiski polskie. Towarzystwo patryotyczne, sąd sejmowy: odszuka także zkąd wyszli wiarołomni księża, służący za narzędzie religijnej polityki rządu rosyjskiego, przypomni to wszystko i zapyta, dlaczego ks. Kurator nie pilnował Uniwersytetu Wileńskiego, wyboru profesorów, nauczania na fakultecie teologicznym; dlaczego dopuścił do katedry takiego Lelewela, istne uosobienie ducha złego i truciciela młodzieży? Wtenczas także znajdą ludzie i to, że młodzież rozpuszczona za Muchanowa, po reorganizacyi szkół przez Margrabiego, przestała mieszać się do demonstracyi, że szkoła główna Warszawska nie spiskowała i do powstania nie przystąpiła, dopóki Margrabia Warszawy nie opuścił.

Za Aleksandra mieliśmy rząd polski, ministrów Polaków, Radę stanu, wojsko dowodzone przez polskich jenerałów i oficerów. Do szczegółów administracyi Aleksander nie lubił się mieszać nawet w Rosyi, w Polsce

---

* Roczniki Polskie T. I. p. 281.

tem większą zostawiał wolność ministrom. Ministrowie wiele też złego zrobili, nie strzegli ducha publicznego, nie pilnowali wychowania, szczepili ateizm, naruszali konstytucyę. A w nieposzanowaniu konstytucyi na czele szedł Lubecki. Mylnem jest, jakobym miał twierdzić, że «skarbowi nie wiele dobrego zrobił,» powiedziałem bowiem, że «był znakomitym i niepospolitym ministrem skarbu, że mu za trwałą zasługę poczytanem być winno uratowanie i zabezpieczenie bytu politycznego Królestwa, założenie Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego i Banku polskiego, uregulowanie długu publicznego, uruchomienie kapitału krajowego, stworzenie znaków zamiennych.» Obroniłem go od zarzutu, jakoby szerzył demoralizacyę i sprzedajność lub dążył do wynarodowienia Królestwa; wyliczyłem wszystkie jego zasługi szczegółowo, i w mojej «broszurze» wygląda o wiele korzystniej niż w Pamiętnikach Koźmiana. Przemilczeć mi było trudno — prawdy. Lubecki górnictwa nie wskrzesił, bo górnictwo pielęgnować począł długo przed nim Staszyc: utopił bez pożytku ogromne kapitały w budowle, stawy i machiny. Zapewne p. Tarnowski czytał w bajkach Morawskiego, że nasz «cynk szedł do Indyi,» ale to była cała platoniczna pociecha, gdyż aż do chwili przejścia zakładów górniczych w ręce prywatne, nie przynosiły żadnego dochodu i nie były w stanie opłacać administracyi lasów koronnych kosztów opału. Czytamy nieraz, że wszystko, co się działo w Królestwie, zrobił Lubecki, że budował drogi, które pozostały do końca pod Mostowskim i których dla braku funduszów zawsze było za mało; że ufundował dzisiejszą pomyślność ekonomiczną Królestwa, na co złożyły się

zupełnie inne warunki: otwarcie targu rosyjskiego przez zniesienie granicy celnej i wykończenie sieci dróg żelaznych, cła ochronne, spadek rubla, napływ obcych przemysłowców, którym drogę do Polski pokazał — Mostowski. Nieudanie się jednego przedsiębiorstwa, nie przynosi ujmy mężowi, co tak wiele zdziałał, ale faktów dyletantyzm nie zmaże. Od początku urzędowania, Lubecki nie szanował konstytucyi i gwałcił prawo własności prywatnej, a w postąpieniu z piwowarami dopuścił się krzyczącej niesprawiedliwości. Prócz prawa o Towarzystwie Kredytowem Ziemskiem, nigdy Sejmu o nic nie pytał, ani o założenie Banku, ani o sprzedaż dóbr koronnych, ani o wypuszczenie papierowej monety, ani o uregulowanie długu krajowego; nigdy też nie wniósł budżetu, choć mógł i powinien był wnieść. Wprawdzie za jego urzędowania były tylko dwa sejmy; wprawdzie sejmy rozumiały się finansach jak ślepy na kolorach, lecz w konstytucyi stało czarno na białem, że uchwalenie praw skarbowych należy do sejmu. Lubecki chciał być zawsze na wierzchu, więc nie lubił, żeby mu kto się mieszał w jego roboty, ale sam mieszał się do wszystkiego. I tak zdezorganizował Radę Administracyjną, zniechęcił kolegów, darł koty z Nowosilcowem. Jak się znalazł w chwili wybuchu, to opowiedziałem gdzieindziej i nic dodać ani ująć nie mogę.

Wprawdzie p. Tarnowski lekceważy zachowanie się ministrów względem konstytucyi i sejmów, bo lekceważy i same sejmy, według niego znaczące «nie wiele.» Któż temu winien, że sejmy nie wiele znaczyły? Najwięcej winni ludzie, co z nich pożytku wyciągnąć nie umieli. Najlepsza, najzbawienniejsza instytucya pozo-

stanie martwą literą, gdy czynność ludzka jej nie zapłodni. Wadliwe, często śmieszne były przepisy konstytucyi o porządku sejmowym; Aleksander sam fałszywie pojmował naturę rządów reprezentacyjnych; sejmom przeznaczał niebezpieczną rolę platonicznych doradców i zrzędów z urzędu: ministrowie nie starali się Izb prowadzić i utworzyć stronnictwa rządowego, lecz ostateczny cios sejmowaniu zadali sami senatorowie i posłowie. I nie jest-to żadne moje przywidzenie, że umiejętnem obchodzeniem się z instytucyą sejmów, można było zrobić z niej czynnik dodatni i bardzo ważny w życiu publicznem. Zaraz na pierwszym sejmie 1818 r. upadł przepis limitujący do trzech dni trwanie obrad nad każdym projektem zosobna. W dwa lata później, Rada Stanu wystąpiła z szeregiem bezporównania liczniejszym, ważnych projektów prawodawczych. Nowy statut dla Izby poselskiej przepadł zaraz w komisyach, przepadł bez wieści, tak, że o nim nic nie wiemy, lecz sądząc po Statucie dla Senatu, z którym tworzył całość, musiał być lepszym niż obowiązujący. Zginął także kodeks procedury karnej, bo opozycya żądała, aby elaborat Rady Stanu poszedł pierwej pod opinię sędziów, adwokatów i Bóg wie kogo. Znany jest los Statutu dla Senatu, odrzucony przez Izbę wskutek teroryzmu Kaliszanów. Gdyby Sejm chciał był sumiennie pracować, runąć musiał sam z siebie trzydziestodniowy okres obrad, i w przyszłości rząd byłby chętnie coraz szersze atrybucye Izbom przyznawał. Tymczasem okazało się, że Polacy choć «przywykli do systemu reprezentacyjnego,» niezdolni byli do porządnego sejmowania. Przywiązanie zbyt ślepe do doktryny konstytucyjnej niczego

nie tłómaczy, bo najzawziętszy doktryner winien nie zapominać najprzód o istotnym pożytku kraju, a dalej o wymaganiach rozsądku i prostej przystojności. — Sejm następny roku 1825 był spokojny i pracowity, czego przyczyny Skarbek wytłómaczył; — lecz cóż dalej się stało. Pan Tarnowski utrzymuje, że «brak opozycyi nie wyszedł na dobre krajowi, bo odtąd Sejmy są spokojniejsze, ale kraj coraz więcej wzburzony i po za jawnem legalnem życiem coraz silniej rozwija się inne ukryte.» Spiski istniały od r. 1819, ale gdzież były te Sejmy spokojne, kiedy, w których latach? Gdzież są dyaryusze, lub jakie ślady tych Sejmów spokojnych? W rzeczywistości był sejm tylko jeden r. 1830, przechodzący niespokojnością i burzliwością wszystkie najgorsze sejmy polskie, którego dyaryusz drukowany w roku następnym, znajduje się w każdej nieco zamożniejszej bibliotece. Najwidoczniej p. Tarnowski tego dyaryusza nigdy nie wziął do ręki, a nie dowierzając tendencyjnej «broszurze,» prześlizguje się jak sylfida nad ostatnim sejmem polskim i gromi mnie za «przylepienie ogółowi przydomku niewolniczego rodu.» Wyrażenia tego nie cofam i nie cofnę: odnosiło się nie do ogółu posłów sejmowych, ani do całego pokolenia, tylko do zacietrzewionych opozycyonistów rozprawiających o gwałceniu wolności, z powodu domów przytułku i pracy, w sposób dowodzący aż nadto jasno, że oni wolności nie rozumieli i do wolności nie byli stworzeni. — Nic zaiste bardziej nauczającego i nic bardziej bolesnego w historyi owych lat piętnastu, jak ów dyaryusz sejmu poprzedzającego wybuch listopadowy. Czytając go, człowiek nieraz oczy przeciera i pyta się samego siebie,

czy to zmora jaka, czy rzeczywistość? Co do mnie, robi mi on wrażenie jak gdyby w epoce rewolucyjnej, wydawcy umyślnie go przesolili *ad majorem gloriam* przewodzącej kliki. Ale gdyby dziesiąta, gdyby setna część tylko była prawdą, to i ta cząstka wystarcza i tłómaczy wszystko co się później stało, pokazuje bowiem, że klasa rządząca była do szpiku kości stoczona anarchią i że po tem pokoleniu już nic spodziewać się nie było można. Każda Izba na świecie ma swoich krzykaczy i zapaleńców, za których ogół nie odpowiada, których większość trzyma na wodzy i poskramia. Tam nikt nie śmiał sprzeciwić się opozycyi, nikt nie zaprotestował przeciwko najnikczemniejszym napaściom na ministrów, na Radę stanu, na Marszałka, na wszelką władzę bez wyjątku. Takie sejmowanie było otwartym buntem przeciwko elementarnemu porządkowi rzeczy tego świata, który stoi nie na czem innem przecież, jak na poszanowaniu prawa i zwierzchności.

Powiastka p. Tarnowskiego o sejmach niebywałych pochodzi ztąd, że o tych czasąch jeszcze dość blizkich, nikt nie sądzi potrzebnem sprawdzać u źródła rozmaite podania krążące z opowiadań i wspomnień. Tyczy się to szczególnie spisków ówczesnych i Towarzystwa patryotycznego, i na tym punkcie największa panuje drażliwość. Co pan Tarnowski o nich sądzi, wiedzieć trudno, bo tego wyraźnie nie powiada. Nie mogąc razem pogodzić sentymentalnego patryotyzmu starej daty, emigracyjnej apokalipsy o «sprawie,» religijnych uczuć, konserwatywnych teoryi, zmysłu politycznego, jaki daje udział w życiu publicznem, i różnych rzeczy, które bez logicznego związku biegną w jego umyśle równo-

legle do siebie i stykają się dopiero gdzieś w nieskończoności, p. Tarnowski zmienia język i jak w kalejdoskopie coraz z innego stanowiska gani lub uniewinnia spiskowe roboty. Zdaje mi się, że dla katolików jest tylko jedno w tej mierze stanowisko: co Kościół w tej materyi stanowi. Kościół wszelkie spiski religijne, polityczne czy socyalne, zakazuje, potępia i klątwą obrzuca. Co stanowi treść i istotę spisku: przysięga na ślepe posłuszeństwo władzy niewiadomej i nieprawej. Charakter ten nosiły całkowicie na sobie dwa pierwsze tajne stowarzyszenia: wolnomularstwo narodowe Łukasińskiego i Towarzystwo patryotyczne. To ostatnie związane było przysięgą, przekopiowaną z roty węglarzów włoskich, z dodatkiem cienia Kościuszki i innych cieniów. Dążność rewolucyjna w nich tkwiła, mianowicie w spisku Łukasińskiego, który działał w porozumieniu z węglarzami i gotował powstanie w Polsce jednocześnie z wybuchem na półwyspie. Towarzystwo patryotyczne liczące przeszło pięć tysięcy członków, rozsypanych po Królestwie, Litwie i zabranym kraju, już z powodu rozmiarów swoich nie mogło mieć ścisłej organizacyi, w dalszych prowincyach wchodzono weń często bez przysięgi, ale wszyscy wiedzieli, że celem jest zbrojny poryw i na Wołyniu i Podolu szlachta w biały dzień się zbroiła. Centralna władza Towarzystwa spoczywała w rękach niedołężnych, dla tego prowincye i gminy kierowane były przez najbliższych zwierzchników. Między nimi byli prawdziwi sekciarze, jak np. ów Machnicki, stary i wytrawny konspirator, ostrożny, rzadko przychodzący na posiedzenia komitetu. Były i związki z zagranicą, świadkiem ów Karski, ujęty z papierami w powrocie

z Włoch, gdzie jeździł końcem porozumienia się z sektą, i ów kuzyn Niemojowskiego za to samo w Warszawie aresztowany; wreszcie Lelewel, knujący na współkę z Francuzami. O tych wszystkich rzeczach wiemy zaledwie cząstkę prawdy, która wystarcza, aby przyjmować *cum grano salis* powieści o «literackich» dążnościach Towarzystwa patryotycznego. Najgorszem stowarzyszeniem ze wszystkich, był bezwątpienia obóz Templaryuszów Majewskiego; ten, wyćwiczony w lożach szkockich, zawsze bąkał o «dalszych celach,» z których nikomu się nie zwierzał. —W konszachtach z rosyjskimi spiskowcami był zamiar zbrodni stanu i przygotowania do niej, gdyż umawiano się i zgodzono na oderwanie Królestwa od Rosyi i na zerwanie paktu konstytucyjnego, który wyraźnie warował nierozłączność obu koron. W tej postaci sprawa przyszła przed sąd senatu, który miał orzec czy usiłowania tej natury są lub nie są zbrodnią stanu. Akt zwołania i zagajenie ministra sprawiedliwości sądowi przepisały, iż w ocenieniu dowodów winy trzymać się ma nietylko przepisów procedury karnej, ale głównie własnego sumiennego przekonania. Godność senatu wskazywała, iż winien rządzić się sumieniem i moralnem przekonaniem, a sejmy zawsze domagały się o zaprowadzenie sądów przysięgłych nawet na zwykłe przestępstwa, cóż dopiero na przestępstwa polityczne, gdzie materyalne dowody są tak często trudne do zebrania. Żeby uchylić się od obowiązku sądzenia według sumienia i winnym zapewnić bezkarność, senat uznał się związanym przepisami procedury karnej w ocenianiu dowodów winy, uznał nieważnym wynik pierwszego śledztwa, przeprowadzonego

pod prezydencyą Stanisława Zamoyskiego (prezesa Senatu), obalił dowody dostarczone przez prokuratora i poprzestał na twierdzeniach oskarżonych. Nie o wymiar sprawiedliwości szło niestety Senatowi, lecz o zadośćuczynienie brukowej opinii i staremu nałogowi bezkarności. Że i dziś znaleźliby się ludzie gotowi pójść za przykładem senatu, nie wątpię. Tylko chwaląc zły przykład z góry idący, pamiętajmy, że uprawniamy wszystkie nadużycia; nie skarżmy się, gdy sądy przysięgłych uwalniają socyalistów i przeniewierców; nie narzekajmy, gdy sądownictwo rosyjskie w Królestwie kieruje się w wymiarze sprawiedliwości względami politycznemi: w jednym i drugim razie dzieje się to samo, co się działo w Warszawie przed sądem Senatu. Wyrok Senatu sprowadził polit cznie najgorsze skutki, nie dla czego innego, tylko dla tego, że zaćmił uczucie sprawiedliwości, tlejące na dnie duszy człowieka. Sam Senat czuł, ze źle zrobił i w raporcie prezesa na siebie akt oskarzenia i wyrok potępienia napisał.* Próżnąby była sztuczka zalecana przez p. Tarnowskiego i polegająca na tem, żeby Senat w motywach wyroku oświadczył, że potępia spiski, czyli innemi słowy odezwał się do konspiratorów: potępiam was, ale nie pozwolę, aby wam włos spadł z głowy, knujcie więc bracia bezpiecznie, skoro wam się tak podoba.

Miałem i ja w ręku, niedalej jak parę tygodni temu, znakomitą pracę o Królestwie kongresowem, którą p. Tarnowski cytuje. Z wielką pociechą dla mnie prze-

---

* Jak inni ministrowie, tak i Mostowski w sądzie nie zasiadał, więc za uniewinnieniem głosować nie mógł.

konałem się, jak zgodne są moje zapatrywania na owe czasy z sądami człowieka, któremu nie dochodzę do kostek wiedzą i talentem. Spotkaliśmy się nawet w wyrażeniach, nigdy pierwej o tej materyi nie mówiąc; wyszliśmy oba z jednego punktu i do tych samych przyszliśmy wniosków, choć szanownego autora rękopismu, p. Tarnowski pewno o pozytywizm nie posądzi. I on przyczyny powstania r. 1830 znalazł w całym rozwoju życia publicznego w Królestwie, w stanie Kościoła, w wychowaniu, w administracyi, w sejmowaniu, w spiskach, w bezkarności, w nieposłuszeństwie młodzieży, w lekkomyślności starszyzny.

Wracając do choroby spiskowania, jest jeszcze jeden wzgląd, potępiający ostatecznie Towarzystwo Patryotyczne. Ono to przyczyniło się głównie, bezpośrednio, i pośrednio, do zdziczenia ówczesnej młodzieży, ono wyrobiło w niej ten szalony popęd do zbrodni, do morderstw. Krzyżanowski odmawiał zabicia Konstantego, bo «jeszcze żaden Polak rąk w krwi królewskiej nie zbroczył;» ale zjechał do Warszawy Łunin, żeby skłonić innych do sprzątnięcia następcy tronu, o którego abdykacyi Rosyanie nie wiedzieli. Skrajne żywioły Towarzystwa, późniejsi «Jakobini,» czerpali swą mądrość z przykładów rewolucyi francuzkiej; starszyzna spiskowa, między nią Lelewel, uczyli, że dla szczęścia Polski trzeba krwią użyznić bruk warszawski. I niebawem pojawił się spisek koronacyjny, niedoszły do skutku, bo wspólnicy z wyższych sfer się cofnęli i ów dyplomata dobrze wiadomy, zamiast pojechać do Berlina, poszedł na bal do Zamku. Gdyby spiskowi odstąpili byli od zamiaru dlatego tylko, że «plan był występny

i nieszlachetny,» w takim razie nie byłoby zamachu na W. ks. Konstantego na placu Saskim (18 października), projektu zabicia go w ciasnej uliczce, i nakoniec napadu na Belweder. A morderstwo jenerałów, czy to nie dalszy ciąg i owoc tego samego popędu do zbrodni?* I cóż tych szaleńców obronić mogło od podszeptów i pokus zewsząd nań się cisnących? Nic innego jak poszanowanie przykazania, które mówi: nie zabijaj! i nie robi żadnego wyjątku ani na wielkich książąt, ani na jenerałów, co obowiązku i przysięgi złamać nie chcą. I to drugie przykazanie nakazujące szanować władzę ojcowską i publiczną, nie robi żadnego wyjątku na rzecz patryotycznych porywów. Św. Tomasz wyraźnie powiada, że nie przystoi indywiduom sądzić, czy panujący jest tyranem i zpod jego władzy samowolnie się wyłamywać. Inaczej porządek publiczny byłby prawowicie wydany na łaskę i niełaskę pierwszego lepszego szaleńca, jak się to stało w Warszawie dnia 29 listopada.

Szkoda, że p. Tarnowski nie uznał za stosowne sprawdzić, o ile pomyliłem się w opowiadaniu wypadków szalonej nocy i dni następnych. Pisałem z goryczą, to prawda, nie oszczędzając ludzi, co w mojem przekonaniu na potępienie zasługują, ale to niedosyć, aby utrzymywać, żem fakta poprzekręcał i ponakręcał. Faktem jest przez samego p. Władysława Zamoyskiego

---

* Jenerał Staś Potocki zginął od jednej kuli wystrzelonej przez człowieka wiedzionego osobistą zemstą. Umierając, zakazał żonie i córce wyjawiać nazwisko zabójcy. Tragiczny opis Mochnackiego, przezemnie powtórzony, jest całkowicie zmyślony.

podanym, że gdy wódz naczelny dał mu rozkaz prowadzenia pułku do jen. Potockiego, p. Zamojski udał się do ks. Czartoryskiego. «Voici des chasseurs, prenez-les, menez-les à Staś, qu'il en fasse ce qu'il voudra;» rzekł Konstanty: rozkaz był wyraźny. W. książę posłał jeszcze wraz z pułkiem jenerałów Krasińskiego i Kurnatowskiego, co wszakże położenia p. Zamoyskiego nie zmieniało: jego miejsce było przy pułku. U ks. Adama postanowiono zwołać Radę Administracyjną, co było w porządku, ale co nie było w porządku, to przyzwanie Niemcewicza, Paca, Radziwiłła, Kochanowskiego, niemających żadnego tytułu do zasiadania i których udział zmienił Radę Administracyjną w naradę familijną. Każdemu wolno prywatnie się zbierać i radzić, tylko nie trzeba było spisywać protokółu urzędowego. Czuł to ks. Lubecki i dlatego polecił zamieścić na czele słowa W. księcia przez Zamoyskiego powtórzone. W pierwszej konferencyi z naczelnym wodzem, należało zawezwać go urzędownie, aby zajął się przywróceniem porządku, lub dowództwo zdał jednemu z polskich jenerałów. Tego nie uczyniono. Pan Zamoyski utrzymuje w swoim pamiętniku, że przewidywał wszystkie nieszczęścia i następstwa wybuchu, ale robił wszystko, co mógł, aby nie dopuścić jedynego radykalnego ratunku: przywrócenia porządku siłą. Naiwnością jest twierdzić, jakoby odezwy i półśrodki mogły zbrojny rokosz same przytłumić; jakoż pomimo odezw i relikwii, anarchia rosła i głowy rządzących prędko przerosła. — Konwencya zawarta w Wierzbnie niczego nie dowodzi, bo Wielki książę przetraszony przystawał na wszystko, byle otrzymać przyzwoitą sposobność odwrotu. Przyłączenia

Litwy i Rusi do Królestwa, Polacy życzyli sobie bardzo słusznie, mieli prawo domagać się od Aleksandra spełnienia obietnic, zbyt lekko uczynionych. Z drugiej jednak strony politycznie rzecz była niemożebną, gdyż Aleksander ugiąć się musiał przed wolą własnego narodu, którą każdy jego następca musi szanować, dopóki wzajemna nieufność, dzieląca oba narody, nie zniknie. Zarzuca p. Tarnowski, że ja tej nieufności nie rozumiem, choć o niej w tej nieszczęsnej «broszurze» często wspominam, i zaraz sam dodaje jako «w pierwszych latach Królestwa ledwie że była!» A cóż, jeżeli nie ta nieufność odpychała Polaków od Aleksandra? Gdzież szukać przyczyny zimnego przyjęcia ogłoszenia Królestwa i pierwotnej niepopularności ks. Adama, którego wielkie panie warszawskie, sama jego przyszła żona, na publicznych ceremoniach wytykały palcem, nazywając go «Moskalem»? I jeszcze ta nieufność zaślepiała Polaków za to, że Litwa miała swój Statut, Ruś swoje instytucye autonomiczne i sądownictwo, polskie szkoły, unią, tysiączne węzły wspólne, które należało szanować i nie zrywać niesieniem tam spisków i powstania. Był środek prosty zbliżenia prowincyi do Królestwa: znieść granicę celną. Chciało się nam centralizować i niwelować, odwieczne prawa zastąpić Napoleońskim kodeksem, zaprowadzić rady wojewódzkie, wspólne podatki i sejmowanie, choć nie wiem, coby byli rzekli na to Litwini, zwący nasz kodeks ówczesny: pogańskiem prawem. Spiski i wzywania do broni przyprawiły Litwę i Ruś o utratę wszystkiego, co miały, a my teraz udajemy się z pretensyami do Świętych pańskich, że Wilna nie bronią od Murawiewów! Nauka 1830 r. poszła w las;

w 1861 ponieśliśmy znowu burzę za Niemen, a choć «ten grzech srogo ukarany i odżałowany» nie wiem czy odpuszczony; w każdym razie skutki nie naprawione. — Podnosić w Warszawie bunt przeciw Cesarzowi i żądać przyłączenia prowincyi, to dopiero był środek na długo od celu odwodzący, gdyż rozstrzygnąć miała siła, którą w ręku dzierżył Mikołaj. Niech się p. Tarnowski nie gorszy słowem «bunt.» Nie jest to synonim «wojny narodowej:» lecz w stosunku do Cesarza, a dosłownie tak wyrazu bunt użyłem, powstanie polskie było buntem przeciwko władzy legalnej, traktatami uświęconej; tak zresztą — *révolte* — wyrażał się lord Palmerston, w prywatnych rozmowach i w dokumentach dyplomatycznych. W końcu czujemy to obaj, że tak jak rzeczy stały wówczas, w parę lat po przyłączeniu prowincyj do Królestwa, nowe powstanie byłoby wybuchło, więc z punktu widzenia Rosyi, ustępstwo do pacyfikacyi nie prowadziło. Mieli pewną racyę krzykacze Warszawy, wołając: na Litwę! Pochód na Litwę dawał nadzieję ułatwienia dowozu broni morzem, możność organizowania się w Królestwie, jakiś plac bojów, zamiast kręcenia się pod Warszawą, z Wisłą za plecami i z jedynym na niej mostem. Rząd na taką decyzyę się zdobyć nie mógł, gdyż o wojnie nie myślał, a marzył o układach, co mu nie przeszkadzało robić wszystko możebne i niemożebne, żeby do starcia z Rosyą doprowadzić. Zwołując Radę administracyjną, ks. Czartoryski, gdyż to on ją zwołać doradził, wziął na siebie moralną odpowiedzialność za dalsze czynności rządu i ich następstwa. On górował w rządzie dostojeństwem, powagą, popularnością, światłem i przy-

miotami duszy i serca. Miał przed sobą do wyboru dwie drogi, albo żądać, iżby rzeczy szły po jego myśli, albo się usunąć i zachować na przyszłość. Nikt nigdy zniewolonym być nie może do rządzenia wbrew własnym przekonaniom, ale gdy zostaje przy władzy, pamiętać winien, że władza to nie żaden marny przywilej, tylko straszny ciężar i niezmierna odpowiedzialność. I dla tego jeszcze, człowiek stojący u władzy, ma prawo domagać się, aby był słuchanym. Księcia nikt nie słuchał, on pomimo tego poświęcał się i trwał na stanowisku. Nie było żadnej władzy, żadnego rządu; krew się lała napróżno; marnowała się ofiarność narodu, aż wreszcie sprawdziła się na bruku warszawskim przepowiednia św. Jana Złotoustego: «gdyby społeczeństwo nie było przez jakąś władzę rządzone, ludzie staliby się dzikszemi, niż dzikie zwierzęta: nietylkoby się kąsali, ale pożarliby jedni drugich.»

W tej «ostatniej wojnie narodowej» trzeba oddzielić bohaterstwo tych, co ginęli za ojczyznę, od uczynków tych, co losami ojczyzny kierowali. O ile pierwsi zasługują na uwielbienie, o tyle drudzy straszne popełnili grzechy. Jakkolwiek mam być pozytywistą, nie mniemam, aby tylko sukces o wartości człowieka czy przedsięwzięcia wyrokował, aby «skutek dzieło chwalił.» Ta sama szkoła polityczna, co pamięci Margrabiego wyrzuca, że jego polityka była złą, «gdyż się nie udało,» nie zna miary ani granicy w apoteozowaniu ludzi r. 1831, którym gorzej się nie udało. Byli panami położenia, o tyle, że rozporządzali całym krajem i jego wszystkimi zasobami, armią dzielną choć szczupłą, administracyą, jednomyślnością szlachty i uległem po-

słuszeństwem ludu wiejskiego. Polski niepodległej zdobyć nie mogli, i za to nie są odpowiedzialni. Odpowiadają za zmarnowanie sprawy, za dopuszczenie, że anarchia zjadła i zniweczyła siły kraju. Zaledwie pojawiła się dyktatura, już sejm ogranicza władzę Chłopickiego, dodaje mu aniołów stróżów, stawia obok niego drugi rząd, wynajduje «magistratury» neutralizujące się wzajemnie, jednem słowem: organizuje nieład. Lelewel, członek rządu i prezes klubu, spiskuje przeciwko dyktatorowi; książę Czartoryski ochrania go przed zasłużoną karą, i wszystko po dawnemu zostaje. Któż był przeciwniejszym zdetronizowaniu Mikołaja, jak książę Adam; «gubicie Polskę!» rzec miał do marszałka Ostrowskiego, pomimo tego podpisał, przyjął prezydencyę rządu, ścierpiał obok siebie Lelewela, i doczekał się wreszcie, iż mu Lelewel na radzie rządowej słowo: zdrada! w oczy cisnął. A czyż to nie zgroza, ten sejm obradujący bez końca i miary? Kraj w płomieniach, krew leje się potokami, wszystko na kartę postawione: sejm radzi, wybiera rząd, wybiera wodzów, doskonali konstytucyę, rozszerza swoje własne atrybucye, prowadzi wojnę, każe jenerałom «zwyciężyć lub zginąć!» Po Grochowie większa połowa sejmujących salwuje się ucieczką, reszta ogranicza komplet do trzydziestu trzech członków, żeby módz obradować «nawet za granicą.» Jenerałowie radzą wejść w układy, Danenberg przywozi warunki Paskiewicza; Sejm odpowiada, że to «podstęp Moskiewski,» że Polska chwyciła za broń o «niepodległość w odwiecznych granicach,» i każe wojsku bronić Warszawy, zaledwie okopanej! Następnie udaje

się do Zakroczymia i tam ozdabia siebie «gwiazdą wytrwałości!» «Nie było nacisku do władzy... nikt nie śmiał użyć gwałtownych środków dla przeprowadzenia zmiany rządu,» z dumą opiewa Morawski, a to właśnie było smutnem świadectwem o żywotności społeczeństwa. W braku potężnych i płodnych ambicyi, pod cieniem ofiarności szlachetnych charakterów, rozrastał się chwast pełzających, nizkich żądz, i osobistych, dla sprawy zabójczych ambicyi. »Jenerała nam przyszlijcie, znanego francuzkiego,» wołał w niebogłosy Gustaw Małachowski. Jakto? naród dobijający się niepodległości, musiał szukać najemnych kondotyerów? Mieliśmy jenerałów dzielnych, tak dzielnych, jeśli nie lepszych, jak najbitniejsze narody; mieliśmy ich podostatkiem do prowadzenia i dwukroć żołnierza, cóż kiedy nikt słuchać nie chciał zwierzchnika! Na polu bitwy walczyli jak lwy, ginęli jak Spartanie; stać ich było na wszystkie heroizmy, z wyjątkiem jednego posłuszeństwa. Po Grochowie, Szembek podaje się do dymisyi; po Ostrołęce Krukowiecki wypowiada posłuszeństwo naczelnemu wodzowi; Prądzyński kramarzy się bezustannie z Skrzyneckim, i w końcu oskarża go przed Sejmem o sybarytyzm i tchórzostwo! Podwładni oficerowie dopuszczają się otwartej niesubordynacyi, nie chcą wracać do obozu: Skrzynecki ukarać ich nie może, bo sędziów nie znajdzie. — Rząd własnego bezpieczeństwa i przystępu do sali swych posiedzeń bronić nie umiał; zmiotła go zawierucha uliczna jednym podmuchem; ks. Czartoryski musiał pokryjomo uchodzić z Warszawy, a ster sprawy wpadł w ręce ludzi, którzyby go nigdy dotknąć się nie powinni byli. I tak,

źle i lekkomyślnie rozpoczęte powstanie, skończyło się haniebnie. Armia dwa razy liczniejsza niż w początku, rozchodzi się bez wystrzału; sejmikowicze, co całą zagarnęli władzę i z siły zbrojnej przyboczną straż dla siebie zrobili, nie pamiętali nawet o tem, iżby żołnierzowi, dobrze ojczyźnie zasłużonemu, zapewnić dalszy los i przed zemstą zwycięzcy go zasłonić. Im pilno było do Paryża, radzić, dyplomatyzować, protestować, ojczyznie służyć na obcej ziemi i nową Polskę fundować — nad Sekwaną.

Że tak a nieinaczej się działo, p. Tarnowski nie zaprzeczy, a jeśli zaprzeczy, nie dowiedzie. — I czegoż to wszystko dowodzi? Czy tak ciężka niemoc społeczna mogła rozwinąć się z dnia na dzień? Nie. Był to owoc piętnastoletniego posiewu, powolnego rozprzężenia i ciągłej negacyi. Nieszczęściem był W. książę, zawadą Nowosilcow, niedołęgą Zajączek, lecz Konstanty się umiarkował, Nowosilców wyniósł się do Słonima, a Zajączek umarł. Wszyscy trzej razem nie mieli dość siły, aby przemódz rozumny opór społeczeństwa, które nie było przecież bezbronne, bo z jego łona wychodzili ministrowie, jenerałowie, senat, Izba poselska, duchowieństwo, administracya, ciało nauczające. Opozycya kaliska, złożona, jak p. Tarnowski powiada, z «żaków,» mogła istnieć i wichrzyć bez szwanku dla sprawy, byle naprzeciw niej stanęła była jakaś większość, czy mniejszość z określonem dążeniem, z dodatnim kierunkiem. Słyszymy zawsze o drażniących szpiegostwach i aresztowaniach, ale przyznać nie chcemy, że do nich dały powód spiski i tolerancya użyczona przez ogół podziemnym knowaniom. Zmuszona bronić się, władza

broniła się niezręcznie, gdy zaś wszyscy przeciw niej jątrzyli i podburzali, nerwowy rozstrój doszedł do tego stopnia, że gdy szpieg Birnbaum za nadużycia poszedł na dziesięć lat w kajdany, kara zamiast uspokoić umysły, jeszcze bardziej rozogniła nienawiść do rządu. Uchybiłem Niemcewiczowi, nazywając go «plagą,» lecz czemże on był innem? Miał on «gorącą miłość ojczyzny, i całe życie wiernie jej służył;» zgoda, cóż jednak była warta służba ojczyźnie taka, w któréj osobiste urazy zawsze nad rzeczą publiczną przeważały? Ustawicznie wyzywał W. księcia, bo go nienawidził; poróżniwszy się z Zajączkiem o marne cenzurowe spory, prześladował go zapamiętale językiem i piórem; wiązał się przeciw obu ze studentami i z kobietami, byle własnej urazie pofolgować. Prywata wszędzie rolę grała, u Niemcewicza, u Niemojowskiego, u Linowskiego; możnaby ułożyć całą genezę ówczesnych kwasów z nienawiści osobistych. Z góry szedł zły przykład, za starszyzną lgnęła reszta do lóż masońskich, a z nich do spisków; nie szanowała zwierzchników; urzędnicy knuli przeciwko rządowi, któremu służyli, oficerowie przeciwko naczelnemu wodzowi, i nigdzie poczucia obowiązku nie było. Brakowało temu społeczeństwu więzi dynastycznej, gdyż dynastya była świeżą; służyć królowi nie znaczyło wcale służyć ojczyźnie, a Królestwo nie mogło całej ojczyzny reprezentować; nie przeszkadzało to jednak szanować zasady władzy, i oddawać co należy współziomkom władzę piastującym. Pogardzano ministrami i Radą Stanu, pogardzano Senatem, skoro tylko przestał wtorować krzykaczom w Sejmie; ludzie co życie strawili na służbie kraju, tracili zaufanie

wstępując do rządu. «Nigdy w Polsce dobrze nie będzie, jeśli Polacy patryotyzmu nie przetłómaczą na posłuszeństwo,» mawiał pod koniec życia Maurycy Mochnacki. Jakoż nieposłuszeństwo nietylko sprowadziło powstanie, lecz i powstanie zabiło. Nie słuchano pierwej rządu, bo rządził w imieniu Aleksandra; nie słuchano potem ani ks. Czartoryskiego, ani Niemcewicza, ani Chłopickiego, ani Skrzyneckiego, ani nikogo. I gdy powstanie upadło, obcy nami rządzić poczęli, rządów bowiem nikt powierzyć nie mógł ludziom, co rozkazywać i słuchać nie umieli.

II.

EMIGRACYA W STOSUNKU DO KRAJU I MARGRABIEGO.

Miała emigracya przyczynę bytu odległą w legionach włoskich; miała drugą bezpośrednią w tem, że wielu uchodzić musiało przed karą lub zemstą zwycięzcy. Niepotrzebnem jednak było wlec za sobą na obczyznę kilka tysięcy ludzi pozbawionych sposobu do życia, skazanych na to, aby być ciężarem sobie i drugim. Zacietrzewieni sejmikowicze, uważali za lepsze złożyć broń w Prusach i w Austryi, niż podpisać, dopóki był czas, kapitulacyę z Paskiewiczem. Tak liczne wychodźctwo musiało się rozpaść na niezliczone ułamki i utonąć w znacznej części w mętnych wodach rewolucyi powszechnej. Niezgoda, wzajemne oskarżenia, potwarze, stały się chlebem powszednim dla wszystkich, trucizną moralną dla wielu. Czoło wędrownej rzeszy chciało służyć ojczyźnie, ale jej służba nosiła w sobie zaród śmierci. Dla niej bieg świata zatrzymał się z chwilą opuszczenia ziemi ojczystej; musiała przyjąć za hasło i cel niepodległość Polski w odwiecznych granicach, żeby własne błędy w ciągu powstania popełnione uzasadnić i pokryć, żeby nie zabdykować na rzecz go-

rętszych żywiołów i nie dać się nikomu prześcignąć. Jako hasło, jako idea ożywcza, myśl niepodległości była zbawienną, chroniła od zupełnego zwątpienia i upadku. Jako podstawa polityki, rodziła politykę fałszywą i zgubną. Pociągała za sobą postawienie kwestyi między zwyciężonymi i zwycięzcą, na ostrzu noża; nie dopuszczała żadnego kompromisu i poprawy losu kraju drogą częściowych ustępstw. Narodowi przepisywała za pierwszy obowiązek i pierwszą cnotę — nienawiść, która nigdy jeszcze nic trwałego nie zbudowała, ani jest zdolną człowieka podnieść i uszlachetnić. Kraj wyczerpany wstrząśnieniem, ogołocony z inteligencyi, fizycznie i moralnie uciśniony, przestał myśleć o sobie, zdał się na emigracyę i odłożył pracę do szczęśliwej chwili, gdy Europa pospieszy na sukurs i najezdcę za Dniepr i Dźwinę usunie. — Pomału, emigracya wiedziona najszlachetniejszą intencyą i siłą rzeczy, założyła nową Polskę na bruku paryzkim. Ta Polska miała króla, hetmana, ministrów, ambasadorów, kadry wojskowe, politykę, budżet, stronnictwa, zakłady naukowe, pisma peryodyczne, literaturę, mowców, poetów; swój zakon, swoje duchowieństwo, kościoły, szpitale, wiele instytucyi pięknych, — wszystko, prócz ziemi. Stało się to samo z siebie, ale zarazem przyszło i do tego, że polska ziemia przez miliony Polaków zaludniona, zeszła do znaczenia odległej kolonii, obowiązanej poddać się panowaniu nowej macierzy. Z tej Polski, co ją Pan Bóg stworzył, ludzie zdolni uchodzili na Zachód, do macierzy, gdzie była swoboda i życie; reszta przywiązana do ziemi, tęskniła za macierzą i na nią się oglądała. Polityka państwa polskiego zasadzała się na tem,

aby protestować czynem i słowem przeciwko faktom spełnionym; uczyć Europę, że ma swój własny i wielki interes nad Wisłą, którego nie rozumie; przygotowywać przyszłą krucyatę. Z doświadczenia r. 1831, ta polityka żadnej nie wyciągnęła nauki i błąkała się po przestworach powietrznych. Wypadło »na ścianach parlamentu przybijać prawa Polski,» choć każdy gwóźdź wbijał się w ciało Polski. Wypadło ustawicznie podburzać przeciw Rosyi, toczyć z nią w gabinetach, parlamentach, w prasie, wszędzie gdzie się dało, wojnę podjazdową, której koszta płaciła naturalnie Polska. Tego wymagał fatalizm fałszywego położenia. Powaga monarchicznej władzy nie starczyła na trzymanie w karbach gorących żywiołów, wichrzycieli i rewolucyonistów, żeby przynajmniej oszczędzić krajowi nieszczęść nadmiaru i skutków takich wypraw jak Zaliwskiego. Monarchia zresztą sama rwała się do czynu, nie patrząc na naturę czynów; iżby dać z siebie przykład poszanowania narodowej władzy, pospieszyła uznać cień rządu, reprezentowany przez dyktaturę Tysowskiego; co uczyło naród, że słuchać ma lada samozwańca przemawiającego w imieniu «ojczyzny.» Hetman potrzebował «straży honorowej dla chorągwi,» pragnął utrzymać i zapełnić kadry, tworzył więc legie, gdzie i jak się dało: w Portugalii dla obrony liberalnej konstytucyi, w Algierze dla ćwiczenia żołnierza w wojskowem rzemiośle, w Hiszpanii, w Państwie kościelnem, w Węgrzech, w Turcyi. Często projekta kończyły się na projektach, czasem przyszło do jakiegoś zaczątku, nigdy do sformowania poważnej siły. Kilka czy kilkanaście setek ludzi razem zgromadzonych, Rosyi imponować nie mogły, ale Mikołaja drażniły; do Polski drogi dla nich nie

było, chyba balonem, «a spotkania plac — powietrze!» Szkołą porządku i karności legie nie służyły, bo ta zbieranina o posłuszeństwie słuchać nie chciała. Kraj znowu płacił koszta zabawki w żołnierza.

Melodramat królewskości skończył się, ale rzecz pozostała. Wzrosło przywiązanie do powietrznego państwa, lokalny patryotyzm nie dozwalający wrócić ani zbliżyć się do rodzinnej ziemi. Ks. Adam byłby się zgodził na wszystko, lecz pan Zamoyski nie pozwalał, a wujem rządził. Reszta zrosła się z brukiem paryzkim i oderwać odeń już się nie mogła. «Miłość ojczyzny nie zawsze u nas bywa przywiązaniem do kraju: zrozumieniem tego obowiązku, że tylko wśród swoich żyć i przestawać, tylko w tem, co nam własnem i rodzimem, natchnienia i rozkoszy szukać potrzeba;» mądrze pisały Wiadomości Polskie*. Jeszcze bardziej zastosować się dają do emigracyi te słowa równie wymowne jak prawdziwe: «Patryotyzm nasz jest dziwnego rodzaju! Znam wielu patryotów, którzy tak kochają tę Polskę, tak czują jej cierpienia, tak boleją nad jej bolami, że ani na chwilę w niej wysiedzieć nie mogą; że tylko po to do niej przyjeżdżają, aby uregulowawszy rachunki i napełniwszy torbę pielgrzymią groszem, z ziemi polskiej wyssanym — *oes non sordet,* — wrócić znowu do Paryża lub Rzymu i tam rozwodzić się w żalach nad smutnym stanem kraju, płakać nad jego nieszczęśliwym losem, nazywać się milionem «bo się za miliony cierpi!**» I to był jeszcze jeden powód,

---

* Sztuka Polska. T. I, p. 135.

** Wiadomości Polskie. T. I, 135.

psychologiczny, żeby ze stanowiska nie abdykować i nie pozbawić się możności oddychania Nadsekwańskiem powietrzem. Polskę mimo to kochali, za Polską nawet tęsknili ci emigranci z musu lub z gustu, tylko żaden dłużej nad sześć tygodni na polskiej nie wysiedział ziemi.

Emigracya mawiała i mawia, że nie była czem innem jak «zagraniczną służbą polską.» Dla Polski w ówczesnem położeniu, «zagraniczna służba» była tak potrzebną jak sparaliżowanemu nędzarzowi elegancki ekwipaż, w którym wolno mu jeździć ale nie wolno sprzedać. W każdem państwie zagraniczna służba działa według wskazówek i rozkazów nadsyłanych od rządu w kraju ojczystym osiedlonego, podczas gdy emigracya prowadziła politykę na własną rękę, według własnej wiedzy i woli. Zresztą emigracya sama uważała się czemś innem i wyższem niż prostą służbą zagraniczną, i aby się o tem przekonać, dość przeczytać jej wyznanie wiary złożone nie dalej jak w r. 1860*. «Emigracya trwać będzie, trwać powinna jako głos sumienia, dopóki Polska w niewoli,» stoi tam wyraźnie, i ten głos sumienia nie mógł znaczyć co innego, jak tylko, że emigracya uznaje się najwyższą instancyą, moralnym rządem narodu. Uznany przez kraj, rząd ten moralny istotnie rządził i krajowi nasyłał od siebie rozkazy słowne, pisemne i drukowane. Rządząc z powietrza, stosunków krajowych nie znając, lub znając je niedokładnie, mylić się musiał bardzo często,

---

* Wiadomości Polskie. — Polska po za krajem. T. IV, pag. 207.

a w swej polityce nie mógł nigdy zapomnieć o swoim własnym osobistym rachunku z Rosyą. Wszelka myśl zbliżenia się ludności polskiej do rządów podziałowych, wydawała się emigracyi odstępstwem od myśli narodowej i zaparciem się przyszłości, bo odstępowała od polityki rządu moralnego. Wszelka myśl legalnego w kraju działania była jej niezmiernie wstrętną, gdyż prowadziła za sobą wyłamanie się zpod karności i posłuszeństwa winnego moralnemu rządowi, a w przyszłości groziła temu rządowi przymusową abdykacyą. «Zbyt ważne emigracya ma na dziś i jutro zadanie, aby żywot swój mogła przerwać przed Polski odżyciem,» mówili, i abdykować wcale nie zamierzali i nie chcieli.

Wyższość intelektualna emigracyi, jej rola bezpośredniej spadkobierczyni r. 1831, pozycya, jaką sobie w świecie wyrobiła, uznanie jej przez Europę za reprezentacyę Polski, były to dostateczne tytuły do zjednania jej posłuszeństwa kraju, który jej ślepo zaufał i na nią zdał pieczę nad własnym losem. Powiadają nam, że byt i wpływ emigracyi uchronił Polskę od zatraty moralnej, od pozbycia się pragnienia niepodległości i charakteru narodowego. Uczucie polskości zbyt silnie jest w naszym narodzie zakorzenione, aby potrzebować miało sztucznej podniety; pragnienie niepodległości, choćby chwilowo przycichłe, wraca wraz z powrotem sił i rozbudzeniem życia, a rozumem na wodzy trzymane, jest potężną dźwignią w życiu narodowem. Podniecane sztuką i rozdrażnione, prowadziło do rozbijania muru głową; działając na umysły jak narkotyk, pogrążało kraj w sen przerywany od czasu do czasu konwulsyjnemi drganiami.

Z wstąpieniem na tron Napoleona III., nowe widnokręgi otwarły się przed emigracyą. Spadkobierca wielkiego cesarza, którego polityka nie była wówczas jeszcze tak dobrze jak dziś wiadomą, nie mógł nie budzić w Polakach wspomnień i dreszczy samą obecnością na tronie francuzkim. Polacy zachowywali z nim zdawna niejakie stosunki, teraz zawarli bliższe; musiał on im mówić o swych zamysłach, tak jak się zwierzał w 1852 r. w Boulogne ks. Albertowi angielskiemu, że celem jego życia wrócić wolność Polsce i Włochom. Następnie, wielkiem poparciem nadziei, na Cesarzu fundowanych, być musiały usiłowania jego podczas wojny wschodniej, dążące do wciągnięcia Polski w zakres działań mocarstw sprzymierzonych. Ale już kongres paryzki powinien był ostrzedz emigracyę, iż nie należy bezwarunkowo liczyć na Napoleona. Pełnomocnicy francuzcy milczeli, gdy lord Clarendon wspomniał o Polsce, a Cesarz widocznie przechylał się do Rosyi i zwrócił oczy w stronę Włoch. W jesieni 1858 r. Napoleon w rozmowie z lordem Cowley bardzo wiernie streścił swoją politykę: «Na początku wojny z Rosyą sądziłem, iż nie może być zadawalniającego pokoju bez odbudowania Polski, badałem więc Austryą, czy zechce dopomódz mi w tem wielkiem dziele. Austrya odmówiła. Po zawarciu pokoju, zwróciłem się ku poprawie losu Włoch i dlatego zbliżyłem się do Rosyi. Oto jest cały sekret mojej polityki.» Jeśli Napoleon tak dobitnie się nie tłómaczył przed emigracyą, to emigracya miała przed oczami fakta, mianowicie wojnę włoską i poróżnienie Francyi z Austryą, bez pomocy której Napoleon nie mógł nic w Polsce przedsiębrać. Wyzuta z części

a zagrożona w reszcie włoskich posiadłości, niemniej zagrożona w Węgrzech, Austrya tem mniej pochopną stać się musiała do zerwania z Rosyą, aby jeszcze w dodatku prawdopodobnie utracić Galicyę. I jakkolwiek wojna włoska, wprowadzająca w prawo europejskie zasadę narodowości, podniecała nadzieje Polaków, ona także czyniło niepodobnem szybkie ziszczenie polskich planów Napoleona. Żeby dokładnie ocenić, o ile Napoleon łudził Polaków, i o ile Polacy łudzili się sami, trzebaby znać wszystkie szczegóły stosunków i znoszeń między Cesarzem i emigracyą; nie ulega przecież wątpliwości, że raz uchwyciwszy wątek, emigracya za wiele sama dośpiewała w duszy, popuściła zbytecznie cugle fantazyi i zbyt pospiesznie zamki polsko-francuskie wznosiła w powietrzu.

Zmiana panowania w Rosyi i zawód doświadczony podczas wojny wschodniej, wzbudziły w emigracyi nerwowe obawy. Przez cały czas wojny Polska ani drgnęła, nie było słychać o żadnym choćby studenckim spisku, więźniów politycznych rząd powypuszczał przed wysiedzeniem kary; o kozaków sułtańskich kraj mało się troszczył, a czytając przepowiednię Wernyhory, wydobytą z zapomnienia, mówiono sobie: jeśli się to stać ma, to się stanie. Śmierć zabrała Mikołaja i Paskiewicza, rządy wojskowe się stępiły; nowy Monarcha zasłynął z łagodności i dobrotliwości. Pieniądz obfitował w kraju a z dobrym bytem wróciła fantazya szlachecka, ochota do zabaw, wróciła także i lekkomyślność. O szpiegach i aresztowaniach nikt już w kraju nie słyszał, nikt nie drżał o jutro i każdy używał swobody indywidualnie szerokiej, nader wygodnej, bo żadnych nie pociągającej

za sobą obowiązków. Patrząc na to zdaleka, emigracya wyciągnęła wniosek, że myśl polska ginie, że wkrótce wszystko może być straconem, bo Polska w Rosyi utonie. Otworzenie granicy, łatwość komunikacyi, mniejsza czujność władz dały możność emigracyi żywszego na kraj oddziaływania i karcenia. Była to złota epoka dla «nauczycieli narodu» i ich organu: Wiadomości polskich. Składały się na nie najbystrzejsze w Polsce umysły i najświetniejsze pióra, nic też dziwnego, że Wiadomości pociągały i olśniewały czytelnika. Dopóki szło o zasady i teorye, przemawiała w nich bardzo często sama mądrość, lecz i wtenczas nie zawsze ogół mógł z nich odnieść pożytek i wyciągnąć dla siebie naukę, gdyż wytworność formy i pewien nastrój mistyczny, obfitość parabol i zbytek aluzyi nie każdemu czynił te prawdy przystępnemi. Ilekroć razy zaś szło o praktyczną konkluzyę, albo jej zupełnie brakowało, albo była tak mglistą i trudną do zrozumienia, że własnemu przemysłowi pozostawiony czytelnik, podszywał pod nie własne mniemania, jeśli najfałszywszych nie wyprowadzał wniosków. Złote i mądre były słowa o powstaniach bez wojska i zgubnem narażaniu sprawy na niebezpieczeństwa, ale polityka apostołowana przez Wiadomości prowadziła właśnie do powstań bez wojska, do bezsilnych porywów, do wypadków r. 1861 i 1863. W tym tak pięknym i wymownym ustępie o «naszych zadaniach i uchybieniach,» znajdujemy kilka słów równie głębokich w teoryi, jak niebezpiecznych w praktyce: «Wojna z Moskwą celem jest wprawdzie naszych nadziei, ale i koroną być musi naszych usiłowań.» Dla człowieka wytrawnego i przemyślanego nie mogło być

żadnej wątpliwości w tym treściwym programie, lecz dla umysłów niewyrobionych i wrażliwych potrzebował on wytłómaczenia i rozwinięcia. Dla nich «wojna z Moskwą» była również «celem nadziei i koroną usiłowań.» Gdy poszukali bliższych wzkazówek, natrafiali na narzekania, że «myśl, opuszczająca nadzieję niepodległości, poczęła opuszczać i terytoryum Polski; ratyfikując niejako zabory prowincyi, cofała się ku granicom Królestwa i na podobieństwo powstania listopadowego zamknęła się w stolicy i kapitulowała;» — znajdowali przestrogę, iżby «ojczyzny» nie identyfikować «z dobrem kraju lub prowincyi;» nie wstępować do służby publicznej, gdyż «służby rządowej pod moskiewskim rządem nie można uważać za zawód publiczny, normalny, ani wymagać tu od ludzi i spodziewać się tych zbawiennych wpływów i tej działalności, które w tak ścieśnionych szrankach są niepodobnemi.» Znajdowali jeszcze zakaz dotykania się nawet szczypcami któregobądź z trzech rządów; klątwy na «odstępców litewskich,» na «cześć bałwanów na Litwie,» na żywe obrazy w Warszawie, na adres galicyjski do Cesarza austryackiego z powodu urodzin następcy tronu, nawet na uczęszczanie do salonów pp. Clamów w Krakowie. Dziś podobne deklamacye najmniejszegoby już nie wywarły efektu i uważaneby były za niepotrzebny wielkich słów szafunek; wówczas zjadliwe owe występy wielkiem cieszyły się powodzeniem i wpływem. Młodzież i gorętsze warstwy, aż nazbyt skłonne do potępienia starszych za uległość rządom, do skarżenia o zdradę ojczyzny i krzyków na «magnateryę,» czerpały w takich wystąpieniach Wiadomości nietylko podnietę, lecz i argumenta goto-

we. Że odstępstw w całem znaczeniu słowa nie było, o tem wiemy; były słabości i śmieszności, ułatwiające do pewnego stopnia zbliżenie Polaków do rządów i Monarchów. U nas, gdzie przepaści tak głębokie dzieliły obie strony, na początek i dworacy mogli stać się użytecznymi, bo po utartej drodze łatwiej przychodziło zbliżyć się ludziom poważnym i nawiązać zerwane nici. Gdy więc klątwa groziła wszystkiemu, co wyglądało na kompromis z rządami, pozostawały same działania i usiłowania prywatne, o ile można styczności z władzą krajową się wystrzegające, towarzystwa rolnicze, stypendya, stowarzyszenia przemysłowe lub zdrojowe współki. Te Wiadomości pochwalały, równie jak dobre wybory marszałkowskie i prace ks. Sapiehy: tylko młodzież i gorętsi ludzie w podobnego rodzaju działaniach i usiłowaniach nie widzieli drogi wiodącej «do celu nadziei,» do wojny z «Moskwą.» W ich oczach wydawała się dużo prostszą i pewniejszą droga rewolucyjna: zawiązać spisek, gromadzić ludzi, broń i amunicyą. Starsi i dojrzalsi, zawsze czuli na opinią i popularność, nieraz stronili od rządów z bojaźni, aby nie figurować z imienia i nazwiska, lub z początkowych liter w Wiadomościach. Znam oddawna rozmowę Klaczki z Bulozem i dykteryjkę o czterdziestu pięciu prenumeratorach Wiadomości, ale to jeszcze nie dowód, żeby Królestwo słuchać miało o nich «jak o żelaznym wilku.» Wiadomości dochodziły do Warszawy, wyrywano je sobie i czytano, dopóki kartki nie rozleciały się na drobne strzępki; pamiętam doskonale jak całą noc prześlęczałem na przepisywaniu artykułu o «Krewnych» Korzeniowskiego, i takich nas było więcej. Nie wiem

zaś czy p. Tarnowskiemu wiadomo, czem był Korzeniowski dla szkół naszych? Był jedynym opiekunem urzędowym języka ojczystego i ojczystej literatury, której poświęcano w wyższych klasach jedną na tydzień godzinę. Cały boży rok nad profesorami i studentami wisiała wizyta Korzeniowskiego przy końcu roku. Ze wszystkich wizytatorów, Korzeniowski jeden egzaminował sumiennie i gruntownie z polskiej literatury, mniej bacząc na inne przedmiota, a jednem słowem umiał tak skarcić niewiadomość i taki rumieniec wywołać, że się to długo potem pamiętało!

Trzebaby znać zakulisowe tajemnice 1830 r., żeby dojść pierwszego zawiązku niechęci emigracyi i hotelu Lambert do Margrabiego. Jeśli mamy wierzyć Morawskiemu, którego p. Tarnowski liczy «do nauczycieli narodu,» ks. Czartoryski wahał się powierzyć mu misyi do Londynu, do której kwalifikacyi nie miał, ale tytułów dyplomatycznych nie miał ani Linowski, ani sam Morawski, najprzód ajent w Paryżu, później minister spraw zagranicznych. W Londynie Wielopolski służył wiernie i rozumnie, o czem przekonać się łatwo z dokumentów. Jego misya nie poszła w smak sejmikowiczom; «historycy» bardzo kwaśno o nim wspominają, a p. Tarnowski jednego słowa jego raportom nie poświęcił. Z tego zdaje się wypływać, że wspomnienie nienajlepsze po sobie zostawił. W r. 1832 marszałek sejmowy bardzo ostry list do Wielopolskiego napisał, nagląc, aby spieszył do Paryża na otwarcie sejmu, do czego dwóch członków brakowało.— List szlachcica polskiego w chwili pojawienia się, w kraju mało był znanym, ale tym, co go czytali, trafił w najgłębsze

uczucia, tak, że ustęp o Rosyi — le passage du bourreau — przeszedł wtenczas, naturalnie w kraju, niepostrzeżony, nikogo nie rażąc i nie drażniąc. Emigracyi się nie podobał, czego jej nikt za złe nie bierze. Wkrótce zapomniany, List wypłynął na wierzch dopiero podczas procesu o zapis Swidzińskiego, i został użyty wobec opinii za broń przeciw Margrabiemu. W tej sprawie Listu umoczyły palce Wiadomości z dwóch powodów: List ciężył na sercu emigracyi, autor zaś w r. 1850 oświadczył dawnym swoim zwierzchnikom i towarzyszom, iż zamierza odtąd działać w kraju na drodze legalnej, — czyli innemi słowy «służbie zagranicznej» bezwzględne posłuszeństwo wypowiedział. Pierwsze wystąpienie Wiadomości przeciw Margrabiemu, było bardzo charakterystyczne, odnosiło się nietylko do zapisu i procesu, lecz do prywatnego i politycznego charakteru Margrabiego i jego syna. Zygmuntowi Wielopolskiemu wytknięto «złe ukształcenie serca, błędne pojęcie godności i mocy charakteru,» Mikołajowską maksymę, że «trzeba starać się o bojaźń nie o miłość» i inne grzechy, co w organie «narodowego sumienia» było na miejscu. Szukając «źródła nieufności, podejrzliwości i zwady» dotarto prostą drogą do Listu. «Po krwawej i haniebnej pamięci wypadkach galicyjskich 1846 r., ukazał się w języku francuzkim list do ks. Metternicha, napisany w sposób znakomity, lecz przedstawiający Polsce jako jedyny pozostały dla niej systemat dążeń politycznych, szczere i serdeczne pod niejakiemi warunkami połączenie się z Rosyą. List ten, obrażający równie instynkt jak najgłębsze uczucia narodu, wywołał wielkie echo, i spra-

wił bardzo bolesne wrażenie. Głos powszechny autorstwo jego przypisywał panu Margrabi Aleksandrowi Wielopolskiemu. Wprawdzie Margrabia, mimo całej odwagi, jaką zawsze okazywał i okazuje w walce z opinią publiczną, nie przyznał się nigdy do tego pisma; ale się go też nigdy nie zaparł. Jednakże w kilka lat potem dał niejako potwierdzenie czynem teoryi w nim wyłożonej, zezwalając, aby najstarszy syn jego, przyszły dziedzic Margrabstwa Myszkowskich, wstąpił jako ochotnik w szeregi rosyjskie....» Nie będę komentował tendencyi powyższego ustępu, przyznam nawet redaktorom Wiadomości, że ze swego stanowiska mieli racyę niweczyć pozycyę Margrabiego w kraju, lecz nie mogę przemilczeć niesprawiedliwości jawnej, wyrządzonej w związaniu Listu ze służbą wojskową Zygmunta Wielopolskiego. Mogli «nauczyciele narodu» i jego spowiednicy nie wiedzieć, że syn Margrabiego sam miał chęć wstąpienia do wojska; że Margrabia pierwej kazał mu skończyć nauki i oddał go nie do gwardyi do Petersburga, lecz do pułku liniowego stojącego w Królestwie; że jako przyszły ordynat, Zygmunt musiał służyć, bo tego sobie «życzył» cesarz Mikołaj. Mogli tych wszystkich okoliczności nie znać, tak jak ich nie zna p. Tarnowski, choć są wydrukowane wielkiemi literami; jak powtarza bajkę emigracyjną o «pewnej ostentacyi,» z jaką Margrabia syna posłał do pułku,* opuszczając tylko anegdotkę o Wallenrodzie. Czego jednakże nie wiedzieć nie mogli, o czem

---

* Revue des Deux Mondes, z 15 grudnia 1863: Le comte André Zamoyski et le marquis Wielopolski.

z pewnością wiedzieli, to, że nietylko Wielopolski nosił mundur rosyjski. Nosił go także Sanguszko i Potocki syn Tomasza, nosił wreszcie i jeden z Zamoyskich, także przyszły ordynat. Co przystoi Jowiszowi, to nie przystoi wołowi; co wolno było Zamoyskiemu, było grzechem u Wielopolskiego! Taka to była sprawiedliwość! Pójdźmy dalej. W roku następnym 1860, wypominają raz jeszcze Wiadomości mundur rosyjski Margrabiemu i «wybór wojska, na jaki pierwszy dobrowolnie odważył się potomek jednego z rodów polskich dotąd nieskalanego w dziejach.» Miał Margrabia słuszność utrzymywać, iż w tem szaleństwie była metoda. Tłómaczył się Margrabia z Listu w przypiskach do Biblioteki Świdzińskich, o ile mu tłómaczyć się pod cenzurą było wolno, wszystko nie pomogło. Zygmunta Wielopolskiego p. Zamoyski nie przypuścił, w zastępstwie ojca, do aktu zawiązania Towarzystwa Rolniczego, bo «mundur nosił;» inni mówią »dla młodego wieku,» choć p. Kossakowski zastąpił się równie młodym synem. Tak to Wiadomości przygotowywały Margrabiemu grunt do jego późniejszego działania.

Za daleko by nas zawiodło cytować wszystko, co Wiadomości w owym czasie pisały o stosunku Polski do Rosyi, i jak pracowały nad niedopuszczeniem, aby Polacy zbliżyli się do Monarchy. Mogły mieć racyę w teoryi, lecz gdzież była armia do odbudowania Polski niepodległej?... Ograniczę się do rzeczy koniecznych. W r. 1856 cesarz Aleksander przyjeżdżał do Warszawy po raz pierwszy; kraj wielu ulg się spodziewał i takowe miały podobno nastąpić, lecz w Warszawie przyjęto cesarza historyą spisku przez Baerensprunga

zmyśloną; Polacy tyle spiskowali, że i to się przyjęło. Zamiast ustępstw usłyszano: point de rêveries! Oto jest sąd Wiadomości o tym epizodzie, który dla kraju znaczył — klęskę: »Opinia publiczna w Królestwie i prowincyach, dotknięta bolesnem przemilczeniem Polski w traktacie paryskim, żywiła głęboki żal do Zachodu: należało z tej niechęci korzystać, aby Polaków na długo, może na zawsze do rodziny cesarskiej przywiązać. Takie rady dawał Aleksandrowi Turkułł, sekretarz stanu Królestwa polskiego, gdy mimo nadwątlone zdrowie, wyjechał za cesarzem do Warszawy, aby uchronić go od wpływu panów moskiewskich i zapobiedz nierozważnej mowie, któraby wszystko popsuła. Na szczęście zachorował on w drodze, a w Warszawie rzeczy poszły dalej, jak miały pójść właściwym trybem. Nie dozwolili Moskale żadnych dla nas ustąpień, a pragnęli mimo to entuzyazmu dla cesarza, czy dlatego, aby się nim przed Europą poszczycić, czy też aby nas we własnych oczach poniżyć. Rozbudzano nadzieje, my też w popłochu i w radości zwykle nie znający miary, oddawaliśmy się całem sercem tym wiośnianym rojeniom. Na balu szlacheckim, kiedy zebrani z prowincyi obywatele, czekali niecierpliwie cesarza, wpada jenerał Adlerberg z doniesieniem, że cesarz dopieroco podpisał zupełną i bezwarunkową dla wszystkich amnestyę. Wnet rozeszła się ta wiadomość, wesele i entuzyazm nie kłamane porwały wszystkich, a gdy w tej chwili Aleksander ukazał się w sali, przyjęto go z tak serdecznemi okrzykami, jakich nie słyszał w polskiej stolicy żaden z jego poprzedników. Cesarz przemówił nareszcie; była to mowa, którą napisał, kazał przeczytać i czytania do-

pilnować, ks. Gorczaków a raczej p. Muchanów, ów wierny stróż interesów arystokracyi rosyjskiej w Królestwie. Turkułł słusznie przewidywał, co się stać miało, to też śmierć jego przyniosła nam wtedy więcej usług niżli całe jego urzędowanie! Aleksander wygadał się niepotrzebnie: «Surtout point de rêveries!» Najprzód, przedstawienie rzeczy jest fałszywe, bo «point de rêveries» było powiedziane i zaimprowizowane przed balem na dwa dni, na przyjęciu marszałków szlachty; na drugi dzień po balu cesarz dodał niepotrzebne: «je saurai sévir et je sévirai.» Powtóre Turkułł byle wiele więcej wart niż jego reputacya i gdzie mógł dobrze robił: po nim mieliśmy gorszych sekretarzów stanu. Nakoniec ta uciecha, ta bezrozumna uciecha ze śmierci Turkułła, który bronił interesów kraju, pozostanie pomnikiem emigracyjnej ślepoty i emigracyjnego zaślepienia. Emigracya posunęła się dalej jeszcze. Z okazyi spotkania cesarza Aleksandra z cesarzem Austryackim i z ks. rejentem w Warszawie, w październiku 1860 r. Wiadomości wydrukowały wprost od siebie, co następuje: «Jeszcze sprzymierzeńcy nie zdążyli na miejsce wyznaczone do obrad i jeszcze złowrogie nie zaczęły się rokowania, a już rozchodzą się wieści o zaostrzonej w niektórych prowincyach czujności władz, o sroższym rygorze policyi, o nagłych aresztowaniach. Burza jeszcze nie nadciągnęła, a już zdaleka dają się słyszeć gromy... Żal serce ściska na myśl gotujących się cierpień; a wszakże mamy powody a nawet odwagę powiedzieć, że je wolimy od kłamanych umizgów! Wolimy je od tych hucznych i sztucznych maskarad, w których ni polskiej twarzy,

ni polskiego nie mogłeś rozeznać głosu. Wolimy je od tych lekkomyślnych czy wymuszonych okrzyków radości, któremi Imperatorów na polskiej ziemi witano i które przed Europą z tryumfem rozgłaszane, dawały jej myśleć, żeśmy i praw naszych niepomni i naszej godności. Dziś napełniają się więzienia, to prawda: ale wypróżniają się sale balowe, a kiedy między dwoma nieszczęściami wybierać przychodzi, niestety! to nawet dla braci naszych przekładamy męczarnie nad dobrowolne spodlenie!« Ach! to tak łatwo przekładać było w Paryżu więzienie nad salę balową — dla drugich! I nie był to żaden wybryk pióra, ani też jakieś bezmyślne i śmieszne okrucieństwo, tylko wyznanie, że polityka emigracyjna potrzebuje niepokojów w kraju, biernej protestacyi, cierpień i «męczarni,» ustawicznych dowodów dla świata, że Polska nie pogodziła się ze swym losem, i dowodów «że to nie Moskale nad Wilią mieszkają.» Wprawdzie dodawano, iż należy ku temu używać «legalnych sposobności,« jak gdyby te «sposobności legalne» bywały tak częste i liczne, jak gdyby rząd tego rodzaju objawy za legalne uważał; jak gdyby to właśnie nie było pewnym i prostym środkiem zboczenia na nielegalne tory, i zabicia w zarodku wszelkiej instytucyi i porządku prawnego.

Co się tyczy właściwej «służby zagranicznej» i dyplomatycznych robót emigracyi — które oddzielić trzeba od szacunku dla imienia polskiego, zdobytego osobistemi zaletami charakteru ludzi na czele stojących, — roboty te nie przyniosły żadnego istotnego pożytku, wyrządziły wiele złego krajowi i wielu krzywd stały się źródłem. W parlamentach i w prasie srożono się wprawdzie

niezmiernie na Rosyę; na każdym kroku Rosya spotykała za granicą szkodliwe dla niej działanie emigracyi i «cień zamordowanej Polski;» lecz spodziewana krucyata nie przyszła do skutku, i kraj własną skórą odpowiadał za psoty przez dyplomacyę narodową wyrządzone. W biografii Niemcewicza, ks. Adam, gorżko wyrzekając na nieoględność czteroletniego sejmu i ustawiczne wycieczki przeciwko Katarzynie, dodaje, że nieprzyjaciela trzeba bić kiedy można, ale go drażnić niepotrzebnie nie należy. Tymczasem emigracya postępowała zawsze wbrew radom swego naczelnika, bez najmniejszego względu na kraj i skutki dla kraju. Wyliczając swoje sukcesa, powiadają nam: kiedy w 1830 r. parlament angielski ani razu nie odezwał się za Polską, po przyłączeniu Krakowa, dyskusya trwała całe «trzy dni!» Pociecha nie wielka, pożytek żaden. Dokumenta ogłoszone przez emigracyę, przyczyniły się «wiele» do wywołania wojny wschodniej, dodają. Przypomina to, «la mouche du coche,» a cała wojna cóż nam przyniosła prócz kilku czy kilkunastu tysięcy żołnierzy polskich pogrzebanych w Krymie? Pokażą jeszcze Wschód i «pracę nad Słowianami» w Turcyi. Zespolenie interesu polskiego z bytem spruchniałej Turcyi, dziś już nikomu nie wyda się zbawiennem. W «zastępie ajentów wolności i wiary wśród Słowian tureckich,» na to nazwisko zasługują jedynie OO. Zmartwychwstańcy, gdyż między resztą zawiele było kąkolu, aby ich ryczałtem policzyć do apostołów wolności i wiary. Praca duchowna zbawienne wydała i wydaje owoce, bo się prowadzi w imię czegoś trwalszego niż polityczne widoki i rachuby; polityczne apostolstwo nie oduczyło Słowian od liczenia na Rosyę,

nie przywiązało ich do Zachodu, który myślał o nich, tyle co o nas. Na twierdzenie, jakoby emigracya wpływem swoim w Europie i w Paryżu zmusiła poniekąd Rosyę do ustępstw w Polsce i tym sposobem ułatwiła rolę Margrabiego w Petersburgu, — odpowiedź łatwa. Od zmiany tronu w Rosyi, istniał popęd do reform, o czem świadczy emancypacya ludu wiejskiego, przekształcenie wychowania i sądownictwa, a w Królestwie podniesienie sprawy włościańskiej i rozmaite zmiany. Geograficzne położenie Rosyi i Francyi czyni te dwa państwa w pewnych warunkach naturalnemi sprzymierzeńcami tak względem stałego lądu, jak i Wschodu. Napoleon w Tylży, później ks. Polignac budowali cały system polityczny na wspólnem działaniu Francyi i Rosyi w kwestyi wschodniej. Skoro tylko Napoleon, odsunąwszy się nieco od Anglii, zrobił krok ku Rosyi, gabinet petersburski chętnie z tego skorzystał, najprzód dla rozerwania przymierza zachodniego, następnie w widokach dalszych. Nie zdaje się jednak, aby Rosya bardzo gorąco ubiegała się była za przyjaźnią Napoleona. W Stutgardzie, w 1857 r., nie stanęła żadna umowa, wymieniono tylko wzajemne zapatrywania na położenie ogólne Europy; kanclerz wysoko cenił zjazd, «jako przyjacielskie spotkanie Monarchów nazajutrz niemal po wojnie krymskiej.» Miała tam być mowa i o Polsce. Cesarz Aleksander z oburzeniem odezwał się podobno do swego otoczenia: «On a osé me parler Pologne!» Na stan rzeczy w Polsce zbliżenie się monarchów nie wpłynęło, lecz i stan Polski nie przeszkodził Napoleonowi oddawać usług Rosyi w księztwach Naddunajskich, w Serbii, w Czarnogórze; gdy zaś już wojna

z Austryą była postanowioną w umyśle Napoleona, Rosya nic nie obiecała: «elle a dit que sa conduite dépendrait des circonstances.» Około r. 1860, ks. Gorczaków nieco żywiej pracować począł nad uchyleniem skutków traktatu paryzkiego, ścieśniających wpływ Rosyi na Wschodzie, i dlatego bardziej dbał o dobre z Napoleonem stosunki, o niedrażnienie w Napoleonie jego snów czy zamiarów odbudowania Polski. Na straży tych snów i zamiarów stała emigracya mająca wstęp do Tuileries, i taki był jej udział. Strzedz Napoleona, aby o Polsce nie zapomniał, znaczyło z pewnością Polsce oddawać przysługę, która aby była zupełną i rzeczywistą, należało kraj uspokajać i Margrabiemu nie przeszkadzać. Ale już w czasie pobytu Margrabiego w Petersburgu, na początku r. 1862, wzgląd na Francyę bardzo mało ważył w rzeczach Polski, i wiem dowodnie, iż jednym z najgłówniejszych powodów ociągania się z przyjęciem programu Margrabiego, była obawa jednoczesnego wybuchu w Polsce, Węgrzech i Włoszech, oraz niepewność, jak się w takim razie koronowany konspirator zachowa. Po wypadkach warszawskich, emigracya robiła tosamo, co kraj, nosiła żałobę, śpiewała Boże coś Polskę, nawet wierzyła w to, że demonstracye były to »popędowe, mimowolne objawy uczucia,» choć żyjąc w kraju wolnym, częstym wzburzeniom ulegającym i sama ocierając się o konspiratorów, mogła była przeświadczyć się, jak fabrykują się popędowe i mimowolne objawy. Naiwność ta tem jest trudniejszą do pojęcia, że donosząc o obchodzie rocznicy listopadowej «w trzech zaborach,» Wiadomości oznajmiały, jako «wielu odebrało po dwa lub trzy listy wzywające aby się stawili nazajutrz na Lesznie,

przed obrazem Matki Boskiej karmelitańskiej.» Jednomyślne wznowienie zapomnianego obchodu w Warszawie, Krakowie i Poznaniu, winno było także ostrzedz rząd moralny, iż jakaś ręka ukryta działa i rzecz prowadzi*. Na obchodzie 3 maja, ks. Adam rzekł, iż teraz kraj sam o sobie stanowi, a emigracya słuchać go będzie; kraj zaś miał już swoją podziemną władzę, słuchającą rozkazów z Palais - Royal, od jenerała Mierosławskiego i polskich Mazzinistów; władzę, której jedni słuchali z ochoty, inni z bojaźni, bo i to był gatunek «sumienia narodu.» Ruchu emigracya powstrzymać się nie starała, gdyż zgubnej jego natury nie znała, gdyż on był jej na rękę, jako jawna protestacya przeciwko panowaniu Rosyi nad Wisłą. Pan Zamoyski — żyją jeszcze ludzie, co to z jego ust słyszeli — przekładał i upominał, żeby demonstracyi nie zaprzestawać, wystawiać się na kule i bagnety, i z modlitwą na ustach dać się mordować za Polskę. Tego zdania były wszystkie kobiety; kobiecie wolno nie wiedzieć, gdzie taki system prowadzi i na czem się kończy; mężczyzna, szczególnie gdy chce krajem kierować i rządzić, takie rzeczy wiedzieć powinien. «Pan Władysław gromy na nasze głowy ściąga,» rzekła wtenczas księżna Adamowa Czartoryska, zdrowym sądem przenikająca mistyczne obłędy siostrzeńca, który dla idealnej figury ojczyzny, zapo-

---

* Pamiętam doskonale, będąc pod tę porę w Warszawie, jakie zdziwienie wywołała w Warszawie demonstracya na pogrzebie jen. Sowińskiej. — O samym jenerale już ludzie nie pamiętali, o egzystencyi jenerałowej dowiedziano się dopiero po demonstracyi, która już dlatego samego «popędową» być nie mogła.

mniał o cierpieniach ludzkich i o cierpieniach ludzi stanowiących nierozłączną cześć pojęcia ojczyzny. Miał racyę ostrzegać Margrabia na czternaście lat wprzódy, żeby serc nie poić nienawiścią, żeby z ojczyzny nie robić indyjskiego bożyszcza, żywiącego się samą krwią i ofiarami: «Non, la rage séculaire au coeur de tant de générations n'est pas, ne peut pas être la volonté de Dieu, et la patrie pour nous ne peut pas être une idole à laquelle on doive sacrifier les grands intérêts de l'humanité et les principes éternels de l'ordre social *».

Wstąpił Margrabia do rządu. Kraj go nie pojmował i podejrzywał, jak podejrzywał każdego Polaka, służącego Rosyi, począwszy od ks. Adama Czartoryskiego, który stał się popularnym dopiero wtenczas, gdy zaparł się własnego dzieła i gdy niełaska nad jego głową zawisła. Emigracya lepiej znała Margrabiego niż kraj, lecz mu nie dowierzała. W jesieni 1860 roku Margrabia, będąc w Paryżu, widział pana Zamoyskiego i miał z nim i jego blizkimi dwie konferencye. Pierwszą przerwał jakiś gość nieproszony. Na drugiej, Margrabia oświadczył, iż zamierza dążyć do oparcia stosunków Królestwa na podstawie prawnej. Świadkowie i uczestnicy twierdzą, jakoby szło o statut organiczny, co nie licuje z adresem 1856 r., ani też z dobrze wiadomemi zapatrywaniami Margrabiego, oraz z tem co na początku tegoż roku Margrabia jednemu ze swoich zaufanych wyłożył i co podług notatek tegoż w biografii opowiedziałem. Może Margrabia nie dość jasno się wytłómaczył, może chwilowo zmienił

---

* Lettre d'un gentilhomme polonais.

był zdanie, o to mniejsza; tak czy owak, prosił emigracyę o poparcie w legalnem działaniu. Wtenczas zapytano się go: dlaczego oddał syna de wojska? «Tak się nam zdawało,» odparł Margrabia i rozmowa stanęła. I to był byzantyński spór, spowiadać człowieka politycznego z jego uczynku więcej prywatnej i rodzinnej niż publicznej natury, zamiast kazać sobie wyłożyć politykę, jakiej trzymać się zamyśla. Przyjąwszy urząd naczelnika wychowania publicznego i co więcej jeszcze głównego kierownika spraw tak rozległych, jak oczynszowanie i organizacya nowych władz autonomicznych,— Margrabia nie miał czasu znosić się z emigracyą, ani też mógł się znosić z jawnym i nieprzejednanym nieprzyjacielem Monarchy, w imieniu którego wobec kraju występował.* Znosił się za to z Paryżem rząd moralny stronnictwa umiarkowanego, owe ciało, zwące się to komitetem Towarzystwa Rolniczego, to mężami zaufania, to dyrekcyą obywatelską, a w języku codziennym komitetem białym. Umiarkowany odcień emigracyjny, powtarzam umiarkowany, gdyż konserwatywnym bywał tylko w teoryi i to do pewnego stopnia, — umiarkowany odcień dzielił się na dwa odłamy. Jeden pod naczelnictwem rzeczywistym pana Zamoyskiego, który ślepego wymagał posłuszeństwa. Drugi gorętszy, knujący na współkę z Mazzinim powstanie w Galicyi, aby Włochom ułatwić odzyskanie Wenecyi. Pan Zamoyski, który Austryą wciągał w własne plany i ktory ruchom rewolucyjnym w teoryi był przeciwny, o tym drugim

---

* Wszak p. Andrzej Zamoyski z jenerałem nigdy nie korespondował!

komitecie słyszeć nie chciał i surowo karcił swoich, co doń zaglądali. Wiadomości wychodzić przestały, nie mamy więc z tego czasu świadectw samej emigracyi; życiorys pana Zamoyskiego w Roczniku Towarzystwa Historycznego wydrukowany milczy o epoce «moralnego ruchu; «próżno przytaczaćby rzeczy, których czytelnik skontrolować nie może i na które każdy odpisać może: «to nie tak.» Ale są dowody drukowane na to, że Napoleon ruchu w Królestwie nie pochwalał. Z bardzo dobrego zródła zaczerpnąłem, że Cesarz ostrzegał, iż położenie jego i Europy podniesieniu sprawy polskiej nie sprzyja, «że to chwila niestosowna, nawet najgorsza dla Polski i dla Francyi;» że Cesarz radził i nalegał, aby «umysły w kraju uspokoić,» godzić się z Rosyą, Wielopolskiemu nieprzeszkadzać.» Z równie dobrego i w ówczesne roboty bezpośrednio wtajemniczonego źródła, wiadomo mi, że te właśnie rady wręcz przeciwny na emigracyi wywarły skutek. Bojąc się, iżby Napoleon o Polsce nie zapomniał, jęli się budzić jego drzemiące sumienie, drażnić go i tym sposobem zmusić do wyrzeczenia ostatniego słowa, którem nie mogło być co innego jak — niepodległość Polski. Ponieważ zaś przystępu do gabinetu Cesarza o każdej porze nie mieli i wcale tak często go nie widywali, jak się to ludziom zdaje, więc najdzielniejszym środkiem uznali, podtrzymywać niepokój w kraju, nie przypuszczając naturalnie, że wszystko się skończy na klęsce i próżnym krwi rozlewie. Ale to darmo, kto chce narodem swoim rządzić, ten musi wszystko obliczyć, bo na jego głowę spada później krew przelana, i z tej krwi sprawców złego nie obmyją skła-

dania się «fatalnością sytuacyi.» Na obronę najrozumniejszej frakcyi emigracyi przytoczyć trzeba okoliczność, iż z Warszawy komitet biały «w imię solidarności narodowej» zażądał zlania się w jedno ciało obu komitetów emigracyjnych, i solidarność sparaliżowała dobroczynny wpływ rozważniejszych umysłów. Dopiero teraz, na przełomie r. 1861 i 1862, emigracya przekształciła się w istotną służbę zagraniczną, prawie zupełnie jednak nie zależną od nikogo. W rządach miała mniej wpływu niż się chwali, zato ona kierowała zapomocą prasy opinią publiczną, i chcąc dobrze krajowi robić, szkodziła niezmiernie, gdyż sztuczny rozgłos nadany wypadkom i sprawie, rozpalał umysły, biorące za dobrą monetę wszystko, co drukowane. Z jaką naiwnością prowadziła swoje rzemiosło, pokazuje niżej zamieszczony dokument.*

Confidentiel.

EXTRAIT D'UNE LETTRE ÉCRITE DE SPA, EN DATE DU 7 SEPTEMBRE 1862.

J'ai vu à Ems et j'ai même sérieusement causé trois heures avec trois Zamoyski. J'ai été si franc à l'endroit de M. André, que j'en ai été étonné moi-même. Mais il le fallait, car on me mettait aux pieds du mur. M.... est un parleur qui cultive avec succès la politique des sentiments; M.... écoute bien et comprend, je crois, sans parler; mais le général a beaucoup gagné à mon avis: les événements et les mécomptes ont vigoureusement et salutairement agi sur ce

* Jest to zakomunikowany Margrabiemu, przez Romana Załuskiego, wyjątek z listu prawdopodobnie Maurycego Manna.

caractère remarquable malgré tous ses travers. Il est partisan du marquis autant qu'il est convaincu que le marquis ne fera jamais tache à son nom. Il voudrait que le marquis sache, et il m'a prié en confidence de le lui faire parvenir, que c'est à lui — Zamoyski — que le marquis est redevable de la modération que garde envers lui l'émigration et ses journaux. De plus c'est au général Ladislas que le marquis doit la mention honorable de lord Russel dans son discours*. Lorsque M. Ladislas s'était assuré de la motion dans la chambre des lords, il se rendit chez Russell pour lui demander comment elle serait reçue par le cabinet, car il aurait préferé qu'elle n'eût point lieu, dans le cas où lord Russell devait s'y opposer. Le ministre répondit: je suis tout prêt à vous être agréable et à dire ce que vous jugerez qu'il me convient de dire à ce sujet. La dessus Zamoyski répondit: que jamais il n'a été mis plus poliment à une plus rude épreuve, car il s'était proposé de ne formuler aucune demande et de s'en remettre au lord. Cependant il demandera une chose, c'est que Sa Seigneurie appuyât le marquis Wielopolski. — Je le ferai, je le ferai, je vous l'assure, répliqua le ministre, et il le fit, comme vous le savez. — Zamoyski se disait que l'appui de Russel soutiendra le marquis auprés de la nation, et le fera respecter par la Russie. Il voudrait que le marquis le sût, et quand vous pourrez le faire avec sécurité, faites-le.

Ten list jest wielce nauczający. Uczy on, że pan Zamoyski był stronnikiem Wielopolskiego o tyle, o ile przekonanym, że «Wielopolski nigdy swego imienia nie splami.» Było to zaufanie wielkim zaszczytem dla Margrabiego, ale w tym wypadku szło nietylko o osobę Wielopolskiego i jego charakter, szło bardziej jeszcze o politykę Margrabiego. Można być najzacniejszym człowiekiem, można nigdy swego imienia nie splamić, i po-

* W mowie, mianej w parlamencie na wiosnę r. 1862, jeśli się nie mylę w miesiącu Marcu.

mimo tego najgorszą, dla kraju najzgubniejszą politykę prowadzić, — czego świadectwem emigracya i obaj bracia Zamoyscy. O polityce Margrabiego pan Zamoyski nie miał do powiedzenia nic, ani jednego słowa, tak nie miał nic do powiedzenia, że lordowi Russel najmniejszej nie dał wskazówki. A czyż była lepsza sposobność czy poparcia, czy wreszcie potępienia polityki Margrabiego i oświecenia kraju w tym względzie? Minister miał tylko poprzeć Margrabiego wobec narodu i Rosyi. Lecz, przez Boga żywego! co warte było takie poparcie! Przecież wtedy rzecz obracała się nie o to, żeby Margrabia zamieszkał w Brylowskim pałacu z rangą urzędową, tylko żeby kraj zrozumiał jego dążności, żeby poddał się rządom Polaka i panowaniu prawa. Lord Napier, zaprzyjaźniony z Margrabią, pisywał do znaczących osób w emigracyi, prosząc o poparcie dla niego. Czynił to pewno z wiedzą, może na żądanie Margrabiego, i prawdopodobnie musiał tłómaczyć, gdzie dąży Margrabia. O tej korespondencyi wiem jedynie z książki Klaczki;* lorda Napier odnaleść mi się nie udało; mówią, że jest gdzieś w Indyach; jeżeli on żyje i mnie Pan Bóg życia dozwoli, dotrę do niego i dowiem się przecież jak to było. W każdym razie, emigracya miała środki wywiedzenia się drogą pewną i bezpieczną o planach Margrabiego, aby potem z całą świadomością rozważyć, czy Wielopolskiego popierać czy obalać. Trzeba było robić jedno lub drugie, i kraju w niepewności nie zostawiać, gdyż każdy dzień przynosił szkody dla rzeczy droższej niż kombinacya polityczna, dla społecznego

---

* Etudes de diplomatie contemporaine. p. 46.

porządku i moralnego zdrowia społeczeństwa polskiego. Widzieliśmy rodzaj poparcia dyplomatycznego; jakież było poparcie w opinii bieżącej? Pan Zamoyski mówi o «umiarkowaniu emigracyi i jej dzienników.» Kto ciekaw niech przejrzy Journal des Débats i Revue des Deux Mondes z owych czasów. Nie szkalowano tam wprawdzie Margrabiego i nie potwarzano tak jak w polskich pismach, bez porównania mniej niż go szkalował, potwarzał i podkopywał Czas, ale i nie popierano. Polityka jego była wystawianą jak mrzonka, jak jakaś kombinacya bez wczoraj i bez jutra, dla Polski prędzej zgubna niż pożyteczna, oparta na lodzie, skazana na rozbicie się o złą wiarę Rosyi. O innych pismach, o innych sztuczkach, wspominać zbytecznem.

Co się działo po wybuchu powstania, każdy wie mniej więcej. Kto zna naturę polską i historyą roku 1830, ten nawet dziwić się nie może, że wszyscy z każdym dniem bardziej głowę tracili. Dylemat był straszny, trzeba było wyprzeć się krwi płynącej i tych, co ginęli. Miękkość serca, stare nałogi, lekkomyślność, «jakoś to będzie» i to drugie «a nuż się uda!» nie pozwalały słuchać głosu rozsądku i rozumu. Przez dwa lata starszyzna uginała karku przed tajemną władzą, pozwalała na rozpasanie namiętności, — teraz było zapóźno wstrzymać się nad przepaścią. Wielu wbrew własnemu przekonaniu przykładało ręki do samobójczego dzieła, i ci nie mają żadnej wymówki, jeśli rzeczywiście tak mocno byli przekonani o znikomości nadziei fundowanej na obcej interwencyi. Dziś każdy twierdzi, że był prorokiem; pomimo to jeden pisał co innego niż myślał, drugi funduszów dostarczył, trzeci pilno-

wał, aby inni nie psuli ducha, mówiąc, co myślą lub co wiedzą. Emigracya zupełnie głowę straciła: iżby zgwałcić Napoleona, wszystko w Polsce wywracała i burzyła. Postępowanie jej względem kraju, było lekkomyślne i niedość sumienne; oskarżenie to odwołam i bić się będę w piersi, skoro pokażą swoje traktaty z Napoleonem, Anglią czy Austryą; skoro dowiodą, że były na rzeczywistości oparte «les chances de salut.» Krew miała przyszłe granice Polski zakreślać; wyrzeczenie się autonomii i obalenie Margrabiego miały świadczyć o niewzruszonem obstawaniu przy niepodległości. Gwarantem rad, czyli raczej rozkazów nadsyłanych do Warszawy, miał być Napoleon, który ajentów polskich widywać nie chciał i znosił się z nimi najczęściej przez trzecie osoby, konspirując nieraz, według swego zwyczaju, przeciwko własnej, urzędowej polityce. Zwykle słyszymy, że emigracya czerpała swoje informacye u cesarzowej Eugenii, u Walewskiego i u pani Cornu, mamki cesarza. Kobiece źródła nie zawsze są pewne w polityce, gdzie odcień i ton wiele znaczy. Co do Walewskiego wiadomy jest jeden szczegół bardzo charakterystyczny: gdy z Paryża zażądano opuszczenia Rady Stanu, poważny i światły obywatel uproszonym został, aby udał się do Paryża i rzecz na miejscu zbadał. Udawszy się do Walewskiego, usłyszał odeń kategoryczną odpowiedź: «Jamais! jamais de la vie!» Skoro się o tem hôtel Lambert dowiedział, pospieszył czemprędzej wysłać kuryera do Warszawy, z kategorycznem żądaniem natychmiastowego wyjścia z Rady. I nim jeszcze wysłaniec powrócić zdołał, jego mocodawcy już mosty za sobą spalili. — Emigracya znowu

przetworzyła się w rząd moralny, rządzący krajem z powietrza, niecierpliwie, gorączkowo, bez rachuby i przezorności, wywracając i niszcząc to co było, dla korzyści niepewnych. Liczono na Francyę, choć Napoleon nie zobowiązał się wojny wydać Rosyi; liczono na Austryę, której niechrześciańskiej polityki narzędziem stała się dobrowolnie Galicya, choć Austrya nic nie obiecała, choć cesarz Franciszek Józef powiedział Kaźmierzowi Starzeńskiemu, że sprawy polskiej nie myśli podnosić. Krew lejąca się w Polsce, miała poruszyć Europę; przedstawienia dyplomatyczne miały doprowadzić do starcia Europy z Rosyą; na tak odległych i zagadkowych prawdopodobieństwach opierała się cała polityka emigracyi. Cóżby powiedziano o ojcu rodziny, co skromne mienie swojej rodziny stawia na jedną kartę, lub na zero w rulecie, bo zero wyjść może, a wtenczas stawka pomnoży się trzydzieści sześć razy? Otóż i rząd nie może postępować z krajem inaczej, jak każdy uczciwy człowiek postępować powinien z groszem swoich dzieci.

Mądrość i doskonałość nie są z tego świata; ciężko przychodzi człowiekowi wziąść rozbrat z nadziejami całego życia i z własną przeszłością, zachować zawsze jasny umysł i zimną rozwagę, powodować się samą tylko rachubą. Lecz w trudnych i stanowczych chwilach, chrześcianin ma ucieczkę ostatnią i doradcę w prawidłach religii, w przykazaniach Bożych, w katechizmie, który i w polityce obowiązuje, i w polityce pewnym jest przewodnikiem, — polityka bowiem nie jest czem innem jak jednem pasmem uczynków względem bliźniego. Szanowanie praw Bożych byłoby nas uchroniło od wielu błędów i klęsk politycznych. Wprawdzie nie

my jedni rozminęliśmy się z katechizmem w polityce; przebraliśmy jednak miarkę i zapomnieliśmy zanadto, że cel nie uświęca środków, że najlepszej sprawy nie wolno popierać środkami zabronionemi od Pana Boga. Jestto jedna z tych stron wypadków owych, na którą rzucić winniśmy zasłonę, lecz nie utrzymywać, że wszystko, co ta zasłona zakrywa, było dobre i godziwe. Owszem trzeba mieć te nieszczęścia w pamięci, gdyż trzeba błagać Boga, aby nas od podobnych w przyszłości łaską swą ustrzedz raczył.

III.

TOWARZYSTWO ROLNICZE. — SPRAWA WŁOŚCIAŃSKA.

Zawiązanie Towarzystwa Rolniczego było wielkiem dobrodziejstwem dla kraju i wielkiem zwycięztwem nad systemem rządowym, wszelkie życie wewnętrzne i obywatelskie tłumiącym. Tkwił zarazem w Towarzystwie i zaród niebezpieczeństwa, gdyż w kraju pozbawionym wszelkiego organu legalnego i instytucyi politycznych, tak obszerna organizacya, obejmująca całą szlachtę, całą klasę wpływową i myślącą, musiała przerodzić się z czasem w naturalną reprezentacyę narodu i jego moralną, powszechnie uznaną władzę. Winą tego była nieoględność rządu, ale nie nam przystoi skarżyć się na to, gdyż dzięki tej nieoględności wiele dobrego na kraj spłynęło; złe zaś mogliśmy byli sami odwrócić. W ówczesnym rządzie Królestwa przyjęto zwyczaj zwoływania doradczych «komitetów obywatelskich,» i ztąd także poszła myśl wciągnięcia Towarzystwa Rolniczego do reformy stosunków włościańskich. Opieszałość rządu sprawiła, że Towarzystwo przyszło do wniosku jakoby udać mu się mogło przeprowadzenie tak doniosłej, społecznej i prawodawczej reformy bez udziału rządu, poza ple-

cami władz i na wyłączną korzyść wpływu szlachty. Zamiar był śmiały, z wielu względów zbawienny, — politycznie zdradliwy, tym sposobem bowiem Towarzystwo wykraczało poza obręb swego pierwotnego powołania, opuszczało drogę legalną i przeobrażało się w rząd w rządzie. Czuł to doskonale Margrabia. Może w przewidywaniu nieuchronnego w przyszłości wykolejenia się Towarzystwa, odeń trzymał się zdala. Gdy zaś w r. 1859, rząd zawiadomił komitet Towarzystwa, iż «N. Pan dozwolić raczył Towarzystwu roztrząsać na posiedzeniach i ogłaszać w Rocznikach uwagi swoje względem środków mogących posłużyć do postępu oczynszowania włościan, na postawionych przez rząd zasadach,» wtenczas Margrabia powziął myśl, aby Towarzystwo od kwestyi włościańskiej się usunęło, i rozwiązanie jej spróbowało przelać na owe Stany prowincyonalne, Statutem roku 1832 Królestwu przyobiecane. Myśl tę miał Towarzystwu przedłożyć Zygmunt Wielopolski, w formie następującej:

Aby usunięcie pańszczyźnianego porządku przyniosło na teraz i w przyszłości pożytek krajowi, trzeba, aby obalenie przestarzałego gmachu nastąpiło bez nadwerężenia swobody własności prywatnej, jako podstawy cywilizacyi i bogactwa narodów, bez zachwiania fundamentów społeczeństwa. Czy warunkom takim odpowiada nowe prawodawstwo włościańskie, w rozwinięciu ukazu 1846 r. przez przepisy Rady Administracyjnej z roku zeszłego (1858) określone, o tem zamilczę, ponieważ takowe nie były i nie są rozbiorowi naszemu poddane. Zapadła już klamka nad najważniejszą kwestyi włościańskiej stroną. Utworzone są władze dla wprowadzenia nowej rustykalności na danych i szczegółowo opisanych zasadach. Nad czem więc mamy radzić? Jedyna strona całego zadania, która jeszcze wpływowi obywatelskiemu uledz jest

zdolną, są tyle różne a ważne miejscowe okoliczności i warunki gospodarstwa. Lecz nad temi wyjątkowemi, lokalnemi potrzebami stosowniej byłoby radzić po powiatach i guberniach.

Nie jesteśmy reprezentacyą narodową, nie mamy stałego i opisanego miejsca w budowie rządu; jesteśmy tylko przedstawicielami przeważnej w kraju opinii, a jako takim nie przystoi nam rozbiorem drobnostkowych szczegółów potwierdzać niejako prawo istniejące, i odpowiedzialność zań przyjmować na siebie, kiedyśmy o niesłychanie ważnej podstawie prawodawczej takowego, ani stanowili, ani radzić nawet mogli.

Spójrzmy na sąsiednią Rosyę. Tam dla rozbioru stosunków włościańskich, ustanowione zostały ciała wybieralne, podobne do tych, jakie mamy sobie nadane w Statucie Organicznym, w radach powiatowych i gubernialnych.

Nie lękajmy się tego słowa Statut organiczny. Nadany przez cesarza Mikołaja w miejsce innych instytucyi, umieszczony w Dzienniku praw, wpojony w budowę naszego prawodawstwa, znalazł on potwierdzenie w słowach przed czterema laty usłyszanych z ust panującego Cesarza i Króla: Je maintiendrai les institutions que vous a octroyées mon Auguste Père.

Wnoszę więc:

1. Aby Ogólne zebranie Towarzystwa uznało się niewłaściwie powołanem do rozbioru stosunków włościańskich, ze względu na prawodawczy obecny stan sprawy tej.
2. Aby wybraną została delegacya do ułożenia adresu dziękczynnego za pokładaną w nas ufność, przy prośbie o powierzenie kwestyi włościańskiej w życie wprowadzonym Stanom Prowincyonalnym.

Zbytecznem dodawać, że myśl ta poparcia nie znalazła. Kiedy w pierwszych dniach grudnia 1859 r. komitet w zwiększonym komplecie naradzać się miał nad pytaniami przeznaczonemi do roztrząsania w sekcyi ogólnej, p. Andrzej Zamoyski autorowi propozycyi od-

mówił wstępu na to zebranie, i dopiero inni członkowie potrafili przełamać upór prezesa*. Troska o byt i znaczenie Towarzystwa, oraz wstręt do rządu dostatecznie motywowały odrzucenie myśli Margrabiego. Towarzystwo poszło torem przez rząd wskazanym, lecz bardzo prędko zeń zboczyło. Czasy to niedawne, a przecież o przebiegu rzeczy w sprawie włościańskiej najrozmaitsze, niezgodne z prawdą, często dziwaczne krążą wersye. W Exposé, wysłanem z Krakowa do kongresu Berlińskiego, czytaliśmy, że Towarzystwo Rolnicze oczynszowało włościan. Teraz pan Tarnowski twierdzi, że ja «mylnie działania Towarzystwa Rolniczego w kwestyi włościańskiej przedstawiłem,» oraz, że Towarzystwo «ani wielkiego słowa uwłaszczenia nie wyrzekło, ani sprawy tej niewłaściwie nie traktowało.» Rozdzielmy kwestyę, i pomówmy najprzód o uwłaszczeniu.

«Na posiedzeniu ogólnem r. 1860, pisze p. Tar-

---

* Oto jest list Prezesa do Zygmunta Wielopolskiego:

Monsieur le Comte, vous me demandez malheureusement une chose que je ne puis faire. Obligé de restreindre le nombre des appelés à siéger, j'ai déjà été forcé de refuser plusieurs demandes, car je ne puis faire d'exceptions, qu'il me faudrait d'ailleurs soumettre au Comité. Veuillez donc m'excuser par toutes les bonnes raisons que vous trouverez vous-mêmes, et agréez l'expression de mes sincères regrets.

André Zamoyski.

Ce 30 novembre.

Nazajutrz dnia otwarcia posiedzeń, 2 grudnia, Zygmunt Wielopolski został zaproszony pismem urzędowem komitetu do wzięcia udziału w obradach.

nowski, rozbierano wskutek upoważnienia Monarchy, środki mogące przyspieszyć postęp oczynszowania na postawionych przez rząd zasadach. Członkowie komitetu czytali rozprawy swoje i wnioski dotyczące separacyi gruntów, zniesienia służebności, egzekucyi czynszów, klasyfikacyi gruntów i t. d. O uwłaszczeniu mowy nie było. W r. 1861 słabe postępy oczynszowania skłoniły komitet do postawienia konkluzyi, aby przez właściwie obmyślaną operacyę kredytową skup czynszu na celu mającą, włościanie po ich oczynszowaniu, doprowadzeni byli do własności posiadanych gruntów.» Tu już pokazuje się dowodnie, że chyba p. Tarnowski nie ma najlżejszego pojęcia o znaczeniu uwłaszczenia; powiada bowiem, że o uwłaszczeniu mowy nie było, tylko: o skupie czynszów w celu doprowadzenia włościan do własności posiadanych gruntów. Gdzieindziej znowu dodaje, iż «ogółem biorąc, właściciele ziemi nie byli wcale za czystem obdarzeniem włościan własności.» Jeśli się nie mylę, p. Tarnowski nie rozróżnia uwłaszczenia od wywłaszczenia i darowizny ziemi, do czego żaden właściciel ziemi pociągu nie uczuwał, i co było wieczną mrzonką naszych rewolucyonistów i szlachcicożerców. Formuła komitetu, aby «przez właściwie obmyśloną operacyę kredytową skup czynszów na celu mającą, włościanie po ich oczynszowaniu doprowadzeni byli do własności posiadanych gruntów,» znaczyła ani mniej ani więcej, jak tylko uwłaszczenie włościan, czyli inaczej mówiąc: uczynienie włościanina właścicielem ziemi. Odpowiadało to życzeniom i zapatrywaniom

większości członków Towarzystwa, gdyż jak świadczy p. Ludwik Górski: «chęć objawienia opinii w kierunku uwłaszczenia była u członków Towarzystwa przeważającą.» Wykreślenie słowa po czynszowaniu z propozycyi komitetu, w niczem rzeczy nie zmieniało, zmieniało tylko sposób postępowania. Komitet chciał, aby najprzód chłopi zostali oczynszowani, aby zostały zawarte kontrakta czynszowe, a dopiero potem obmyślany był skup tychże czynszów, t. j. zamiana czynszów na kapitał, wypłacony właścicielowi przez instytucyę kredytową *ad hoc* ustanowioną, która wchodziła w prawa dawnego właściciela gruntów włościańskich, i w ciągu pewnej liczby lat ściągała od włościan kwoty przeznaczone na opłatę procentów i amortyzacyę papierów indemnizacyjnych. Większość zaś członków uchwaliła, aby postępować szybcej, nie czekając na oczynszowanie, operacyę skupu przeprowadzić, i w tym celu wybrała osobną delegacyę mającą ułożyć projekt «skapitalizowania czynszów w stosunku sta do sześciu.» Towarzystwo postawiło przeto za zasadę, iż chłop ma być uwłaszczony, iż ma zostać właścicielem gruntu, spłacając panu kapitał reprezentowany przez czynsz, który to czynsz uważany być miał jako 6% od sumy indemnizacyjnej.

Przejdźmy teraz do kwestyi legalności i sposobu traktowania sprawy włościańskiej. W dekrecie upoważniającym Towarzystwo do rozbioru tej sprawy, powiedzianem było, iż Towarzystwu wolno «rostrząsać i ogłaszać uwagi względem środków, mogących posłużyć do postępu oczynszowania, na postawionych przez rząd zasadach.» Za zasadę postawił rząd dzierżawę wieczystą, czem na-

ruszył prawo własności prywatnej i wkroczył w obręb obowiązującego prawodawstwa cywilnego, które dzierżawy wieczystej nie znało. Zasadę postawioną przez rząd, naruszyła uchwała Towarzystwa stanowiąca, iż włościanin ma zostać właścicielem gruntu przez skup czynszów; naruszyła ta uchwała zarazem prawo sejmowe z r. 1825, mocą którego skup czynszów wieczystych, a czynsze w myśl przepisów z r. 1858 innemi jak wieczyste być nie mogły, — dopełnionym być nie mógł na jednostronne żądanie wieczystego dzierżawcy, jeżeli to w kontrakcie z góry umówionem nie było. Zeszło przeto Towarzystwo Rolnicze z drogi legalnej postanowieniami Monarchy wytkniętej, i wkroczyło także w obręb prawodawstwa. Zawiązane w celu «nadania silniejszego popędu przemysłowi rolniczemu w kraju,» mające «wyłącznie zajmować się przedmiotami dotyczącemi gospodarstwa wiejskiego,» Towarzystwo Rolnicze przeszło na pole prawodawcze, skoro, jak sam pan Tarnowski powiada: «chciało kwestyę włościańską spokojnie i organicznie przeprowadzić,» Sprawy tak doniosłej, dotyczącej losu milionów ludzi i milionowej własności ziemskiej, dotyczącej praw cywilnych najliczniejszego stanu w kraju, organicznie przeprowadzić nie można, nie zawadzając o całą budowę prawodawczą i nie przywłaszczając sobie atrybucyi prawodawczej władzy. Nakoniec Towarzystwo Rolnicze wystąpiło wobec kraju i ludu wiejskiego, jako rząd w rządzie, polecając ogłaszać z ambon po parafiach swój własny okólnik z 20 marca 1861 r., objawiający ludowi, iż «właściciele ziemscy tutejszego kraju, w liczbie półtora tysiąca, uchwalili, iż włościanie mają być uwolnieni od pań-

szczyzny i doprowadzeni do własności posiadanych gruntów.» Tego okólnika p. Tarnowski chyba nigdy nie czytał, inaczej bowiem nie mógłby twierdzić, iż Towarzystwo Rolnicze «wielkiego słowa uwłaszczenia nie rzuciło,» — kiedy właśnie słowo to było wyrzeczone, uchwalone i w formie uroczystej ludowi wiejskiemu obwieszczone.

Margrabia pojmował kwestyę włościańską inaczej niż Towarzystwo Rolnicze. W dobrach majoratu zamienił pańszczyznę na opłatę w gotowiźnie, następnie oznaczył wartość gruntu i wysokość czynszu, a w końcu zawierał z włościanami kontrakta dzierżawne na lat dwadzieścia i cztery. Zasady i powody swego postępowania wyłuszczył dostatecznie w Bibliotece Ordynacyi Myszkowskiej z r. 1859. Przyszedłszy do władzy, rozpoczął od uchylenia pańszczyzny i zastąpienia roboty przymusowej okupem (prawo z d. 16 maja 1861 r.) Prawo o oczynszowaniu z urzędu, z 5 czerwca 1862 r. utrzymywało swobodę zawierania dobrowolnych umów, wieczystych lub czasowych, lecz nie krótszych jak lat dwadzieścia; oraz przy postępowaniu z urzędu zastrzegło, iż oczynszowanie wieczyste nastąpi tylko na wyraźne żądanie osadnika. Uwłaszczenia przymusowego Margrabia nie dopuszczał; do skupu czynszów za pośrednictwem Banku Czynszowego, przypuszczone być miały osady wieczystoczynszowe, dla położenia tamy stanowi rzeczy, nie podpadającemu pod przepisy obowiązującego prawa cywilnego, oraz dla rozstrzygnięcia tytułu posiadania, który nie był, ani dzierżawą ani własnością.

Co się tyczy zapatrywań p. Andrzeja Zamoyskiego

na sprawę dzierżaw włościańskich, popełniłem w samej istocie błąd, czyli ściśle mówiąc niedokładność. Pan Andrzej równie jak Margrabia chciał dzierżawy długoletniej, tylko dzierżawa długoletnia Margrabiego kończyła się po latach dwudziestu i czterech, podczas, gdy dzierżawa długoletnia p. Zamoyskiego trwać miała lat dziewięćdziesiąt i dziewięć — jak w Anglii. U większości Towarzystwa Rolniczego «chęć objawienia opinii w kierunku uwłaszczenia była przeważającą,» i doprowadziła do uchwały stawiającej uwłaszczenie jako zasadę. Miałem przeto słuszność twierdzić, iż «w kwestyi włościańskiej Margrabia znalazł się wśród drobnej mniejszości» i w sprzeczności z opinią kraju w Towarzystwie Rolniczem reprezentowaną. P. Tarnowski szafując co kilka wierszy słowem «intryga» — podsuwa mi, jakobym w tym widział «niechęć i intrygę» przeciwko Margrabiemu. Tego nie powiedziałem, więc próżna była robota silić się na argumenta najzupełniej zbyteczne. Powiedzieć tego nie mogłem, gdyż Margrabia był wówczas prywatnym człowiekiem i nie należał do Towarzystwa Rolniczego, więc też ani jego osoba, ani jego przekonania i opinie w grę wchodzić nie mogły. Tomasz Potocki popierał politykę Margrabiego, popierał jego adres i dopóki żył, wszystkie jego publiczne kroki, lecz w kwestyi włościańskiej szwagrowie stali na dwóch przeciwnych biegunach. Był czas, kiedy Tomasz Potocki bardzo gorąco zalecał utworzenie w Polsce gminy słowiańskiej, co Margrabia nazywał zastąpieniem kodeksu Napoleona «prawami cara Duszana.» Później Potocki był najgorętszym zwolennikiem uwłaszczenia i podwyższenia stopy procentu z 5 na 6, a gdy wielu takie obcięcie inde-

mnizacyi się nie podobało, zawstydził oponentów, grożąc im «co powie Paryż, Lwów i Poznań, gdy telegraf doniesie, iż szlachta polska przestraszyła się marnej cyfry?» Nie było intrygi przeciwko Margrabiemu, jak jej nie było przeciw prezesowi Towarzystwa. Szlachta chciała zaświecić ofiarnością, zdobyć sympatyę ludu wiejskiego, zamknąć usta krzykaczom, co ją o chciwość i ciemiężenie chłopa pomawiali, a wreszcie dostać i nieco gotowego grosza.

Pierwiastek polityczny przymieszał się do obrad Towarzystwa Rolniczego, bo był wszędzie od dość dawna, od połowy r. 1860. Wielkie było parcie, aby Towarzystwo skłonić do politycznego wystąpienia, spisek zaś, lub jeśli kto woli «ruch moralny,» pracował usilnie nad skompromitowaniem szlachty i pociągnięciem jej do «solidarności narodowej.» W końcu wyjście Towarzystwa z biernej postawy, stało się nieuchronną koniecznością. Dla tego Margrabia ruszył się z domu, spodziewał się bowiem skupić szlachtę na gruncie zachowawczym i prawnym, na gruncie określonego programu politycznego, — jak to Deak uczynił w Węgrzech. Teraz dopiero, kiedy już drugi dziesiątek lat upływa, p. Tarnowski zrobił odkrycie, jako Margrabia «niewątpliwie» przyczynił się do «wprawienia w stan nerwowy obrad Towarzystwa.» Ten Margrabia zwykle wystawiany za nieznanego i narodowi podejrzanego, niepopularny, «utajony» i ludzi od siebie odpychający; ten autor Listu do ks. Metternicha jednem słowem, raptem staje się «wytrawnym i rozważnym» w oczach wszystkich. Kiedy on przyjechał «z jakimś projektem, to przecież rzecz jasna jak słońce, że chwila musi być stworzona

na to, iżby coś zrobić, że więc coś zrobić trzeba koniecznie!» Tak się to pisze u nas historya! «Trzeba coś zrobić» rozeszło się dawno przed przyjazdem Margrabiego. Adres Margrabiego był dawno odrzucony, kiedy padły strzały 27 lutego, a tego wieczora Tomasz Potocki zrobił tylko ostatnią próbę, z góry będąc przekonanym, że się na nic nie przyda. Treść adresu Margrabiego tak utonie później w niepamięci, że nawet p. Tarnowski o nim zapomni i powoływać się będzie ustawicznie na List, jako dowód, że Margrabia musiał być narodowi wstrętnym i podejrzanym. Adres ten wcale nie posłuży za dowód, jako Margrabia nie dążył do zdania się na łaskę i niełaskę Rosyi; nie posłuży za komentarz i objaśnienie jego polityki, za świadectwo jego polskich uczuć.

IV.

KOMITET TOWARZYSTWA ROLNICZEGO I MARGRABIA.

«Nie podpiszę adresu Margrabiego, bo za adresem kraj nie pójdzie,» w te mniej więcej słowa odezwał się jeden z ludzi, których Margrabia o poparcie prosił. W owej chwili komitet już nawet Towarzystwa nie prowadził, zaledwie miał dość siły, aby nie dozwolić Towarzystwu otwartego zejścia na pole polityczne, i aby samemu obronić się od zewnętrznego parcia. Po strzałach komitet uległ zupełnie prądowi, i żeby na żadną nie przechylić się stronę, napisał swój adres zezwalający na najrozmaitsze interpretacye, którym mógł się jako tako zastawić przed rządem, i przed krajem i przed ruchliwą opinią. Autorowie adresu ani wtenczas o polityce niepodległości nie marzyli, ani żadnych daleko sięgających planów nie snuli; rzeczywiste zaś ich wymagania i nadzieje nie szły dalej jak do wprowadzenia języka polskiego do szkoły i urzędu, do przywrócenia Uniwersytetu i Rady Stanu. Pan Tarnowski utrzymuje, że taki właśnie adres ułatwił koncesye, i na dowód przytacza słowa cesarza Aleksandra: «j'espère qu'on ne me demande pas une constitution?» wyrze-

czone do pana Karnickiego, gdy «stanął z adresem przed Monarchą.» Pan Karnicki z adresem przed cesarzem nie stanął, albowiem adres, na kilka dni przed przybyciem Sekretarza Stanu, sam stanął, przywieziony z Warszawy przez feldjegra nazwiskiem Lange. W instrukcyach p. Karnickiego nie było wcale mowy o adresie. Nie szło wreszcie w Petersburgu o to, czy dać Polsce ustępstwa, tylko o to, jakie dać ustępstwa i jak je sformułować. Wielką też krzywdą było dla kraju, że w tym razie minister Sekretarz Stanu dla spraw Królestwa, żadnego zdania swego nie miał, a jego raport posłużył tylko do obrzezania programu Margrabiego.

Wśród powszechnego popłochu, komitet był bardziej niż ktokolwiek spłoszony i strwożony, szło mu bowiem, i słusznie, o byt Towarzystwa, o spokój publiczny, o jego odpowiedzialność za obowiązki, jakie raptem spadły na jego barki. Niepokoiła go agitacya Mierosławczyków i chylenie się znacznej części szlachty na stronę ruchu. Komitetem «białym» się nie nazwał, tylko przenosząc się z budynku do budynku, z pokoju do pokoju, zapraszając lub wypraszając «mężów zaufania,» raz nad sprawami ojczyzny, drugi raz nad sprawami Towarzystwa radził. Jako inicyator adresu, komitet wobec rządu i kraju wystąpił już ostatecznie jako ciało polityczne, jako rząd w rządzie. Od chwili gdy ks. Gorczaków zapytał Margrabiego o program i warunki pod jakiemi przyjmie urząd, Margrabia powiedział zaraz, że Towarzystwo Rolnicze musi być rozwiązane «pour avoir outrepassé ses attributions.» Później z każdą godziną jawniejszem się stawało, że istnienie Towarzystwa jest niebezpieczeństwem dla porządku

publicznego, ostatnim zaś argumentem był ów okólnik z 20 marca, świadczący, że komitet Towarzystwa nie uchyla się przed szerzeniem agitacyi między ludem wiejskim. P. Tarnowski nazywa okólnik «błędem i niezręcznością,» ale przeczy, jakoby miał być agitacyą. Cóż więc będzie agitacyą, jeśli nie to odczytywanie z ambon odezwy otwierającej umysłom nieoświeconym widoki na rzecz dla ludu wówczas najbardziej ponętną, na uwolnienie od pańszczyzny, prawnie jeszcze obowiązującej? O okólniku Muchanowa lud do dziś dnia jeszcze się nie dowiedział; słyszał tylko, że cesarz kazał strzelać do panów, bo nie chcieli wyrzec się pańszczyzny, że będzie miał wkrotce wolność i tem podobne wieści, rozpuszczane głównie przez ajentów ruchu, którzy najswobodniej swoje rzemiosło prowadzili. Kto wtenczas, w końcu marca i w kwietniu, na wsi siedział, ten pamięta, jakie obawy powszechnie panowały, i jak na widok siermięg dreszczyki po skórze przechodziły. Margrabia tak w to wierzył, że był mocno zaniepokojony o synowę w Chrobrzu bawiącą. Ks. Gorczaków, który początkowo na marginesie programu Margrabiego, napisał przy punkcie o rozwiązaniu Towarzystwa: »ne pas parler de cela maintenant,» sam się przekonał jak ten krok nieodbicie jest potrzebnym. Towarzystwo zostało więc rozwiązanem. O «staraniach« Margrabiego, aby komitet Towarzystwa przystał na rozwiązanie, biograf nie opowiada, dla prostej przyczyny, że bajek nie kuje, starań zaś nie było. Wiedziano z góry, jak starania byłyby zbyteczne, jakby się rozbiły o upór prezesa i o opozycyę komitetu bojącego się odpowiedzialności względem członków i kraju. Prezes, komitet,

członkowie i kraj zanadto byli przywiązani do Towarzystwa i z bytem Towarzystwa spojeni, aby dobrowolnie i szczerze zgodzić się na skasowanie instytucyi uważanej za zakład przyszłości. Wszyscy także pamiętali, że w r. 1831, sejm przez cały czas wojny radził, rządził, mięszał się do wszystkiego i z własnych przywilejów dla ojczyzny ofiary nie zrobił. Co nie przeszkadza, że w duchu i w cztery oczy przyznawali słuszność Margrabiemu i wdzięczni mu byli za wydobycie ich z położenia bez wyjścia. Głośno, to co innego. Vox populi potępiał Margrabiego za zniesienie Towarzystwa, i na to rady nie było; nie pomagało nic, ani tłómaczenie sie w pismach publicznych, ani żadne przełożenia. Zygmunt Helcel tej «polityki» nie pojmował; prócz Helcla zaś wszyscy przyjaciele Margrabiego opuścili; — jak to było, i kiedy, w Krakowie nie trudno zasięgnąć wiadomości. — Przecież, ludzie na «świeczniku» stojący mieli jeszcze pewien obowiązek popierać Margrabiego, o ile on dla kraju dobrze działał. Tymczasem p. Andrzej Zamoyski tak mocno uczuł urazę, iż odmówił odczytania projektu do prawa o Radzie Stanu. Gdy nadszedł telegram z Petersburga o koncesyach, Namiestnik polecił zakomunikować poufnie treść p. Zamoyskiemu, który nadzwyczaj się ucieszył i rozczulił, spodziewał się bowiem co najwięcej wprowadzenia języka polskiego, uniwersytetu i Rady Stanu. Cóż więc skłoniło go, aby nie dać swej opinii o projekcie instytucyi, której sobie życzył? Wszak Rada nie była stworzoną dla próżnej chwały Margrabiego, tylko dla pożytku kraju. Pan Tarnowski milczy jak zaklęty o tem, że Margrabia przeznaczał p. Zamoyskiemu wice-preze-

sostwo Rady, i o tem, że bronił p. Zamoyskiego przed przymusową podróżą na Północ. Za to wyjawia przyczyny odsunięcia się p. Zamoyskiego i jego kolegów od Margrabiego, i od służby dla ojczyzny obok Margrabiego. Margrabia, pisze p. Tarnowski «obraził miłość własną Prezesa i komitetu... urazy i osobistości odegrały swoją rolę... p. Zamoyski zrażony do przyciągnięcia nie był łatwym» i dlatego Margrabia pozostał odosobniony. Więc stara polska niecnota, prywata i zawiść osobista, były przecież przyczyną opuszczenia Margrabiego przez prezesa i większą część członków komitetu Towarzystwa Rolniczego. — «Nie wiemy, co Margrabia zrobił, żeby dla swojej myśli pozyskać tych, którzy mu najlepsze, owszem jedyne poparcie dać mogli?» pyta p. Tarnowski. Odpowiedź łatwa. Margrabia służył wiernie krajowi i dla kraju z całych sił pracował. Pan Tarnowski odpiera, że duma Margrabiego ludzi odpychała i powołuje «na świadki» stronę interesowaną: — «Margrabia wydawał się hardym, niedbającym o ludzi i ich sądy. On nie przekonywał nigdy, ale chciał, żeby go odgadywano; nie zniżył się do nikogo, chciał, żeby uniżono się przed nim; dyskusyi, sprzeciwiania się nie ścierpiał; zawsze samotny, politycznego poparcia nie szukał, żądał tylko odgadywania i posłuszeństwa. Zdaje się, że rozum jego i system jego nie miał gorszego nieprzyjaciela nad niego samego. Czyniąc dobrze rodakom, szukał zdaje się okazyi, aby im dać uczuć, że on jeden między nimi ma rozum, a zamiast przygarniać do siebie, uśmierzać i łagodzić, on przy lada sposobności drażnił i wyzywał. I dlatego przy rozumie ogromnym i bardzo

politycznym, był to niepolityczny charakter.» O dumie Margrabiego już ani słowa nie stracę, poświęciwszy byzantyńskiej kłótni dość miejsca w przedmowie do III tomu biografii. «Bardzo znakomity» autor notatek, z których p. Tarnowski powyższy ustęp przytoczył, aż nadto jasno daje do zrozumienia, że przeciwnicy Margrabiego rządzili się wszystkim, tylko nigdy — rozumem; że najmniejszego poświęcenia z siebie zrobić nie chcieli, a nadewszystko nie chcieli — słuchać! Gdyby Margrabia ulegał był jak niegdy król Stanisław August, albo ks. Adam Czartoryski; gdyby zamiast wymagać posłuszeństwa — którego wymagał za mało — dawał się prowadzić i robić z siebie lalkę, — byłby sobie oszczędził oskarżeń, i dla kraju nie zdobył tego, co mu się zdobyć udało.

Nie tak dawno temu, żył i działał człowiek z wielu względów podobny Margrabiemu, — Robert Peel. Dumny był, zimny, twardy, nieprzystępny, milczący, skryty, w siebie ufny. Od kolegów w gabinecie wymagał bezwarunkowego posłuszeństwa i nieograniczonej uległości; z zamysłów swoich i zamiarów nigdy się przed nimi nie spowiadał. Wchodząc do parlamentu, głowy przed nikim nie skłonił; ludzkiego wzroku unikał i w mowach narodowi nie schlebiał. A przecież ten człowiek rządził wolną Anglią, wielkich rzeczy dokonał i wielki żal po sobie zostawił. Cóż mu jednało poparcie? To, iż Anglii służył, i interesu swego stronnictwa bronił.

Najzaciętszy nieprzyjaciel przyzna Margrabiemu, że i on Polsce służył, że i on bronił interesów swego stanu, całej szlachty. Pierwszy raz w nowszej historyi, szlachta złączyła się w jedno ciało karne i własnej

starszyznie posłuszne. Co starszyzna uradziła i postanowiła, szlachta święcie pełniła; jednostki, bardzo liczne i poważne, poddawały się władzy starszyzny z poświęceniem własnych przekonań. Próżnem podszywać się samozwańczo pod «naród» i naród lub szlachtę czynić odpowiedzialnemi za złe sprawione przez kilkunastu ludzi; próżnem twierdzić, że biograf Margrabiego obraża «naród,» pogardza «narodem,» tak jak Margrabia go obrażał i nim pogardzał. Naród nie był pytany, czy zgadza się na postępki starszyzny, i szlachcic, co w pocie czoła swój zagon uprawiał, nie odpowiada za uczynki, dotąd jeszcze mu niewiadome. Rozumiem, że trudno przychodzi człowiekowi własne uczynki surowo sądzić, i jeszcze trudniej przyznać się jawnie do błędu: lecz człowiek powinien mieć odwagę własnych uczynków, nie zapierać się ich, i na drugich, niewinnych, nie składać.

«Polak uważa się za reprezentanta częściowego prawa przeciw bezprawiu, sprawy, która nie jest ludzką tylko ale i boską, skoro raz na niej pokazać się będzie musiało, czy sprawiedliwość na świecie i w historyi jest, albo czy jej nie ma,» pisze p. Tarnowski. Chrystus powiedział: «Królestwo moje nie jest z tego świata,» nie wiem przeto, czy wolno nam jednoczyć nierozłącznie naszą sprawę doczesną i ziemską, ze sprawą wieczną i Boską. Zwycięstwo lub upadek naszej sprawy, nie dowiodą bynajmniej czy sprawiedliwość jest na świecie, czy jej nie ma. Jeśli ją źle poprowadzimy, sprawa nasza upadnie właśnie dlatego, że sprawiedliwość jest na świecie, dlatego, że już tu na ziemi jest kara za błędy ludzkie. Mielibyśmy prawo twierdzić, jako odzyskanie

niepodległego bytu rzeczą jest sprawiedliwości, tylko wtedy chyba, gdybyśmy byli doskonałymi, a i wtenczas jeszcze nie przystałoby nam apodyktycznie wyrokować w sporze, w którym jesteśmy stroną interesowaną i w którym rozstrzyga ostatecznie wola i mądrość Boża. Rzecz to dalej niebezpieczna wmawiać w nas, że sprawiedliwość jest bezwarunkowo po naszej stronie, gdyż kto wątpi nawet o sprawiedliwości Bożej, uwierzy chętnie w sprawiedliwość «historyi,» a wtenczas każdy uzna zbytecznem mozolić się i pracować nad podźwignieniem ojczyzny, skoro ojczyzna powstać musi dla zadośćuczynienia sprawiedliwości; — pokusa to zanadto wielka, aby na nią nieopatrznie wystawiać ułomnych ludzi. Nie co innego, jak ta wiara bałwochwalcza w naszą doskonałość i w sprawiedliwość historyi, wiodła nas do zaniedbania wewnętrznej i społecznej poprawy, do próżnego wytaczania prawa przed nieistniejący trybunał, do wyczekiwania aż Europa się nawróci i nam używanie praw naszych zwróci. — Bezwzględnego tytułu do niepodległego bytu politycznego, Polska nie pokaże. Jak wszystkie państwa, państwo polskie wznosiło się stopniowo i upadało stopniowo. Ujrzeć odbudowanem to państwo, każdy z nas pragnie; nie znajdzie się człowiek z polskich rodziców zrodzony i na polskiej wychowany ziemi, coby tego pragnienia nie dzielił. Dla próżnego efektu i «dźwięczności oracyi» pragnienie nazywamy prawem i uważamy się za reprezentantów prawa.—Przypuśćmy w końcu, że to prawo istnieje. Wtedy obok tego prawa jeśli nie nad niem, stoją prawa Boskie i prawa rozumu, obowiązujące w życiu politycznem. Dalej, żeby to prawo nie stało się czystem «urojeniem,» trzeba, iżby na pol-

skiej ziemi mieszkali Polacy, gdy bowiem Polaków zabraknie, komuż sprawiedliwość wymierzoną będzie? I dalej, prawa tego nie zniszczył sejm Grodzieński, skoro «jest zapisane w krociach tysięcy serc i sumień ludzkich;» nie niszczą go więc i mniej doniosłe układy i kompromisa. «Sumienie, honor, wszystko co jest palcem Bożym w sercu ludzkiem zapisane, to woła zginąć ale nie ustąpić,» dodaje p. Tarnowski. Sumienie i honor zakazują wiele rzeczy w naszej polityce spotykanych; nakazywać zaś nie mogą nic przeciwnego rozumowi; i wreszcie człowiek, któremu się zdaje, że jego honor i sumienie zmuszają go nieustąpić i zginąć, nie ma prawa innych do zguby popychać. Szczytem paradoksu jest twierdzenie, iż «wchodząc w układy i przyjmując dobrowolnie warunki życia inne, niż niepodległość,» wiążemy «swoje słowo, swój honor i zawsze coś z zasady ustępujemy.» P. Tarnowski bierze oddawna udział w życiu publicznem Galicyi, zasiadał w Radzie Państwa, zasiada w Sejmie, korzysta z praw i wypełnia obowiązki ztąd płynące, ale nie sądzę, aby przez to zapierał się przeszłości, wypierał przyszłości, wykraczał przeciwko swemu sumieniu i honorowi. Któż w Galicyi staczał «ciężkie walki w sumieniu,» gdy przyszło korzystać z dobrodziejstw konstytucyi? Czyż Galicya nie życzyła sobie gorąco zmiany systemu i pozyskania swobód politycznych? Tą drogą Galicya pozyskała stopniowo przywileje, jakich używa, zdobyła sobie zaufanie i szacunek Monarchy, możność pracy narodowej, bez żadnej ujmy dla «sprawy.» Ale to pewna, że gdyby ludzie ówczesni «za kompromisem zgoła oświadczyć się nie byli mogli,» kompromisu nie przyjęli i przeciwko zasadzie należenia

Galicyi do Austryi działali, ani kraj autonomii by nie miał, ani dzisiejszy stosunek z koroną by się nie zawiązał. I dziś, niech Galicya zejdzie z toru legalności, a zobaczymy, czy nie wrócą rządy wojskowe! Czy «czasowi reprezentanci i depozytaryusze tych praw, z ich całości i zupełności mogli cośkolwiek ustąpić;» czy ustępując zaprzedali prawa Polski do niepodległości, — zostawiam odpowiedź p. Tarnowskiemu i całemu krajowi. Zamiast nadużywać wielkich słów, powiedzmy sobie raczej, iż jesteśmy spadkobiercami i stróżami spuścizny po ojcach naszych, z niej nic nam uronić nie wolno; należy ją przechować, utrzymać, jeśli można pewniejszą i zwiększoną następcom przekazać. Tego prawidła trzymając się, zdajmy resztę na Opatrzność, a czasów i wypadków przyszłych nie mierzmy «piędzią naszej codziennej niecierpliwości.»

Chwali p. Tarnowski członków komitetu Towarzystwa Rolniczego za wejście do komitetu dla spraw włościańskich i do Rady Stanu, za ich gotowość do korzystania z nadań Monarszych, oraz wyciąga ztąd dowód, jakie dawali «poparcie i pomoc najlepszą, bo rzeczywistą i czynną, Margrabiemu i jego zamiarom.» Udział w komitecie dla spraw włościańskich, w Radzie Stanu, w Radach gubernialnych i powiatowych, w Radzie wychowania publicznego, jednem słowem w powstających naówczas instytucyach był, jeśli się nie mylę, służbą krajową. Patrycyusze radzili nad dobrem Rzymu. W drugim dopiero rzędzie szła polityka Margrabiego, a na ostatku dopiero jego osoba. P. Andrzej wszelkiego urzędu odmówił, gdyż w jego mniemaniu bierność miała Polsce do szczęścia dopomódz. Inni innego byli zdania,

i dzielili się znowu na rozmaite odcienia. Wszedł do Rady Stanu p. Aleksander Ostrowski, którego najpokorniej przepraszam za wciąganie jego nazwiska do publicznej polemiki. P. Ostrowski wszedł więc do Rady Stanu, następnie przyjął gubernatorstwo w Radomiu, wreszcie, w kwietniu r. 1863, tekę spraw wewnętrznych, i wytrwał na stanowisku aż do końca tego roku, jeśli mnie pamięć nie myli; do ostatniej chwili, mężnie i zacnie, jak ostatni żołnierz na ostatniej piędzi ziemi, kiedy już wszystko runęło w gruzy dokoła. Nie zawsze zgadzał się z Margrabią, jeszcze rzadziej znalazł uznanie u swoich, miał niesłychanie twarde i cierpkie chwile do przebycia; pomimo to nie zachwiał się, i wiernie, po chrześciańsku i po polsku służył krajowi. Przyjął także urząd gubernatora p. Dominik Dziewanowski, i z równą zacnością, z równem poświęceniem pełnił swój ciernisty obowiązek. Czy wszyscy poszli za ich przykładem? Dlaczego odmawiali ofiarowane im od Margrabiego teki? Czyż to nie był najlepszy środek i najpewniejszy zakład poskromienia Margrabiego, kiedy w ich oczach poskromić go wypadało? Margrabia nie mógł żandarmami kreować dygnitarzy. Z jakim zamiarem, czy szczerze, czy nieszczerze, zasiedli w Radzie Stanu, oto mniejsza; faktem jest tylko, iż w chwili najgorętszej z Rady Stanu heroicznie zemknęli, i za sobą pociągnęli kolegów.

Przychodzi teraz rozdział o intrygach. Hr. Lambert człowiek słaby i chwiejny, dobrze chcący, lecz słabo wiedzący, po przyjeździe do Warszawy szczerze pragnął uspokojenia kraju. W tym celu uczynił to, co czynić czynić zwykł każdy człowiek rządzący, i znosił się poufnie z ludźmi wszelkich odcieni, począwszy od dawnego

komitetu Towarzystwa Rolniczego i dawnych dygnitarzy, skończywszy na czerwonych. Skarbek opisuje te audyencye w swoich Pamiętnikach *. Od wszystkich słyszał jedno i tożsamo: Margrabia jest niepopularny i nienawidzony, jest zawadą dla rządu, kamieniem obrazy dla kraju, przeszkodą do uspokojenia kraju i przywrócenia ufności w dobre zamiary Monarchy; -- należy Margrabiego usunąć, i zwrócić się ku ludziom mającym miłość i mir w narodzie, ku dawnym członkom komitetu Towarzystwa Rolniczego. Takie było przekonanie tych panów, i otwartość była dla nich obowiązkiem. Skarbek napisał memoryał w tym duchu, o czem Margrabia wiedział. Nic naturalniejszego i zbawienniejszego nad dążenie do objęcia władzy, skoro ma się przekonanie, że rządy istniejące są złe, oraz że się potrafi rządzić lepiej. Ganiąc jednak Margrabiego i doradzając odsunięcie go od urzędu, należało wpierw obliczyć się, kto po nim nastąpi, czy jego miejsca nie zajmie ktoś gorszy, lub obcy? Wiedziano wówczas doskonale, że żaden Polak nie posiada tytułów do następstwa po Margrabim, mianowicie żaden człowiek niezależny. Podkopywać przeto Margrabiego było rzeczą niebezpieczną z dwóch względów: najprzód, aby nie ułatwić powrotu do rządów ludzi bezwarunkowo uległych skinieniom z góry, którzyby mniej stali o autonomię, a nadewszystko o rozstrzygnięcie kwestyi włościańskiej i o reformę wychowania; — powtóre, aby Margrabiego zostającego u władzy, nie odzierać z wszelkiej powagi wobec rządu i Rosyi. Monarcha

---

* Pamiętniki hr. Fr. Skarbka. — Poznań 1878., str. 334 i nast.

nie znał Margrabiego, nie korespondował z nim, wiedział o nim tyle dobrego, co się dowiedział od ks. Michała Gorczakowa; teraz dochodziły go naturalnie raporta o nieprzychylnem dlań usposobieniu wszystkich warstw społecznych w kraju. Jeśli Margrabia wtenczas ostał się w Warszawie, to tylko dlatego, że cesarz Aleksander II w najlepszej wierze i z najlepszą wolą pragnął utrzymać w Polsce rządy Polaka. Czy mógł ślepo iść za człowiekiem powszechnie potępianym, — niech każdy osądzi.

Na misyę pokojową hr. Lamberta, kraj odpowiedział nieporządkami, jakichby żaden rząd pod słońcem ścierpieć nie mógł. Sprobowano znowu surowości i ręki Suchozaneta. Skargi ministra wojny na Margrabiego i otwarta między nimi nieprzyjaźń, spowodowała powołanie tego ostatniego do Petersburga. Nikomu nieznany, podejrzany, zagadkowy, poprzedzony odgłosem bezprzykładnej niepopularności — co wtenczas nie było tak potężną rekomendacyą, jak to o tem wróble na dachach świergocą — Margrabia znowu spotkał się w Petersburgu oko w oko z opowiadaniami, że próżno rozszerzać miarę koncesyi, skoro jemu powierzonem będzie takowych wykonanie. Dochodziły te wieści różnemi drogi; rozsiewał je znany bufon, człowiek lekkomyślny jak kobieta, zasłaniając się powagą Towarzystwa Rolniczego, którego ajentem najprawdopodobniej nie był. Nie było też intrygi żadnej, która dopiero później działać poczęła. Owszem, w tej porze Margrabia był w kraju popularnym i chętnie mu zostawiono rolę murzyna.

Pobytu Margrabiego w Petersburgu obszerniej nie opowiedziałem, gdyż brakło mi zródeł. Dzięki łasce i zaufaniu Margrabiny, mogłem zużytkować jej korespondencyę z Margrabią. «Pogłoski» i anegdotki, wiadome p. Tarnowskiemu do mnie nie doszły; nie mam zresztą zwyczaju pogłosek i dykteryjek drukować. Wyczerpałem korespondencyę Margrabiego, listy Tomasza Potockiego, który więcej pisać nie mógł, bo umarł, memoryały; dałem listy panny Błudów; o reszcie zaś nie wiem. Co myślał Cesarz i W. Książę Konstanty i co z sobą rozmawiali, zostało dla mnie tajemnicą; równie jak «faktyczny przebieg» rzeczy. Pan Tarnowski zapomniał mi wytknąć większy grzech, pominięcie pobytu w Warszawie na wiosnę 1862 r. Zaledwie o nim wspomniałem, a pomimo poszukiwań i zapytań, nikt mnie oświecić nie umiał. Była to jednak chwila ważna, chwila, w której starszyzna z Margrabią zetknąć się była winna. Margrabia mieszkał w Angielskim hotelu, po całych dniach pracował, przyjmował tylko raz w tydzień, — oto są moje informacye.

Z przyjazdem W. Ks. Konstantego, rozpoczęła się nowa pora. Ruch, *vulgo* spisek, chciał przyjazdu W. Księcia nie dopuścić; później «w krwi go zbroczyć,» wreszcie zamordować. Program Margrabiego był jasny i wszystkim wiadomy. W. Książę z najszlachetniejszem uczuciem i najlepszem sercem pragnął zadowolnić Polaków i robił ku temu wszystko, co było w jego mocy. Jeśli dotąd rząd zawinił wahaniem, nieporadnością, zbytkiem nieufności dla kraju, niezręcznym wyborem środków, zbytkiem surowości, idącej w parze ze zbytnią słabością, to odtąd nic mu po sprawiedliwości za-

rzucić nie można. Mówiłem o łaskawości Monarchy, o jego dobrej wierze i dobrej woli, o uprzejmości WW. książąt, — mówiłem o tem dużo mniej niżby wnosić można ze słów p. Tarnowskiego, — bo to była prawda, bo to było sumienne moje przekonanie, i to wypowiedzieć za obowiązek sumienia uznałem, bez względu czy się to podoba lub nie podoba. Pozwoli sobie p. Tarnowski przypomnieć, jak przeszłego roku, ze szlachtą galicyjską, brał osobisty udział w obchodzie srebrnego wesela Monarszej pary w Wiedniu; admirował Festzug, bawił się na Hofsoiree, potem to wszystko pięknie w Czasie opisał, i nikt, ani ja, go nie posądza, że się przerobił na Schwarzgelbera i godność Polaka na szwank wystawił. Niech więc i mnie będzie wolno wspomnieć, jak W. ks. Konstanty, synowiec Aleksandra I, do Polaków polską mową przemawiał i polską szlachtę w Warszawie gościnnie przyjmował. Rosya dała Polsce wówczas obszerną autonomię narodową, odrębny rząd polski i polskie prawa; dała dobrowolnie, bez niczyjego nacisku, nie odniosłszy nauk, jakie Austrya odniosła pod Solferino i pod Sadową; dała to wszystko pomimo nieporządków i jawnych dowodów nieprzyjaźni dla dynastyi. Tego żadne sofizmata nie zmażą.

Zamach na W. Księcia obudził sumienia, i sumienia nakazały zaprotestować przeciwko zbrodni i hańbie dla polskiego imienia. Zgodzono się na adres obywateli do W. Księcia. Według mojej wersyi: projekt adresu godnie ułożony Margrabia pochwalił, lecz nazajutrz przyniesiono mu inne brzmienie, zawierające zdania, które doniosłość i naturę aktu zmieniając, czy-

niły go niemożliwym. Według wersyi p. Tarnowskiego, «Margrabia zawiadomiony przez pp. Ludwika Górskiego i Aleksandra Kurtza, przyjął myśl adresu bardzo przychylnie: tekstu nie czytał i nawet w pierwszej rozmowie widzieć go nie żądał. Nazajutrz dopiero, kiedy zobaczył ustęp końcowy: nous espérons que V. A. I. trouvera dans son coeur les moyens de guérir les plaies de cette nation si longtemps malheureuse, — oświadczył, że takiego adresu przyjąć nie może, że nie jest pora na rekryminacye, i tem wysłanych pożegnał.» Przez nieostrożność Margrabiego, czy przez ostrożność tych panów, tekst adresu nie został się między Margrabiego papierami. Widać jednak, że w przeddzień Margrabia nie znał ustępu inkryminowanego, którego cała doniosłość dałaby się dopiero ocenić w zestawieniu z całem brzmieniem adresu. Refutując moją wersyę, należało nie skąpić z przytoczeniem dokumentu i nie chować go przed światem. Istnieje jednak jeszcze i inna wersya, pochodząca z bardzo dobrego źródła. Według tej wersyi, spisanej przez człowieka dziś już nie żyjącego, lecz bardzo wiarogodnego, — adres został został zmieniony umyślnie, wstawiono weń umyślnie ustęp, skazujący go na odrzucenie, a to dla tego, iżby ocalić p. Andrzeja Zamoyskiego, który zanieść go się wzbraniał. Na poparcie moich twierdzeń, przytaczam zresztą dokument: brulion listu Zygmunta Wielopolskiego, datowany z Warszawy d. 12 lipca 1862 r.

Mon cher ami,

je sais combien vous avez coopéré à faire entrer ceux qui s'intitulent modérés, dans la voie de la raison et du courage

politique. On allait demander au Grand-Duc la permission de se présenter devant Lui, pour exprimer la désapprobation si justement et si généralement causée par l'attentat; lorsque le jour même de votre départ, dès le matin, la seconde période de l'allocution convenue s'est trouvée allongée d'une phrase de condamnation pour les règnes du Frère et du Père, plus qu'inconvenante dans une audience publique et presque officielle. Nécessairement on a dû se refuser à faire des démarches qui auraient eu pour résultat, de poser M. André Zamoyski comme une puissance vis à vis de S. A. I. Les choses en sont restées aux préliminaires, sans causer des commérages en ville. Il paraît pourtant que les plus distingués du cercle Zamoyski, ont saisi cette occasion pour s'évader de ce labyrinthe et de cette prison où ils étaient tenus sous les verroux des idées de solidarité, de drapeau et autres, constituant l'héritage moral de feu la société agricole. Je suis en position d'espérer, que ces libérés n'hésiteront plus à servir efficacement le pays.

Była więc niespodzianka w adresie. Cisza niezamącona żadnym komerażem, panująca o tym epizodzie w mieście, naprowadza na domysł, że oprócz Margrabiego byli inni winowajcy, gdyż każdy, niekorzystny dlań, postępek Margrabiego, bywał niebawem rozgłaszany na dachach. Nadto, jeśli adres był tak niewinny, jak nam to wierzyć każą, jeśli egzystowała w starszyznie silna wola potępienia zamachu i równie silne postanowienie narażenia się brukowej opinii i podziemnej władzy, nic łatwiejszego było jak dostać się do Belwederu, i W. księcia uczynić sędzią w sporze z Margrabią. Ani Margrabia W. księcia pod kluczem nie trzymał, ani też białym nieobce były drogi do Belwederu wiodące. Zestawienie sprawy adresowej warszawskiej z historyą protestacyi przeciwko morderstwom,

już napisanej w Paryżu, lecz do skutku niedoszłej, bardzo jasne rzuca światło na zakulisowe sprawki i tajemnice tego czasu. Rozpamiętywanie przebiegu rzeczy w Paryżu, ośmielam się szczególnie p. Tarnowskiemu polecić, gdyż tam to ważyło się między przykazaniem Bożem i polityczną zaciekłością.

«Gdyby było podówczas w Warszawie jakiekolwiek ciało ukonstytuowane, czy Towarzystwo rolnicze, czy Rada miejska, byłoby się jeszcze dało ludzi zebrać i próbować ich nakłonić do wyrzucenia z adresu tego ustępu, ale w braku zorganizowanego ciała, niepodobna było zwoływać powtórne zebranie i namawiać je do opuszczenia słów uchwalonych,» — ubolewa p. Tarnowski. Gdyby Towarzystwo rolnicze istniało, to zwołanie Ogólnego zebrania dla uchwalenia adresu, byłoby było nielegalnem; kadry zresztą Towarzystwa rolniczego i jego cała organizacya, pod innem mianem, na chwilę istnieć nie przestały. Łatwiej zebrać kilkadziesiąt ludzi mieszkających w Warszawie, niż tysiąc z prowincyi. W tem tkwiło co innego, tkwił zabójczy jad solidarności fałszywej i negatywnej, będącej narzędziem wywrotu. Od p. Tarnowskiego dowiadujemy się, jakie to zebranie, jakie to mixtum compositum, uchwaliło ów adres. Zasiadał między nimi Jurgens i Ruprecht: Jurgens inicyator ruchu, Ruprecht rewolucyonista i członek «rządu narodowego!» I to tacy ludzie mieli wieść szlachtę i konserwatystów na konserwatywne drogi!

To także tłómaczy genezę adresu wrześniowego do p. Andrzeja. I wtenczas znowu zgwałcono szlachtę z prowincyi przybyłą, do podpisania aktu, który wszy-

scy ludzie rozsądni potępiali, który najmocniej potępiał sam p. Zamoyski. Prosimy o opowieść, jakimi środkami przełamany został jego opór, a wtedy pokaże się, o ile słuszną jest rzeczą robić z niego dziś ofiarnego kozła.

Skończmy z intrygą. — Wybuchło powstanie, szlachta z prowincyi błagała o «hasło,» starszyzna dyplomatycznie czekała co Bóg da. «Rząd nie solidaryzuje kraju z burzycielami porządku publicznego, powstanie upada, spokój powraca; wszystkie instytucye zostaną utrzymane,» mówiono na początku lutego. Spokój jednak sam z siebie nie wrócił, krew popłynęła obficiej; W. książę przeląkł się krwi i chwiać się począł w zaufaniu do Margrabiego: zaczęto szukać winowajcy. Vox populi wskazywał Margrabiego, autora proskrypcyi, której władze wojskowe nie umiały należycie przeprowadzić. Koalicya białych mężów stanu z kobietami przypuściła szturm, aby obalić Margrabiego; działo się to w marcu. Że tak było, pan Tarnowski milczeniem potakuje i ani jednem słowem nie zbija biografii. W. książe był tak zachwiany, że zaproponował spadek po Margrabim człowiekowi zupełnie tej robocie obcemu, na warunkach jakie postawi. Ten odmówił. Sprawa wytoczyła się przed Monarchę, który Margrabiego dymisyi nie przyjął, dał amnestyę i mianował p. Aleksandra Ostrowskiego dyrektorem Komisyi Spraw wewnętrznych, o co formalnie kwestya się toczyła. Aż z Paryża czerpano argumenta na dowód nielegalności postępków Margrabiego, i to wszystko są fakta. Jeśli zaś ci, co pracowali nad wywróceniem Margrabiego dla

siebie władzy nie pragnęli, to bezinteresowność ich nie usprawiedliwia; chyba strzegli władzy jak stróże haremowi hurysek, aby się do niej żaden Polak nie dotknął.

V.

STOSUNKI KOŚCIELNE. — SPRAWA NUNCYATURY.

Mógłbym się powołać na świadectwa okryte powagą stanu i urzędu, iż w przedstawieniu rzeczy kościelnych nie pobłądziłem. Nie o mnie jednak tu idzie, ale o rzecz. Treścią rzeczy jest, iż dla sprawy Kościoła, ze sprawą kraju ściśle związanej, Margrabia wiele dobrego uczynił, równie bezpośrednio, jak i przez wyjednanie i przeprowadzenie samorządu Królestwa. Niedokładne wystawianie w Rzymie stosunków krajowych i znaczenia autonomii, przyczyniło się do tego, iż Rzym o samorząd nasz się nie troszczył, jak gdyby dobro wiary i Kościoła nic z autonomią wspólnego nie miało. Obaczymy dalej, ile w tem było winy samych Polaków.

P. Tarnowski «nie rozumie» co znaczy, że Margrabia był «chrześcianinem w najobszerniejszem słowa znaczeniu» i także katolikiem posłusznym Kościołowi. Zaraz mu to wytłómaczę. — «Dziwi się» dalej, że Margrabia «ściśle rzymskich ultramontańskich opinii o stosunku Kościoła do państwa nie dzielił.» W tym ustępie metoda zabijania ludzi okazuje się jasno jak słońce. Napisałem dosłownie: ściśle rzymskich, tak zwanych ul-

tramontańskich opinii Margrabia nie dzielił; pan Tarnowski zaś słowa: «tak zwanych» wypuścił, wypuścił przypadkiem naturalnie, — et le tour est fait. Biografię mało kto czyta, więc niejedna pobożna dusza bez pytania uwierzy, autora policzy do przeciwników «ultramontanizmu» vulgo do nieprzyjaciół Kościoła, a Margrabiego gnębicielem wiary katolickiej uzna. Podobnie, jeźli nie kubek w kubek tak samo, warszawscy zelanci i polityczni Kościoła ojczymowie, postępowali z Margrabią, rzucając półsłówka i podejrzenia, które w drodze rosły i wreszcie wielkości słonia dochodziły; że zaś Margrabia był człowiekiem publicznym, ostatecznie Kościoła i kraju dobro na tem ucierpiało.

Co do opinii religijnych Margrabiego, rzecz się tak miała. Margrabia urodził się w epoce, kiedy cała Polska pogrążona była w indyferentyzmie religijnym, i kiedy naród katolicki niemal cały o wierze naddziadów zapomniał. Wyższe nauki pobierał w Warszawie i w Getyndze; ani tu ani tam duch katolicki nauczaniem nie kierował. W co wtenczas wierzył, co myślał — nie wiem. W r. 1830 podczas sejmu, bardzo wyraźnie oświadczał się w zebraniach towarzyskich za prawem o małżeństwach, jak najbardziej zgodnem z nauką Kościoła, — o tem zaświadczy p. Paweł Popiel. Nigdy nie napisał, ani powiedział nic przeciw Kościołowi. W Myślach i Uwagach datujących z roku 1835, widać, że wierzy, cytuje Pismo, o Kościele nigdy nie wspomina, ale nie chce Kościoła reformować, przekształcać «zgodnie z duchem czasu;» i pod tym względem był katolikiem lepszym i wierniejszym Kościołowi, niż

wielu jego współczesnych. To mnie doprowadziło na domysł, iż na równi z wielu owego czasu ludźmi, nie robił ścisłej dogmatycznej różnicy między wyznaniami chrześciańskiemi; religię katolicką uważał za najlepszą, inne za dobre, bo chrześciańskie. Przełożyłem przeto na polskie termin utarty: un grand chrétien. Wszyscy pamiętamy i wiemy z własnego doświadczenia, jaki zwrot stanowczy dopełnił się w umysłach od lat dziesięciu, od Soboru Watykańskiego i ogłoszenia dogmatu nieomylności. Znikli z powierzchni ziemi — a także i z Krakowa — katolicy «liberalni,» zachowujący pewne distinguo w przyjmowaniu tego, co Rzym głosił. I dziś już nie ma wyboru: trzeba przyjmować wszystko co Rzym naucza, lub od Kościoła się oddzielić. Wtenczas większość katolików odrzucała z nauki rzymskiej mnóstwo rzeczy «przestarzałych, z wyobrażeniami wieku niezgodnych;» a gdzież to powszechniejszem było jak w Polsce, gdzie o posłuszeństwie dla Kościoła mowy nie bywało, skoro jego wyroki namiętnościom politycznym nie schlebiały. — Nie potrzeba było uciekać się do Hegla, dla dowiedzenia się o «wprzężeniu» Kościoła w organizm państwa, gdyż Kościół był de facto i de jure wprzężony oddawna w organizm państwa w całej Europie; w Austryi zaś, w państwie katolickiem, nietylko wprzężony, ale i sługą państwa uczyniony. Stolica Apostolska stan rzeczy taki uznawała, wiele punktów, ważnych nawet, dla ważniejszych względów lub miłego pokoju, pomijając milczeniem. Mianowany naczelnikiem Komisyi Wyznań religijnych, Margrabia zastał oddawna istniejący zły porządek. Radykalne przeobrażenie stosunków kościelnych, usunięcie wszelkich

praw i przepisów obowiązujących, danie Kościołowi zwierzchnictwa nad państwem, lub zastosowanie w Polsce paradoksu o «wolnym Kościele w wolnem państwie,» — to wszystko przechodziło granice możności Margrabiego. Mógł wiele szczegółów poprawić i zmienić, jakoż tego dopełnił. Przeprowadził nadto wiele innych popraw, jakich Stolica Apostolska nigdy otrzymać nie zdołała, i które nastąpiły wskutek uznania i spełnienia zasady autonomii Królestwa Polskiego.

Jedną z pierwszych prac Margrabiego, była organizacya Komisyi Wyznań i Oświecenia. Za wzór w tej mierze, służyła dawna ustawa obowiązująca przed r. 1830, w której znajdowała się owa «Sekcya duchowna» jak najbardziej prawom kanonicznym przeciwna. W tej sekcyi zasiadali Biskupi przez lat piętnaście, i w ciągu lat piętnastu Stolica Apostolska ani razu, ani jednem słowem przeciwko istnieniu sekcyi nie protestowała, nie upomniała się o swoje prawa ani podczas układów o uregulowanie dyecezyi i funduszów kościelnych w r. 1817, ani też podczas układów z Mikołajem w kwestyi rozwodów. Wolno było przeto mniemać Margrabiemu, iż rzeczy znajdowały się w porządku. Odtąd wprawdzie położenie zmieniło się wskutek zawarcia konkordatu w r. 1847, lecz wykonanie konkordatu władzom niższym nakazane nie było, i Margrabia nie mógł rozpoczynać urzędowania od sporu z władzą wyższą o umowę uważaną za układ międzynarodowy, między cesarzem rosyjskim i Papieżem - królem zawarty. Duchowieństwa warszawskiego Margrabia radzić się nie mógł, albowiem «obrażone» stroniło od niego, i zachodzi wielkie pytanie, czy rada była mianowicie do zna-

lezienia? Ze swej strony duchowieństwo polityką zajęte, zaniedbało upomnieć się o usunięcie sekcyi z nowej ustawy, o której przygotowywaniu wszyscy wiedzieli.

Rada duchowna, przez Margrabiego projektowana, była dużo mniej złą, niż dawna sekcya duchowna. Była konieczną w projekcie do prawa, gdyż rząd chciał zachować zwierzchnictwo nad duchowieństwem, lepiej przeto było, iżby to zwierzchnictwo spoczywało w rękach Biskupów, niż świeckich urzędników. Istnienie jej dalej, zawisło od woli Biskupów, jakoż gdy Arcybiskup zaprotestował, sama z siebie upadła. Wszedłszy nawet do Rady, Biskupi jeszcze zachowywali możność usunięcia z niej atrybucyi niekanonicznych; co znowu argumentem na korzyść Rady być nie może z tego powodu, że Biskupi mniej ściśli, mogli Rady wbrew prawom Kościoła nadużyć. Nakoniec Rada sprzeciwiała się kanonom, Kościół zaś słusznie od praw swoich nie odstępuje. Lecz ustawa Komisyi Wyznań stała się obowiązującą 8 stycznia 1862 r., protestacya zaś kardynała Antonellego ukazała się przeszło rokiem później, kiedy widocznem już było, iż w praktyce ustawa nie ma doniosłości, jaką Kardynał sekretarz stanu jej przypisywał, i kiedy niemniej widocznemi były korzyści dla Kościoła i wiary z autonomii płynące. Czytamy także w tej protestacyi skargi na ścieśnienia, które już w zasadzie uchylone zostały, i które niebawem miały być poprawą prawodawstwa ostatecznie i formalnie usunięte*.

Na schyłku lata 1861 r., Margrabia zetknął się z X. Konstantym Łubieńskim, i od niego zaczer-

---

* Aleksander Wielopolski, T. I. p. 324.

pnął wiele cennych wskazówek. Odtąd też zaczyna się najpiękniejsza pora służby Margrabiego dla Kościoła. Nic własnym rozumem nie robił; nim przedsięwziął jaki krok w sprawach kościelnych, pytał kogo należy: «co mówi przykazanie? co mówi prawo kościelne?» i o tem zaświadczy w każdej chwili kapłan świątobliwy i mądry, który nieraz Margrabiego radą wspierał. To dowodzi, że Margrabia, jeśli nawet nie miał uczuć katolickich — a że je miał, świadczy fakt wiadomy, iż X. Beniamin Szymański, późniejszy Biskup Podlaski, był Margrabiego długoletnim spowiednikiem — to dowodzi, że Margrabia szanował Kościół jak każdą władzę ustanowioną, i prawo kościelne jak każde inne prawo obowiązujące. Rzeczą Margrabiego, który z Petersburgiem nie korespondował, być nie mogło upominanie się o ścisłe wykonanie konkordatu z r. 1847. Trzymał się swego zakresu urzędowego, i na tej podstawie działał; inaczej zaś odpowiedzianoby mu nieomylnie, że się miesza nie do swoich rzeczy. Tym sposobem przyczynił się do zawiązania układów z Rzymem o nuncyaturę, i dał pierwszy popęd do reform później w Petersburgu wyjednanych, które w mowie mianej w Radzie Stanu, i ogłoszonej w pismach publicznych, krajowi oznajmił. Rzym nie potrzebował pytać się o przekonania Margrabiego, — dość mu było liczyć się z faktami. Jeśli w organizacyi Komisyi Wyznań, na papierze Kościół miał «stanowisko mniej niezależne niż to, jakie mu przyznawał konkordat,» to w praktyce, w rzeczywistości, Kościół pod rządami Margrabiego cieszył się najzupełniejszą swobodą, wolnością i niezale-

żnością, wolnością i niezależnością jakiej nigdzie na stałym lądzie nie miał. Cieszył się nadto rozumną i przychylną opieką polskiego autonomicznego rządu, który mu dostarczał funduszów na kształcenie młodych księży za granicą, bronił go od nieprzyjaznych wpływów, ściągał światłych kapłanów i wielkie oddawał usługi. Do administracyi dyecezyi i do nauczania w seminaryach, dwóch rzeczy zawarowanych w konkordacie, Margrabia wcale się nie mięszał i zostawiał całą swobodę Biskupom. Margrabia chciał i dopomagał do zwołania Synodu, wymógł, aby Biskupi zgromadzili podwładnych w celu odwiedzenia ich od spisku; — jeśli w Warszawie skończyło się na paraboli o «okrętach i czuwającej załodze,» zawdzięczamy to ojczymom Kościoła i innym cudzym błędom i zaciekłościom.

Żeby dojść wątku polskich, czyli ściślej mówiąc emigracyjnych działań w Rzymie, trzeba sięgnąć daleko, do audyencyi p. Władysława Zamoyskiego u Grzegorza XVI, w r. 1837. Wstęp do Watykanu, gdzie przed Polakami drzwi były szczelnie dotąd zamknięte, zjednała mu protekcya Montalemberta i dokumenta o prześladowaniu religii katolickiej w Polsce. Właściwym celem było wymódz na Papieżu odwołanie lub osłabienie encykliki z 9 czerwca 1832, w której Ojciec św. polecał Biskupom polskim «bez trwogi nauczać, jako posłuszeństwo winne władzom od Boga ustanowionym, jest absolutnym obowiązkiem, od którego nikt wyłamywać się nie może, skoro władza nie nakazuje rzeczy sprzeciwiających się prawom Boskim i prawom Kościoła: Cui nemo praeterquam si forte contingat aliquid imperari, quod Dei et Ecclesiae

legibus adversatur, contraire potest.» Tego Papież odwołać nie mógł, bo jest to nauka Kościoła, tak stara jak i Kościół. Trudno uwierzyć, aby jaka wymowa ludzka była w stanie przekonać Grzegorza XVI, iż Polacy podnosząc broń przeciw konstytucyjnemu Monarsze bronili «leur droit» i wypełniali »un impérieux devoir.» Musiały być użyte i inne argumenta, doprowadzające Papieża do wyrzeczenia tych słów: «Mais je ne vous ai jamais désapprouvés! Je ne vous ai pas compris d'abord... J'ai été trompé sur votre compte; mes propres serviteurs se sont laissé tromper et m'ont induit en erreur*» Czy Papież pochwalał przez to rewolucyę r. 1830, czy mógł mieć myśl jej pochwalania, — każdy sam osądzi. Tak przecież te słowa emigracya wytłómaczyła, i tak one zostały w kraju zrozumiane. Serca polskie, w których uczucie religijne się budziło, zwróciły się wprawdzie ku Stolicy Apostolskiej i Głowie Kościoła, ale najprzód nauka o poszanowaniu władzy poszła w las; powtóre zaś te słowa były ziarnkiem piasku przechylającem szalę, podniętą do identyfikowania katolicyzmu z miłością Ojczyzny, z nienawiścią do Rosyi, a w dalszym ciągu do użycia religii za narzędzie polityczne. Emigracya przekonała się iż w Watykanie grać trzeba na dwóch strunach: dostarczać wiadomości z Polski, i ukazywać w perspektywie powrót do wierności i synowskich uczuć względem Rzymu, narodu, który długo za stracony prawie uważano. Rzeczy szły oporem, gdyż

---

* L'Eglise catholique en Pologne p. le P. Lescoeur.

Grzegorz XVI polityką się nie trudnił, podczas gdy Kardynał Lambruschini Polaków uważał za rewolucyonistów. Czoła uchylić trzeba przed niezmordowaną czujnością i gorliwością dyplomacyi emigracyjnej, która tak wytrwale zdobywała cal po calu grunt dla siebie. Nigdzie jej tak trudno nie szło jak w Rzymie. Wielkiem zwycięztwem zaiste, było wysłanie do Rzymu p. Orpiszewskiego, ale i wielkie w tej misyi tkwiło niebezpieczeństwo. Taktem, rozumem i poświęceniem przygotował on drogę na przyszłość. Tą drogą szły do Rzymu raporta o stanie rzeczy w Polsce, pisane ze stanowiska polityki emigracyjnej, oparte na danych, zaczerpniętych z kraju od osób, posiadających lub nieposiadających potrzebne warunki: znajomość rzeczy i stosunków, wiadomości fachowe, dar obserwacyi, miłość prawdy i sztukę ścisłego oddawania myśli. Stanowisko emigracyjne nie zawsze być mogło bezwzględnie kościelnem, i mieć na oku samo dobro Kościoła. Osoby dostarczające informacyi, nieraz sądziły pożytkiem dla sprawy, nieco przesadzić w naganie nieprzyjaciela.—Wstąpił na tron Piotrowy Pius IX, Polakom przychylny, więc i bliższe zawiązano z Rzymem stosunki. Jednem z głównych źródeł relacyi o Polsce pozostały jeszcze polskie doniesienia, poparte przez francuzką lewicę katolicką. Nie mogąc utrzymywać w Petersburgu Nuncyusza, pozbawiona przeto własnych, dostateczną powagą stanu i urzędu odzianych informacyi, Stolica apostolska znalazła się między dwoma stronami w kwestyi bezpośrednio interesowanemi, między Polakami, którzy dostarczali wiadomości do pewnego stopnia wiarogodnych, i dyplomacyą rosyjską mało na

wiarę zasługującą. Rozstrzygnąć mógł Nuncyusz, którego raportów żadne inne zastąpić nie mogły. Mądrość i wytrawność prałatów rzymskich chroniła Stolicę Apostolską od wielu usterek, lecz nie była w stanie zastąpić gruntownej znajomości stosunków miejscowych, anormalnych, zmieniających się z gubernii do gubernii, z miasta do miasta. Ukazy były ukazami, rzeczy zaś szły inaczej. Nie sądzę, aby Stolicy Apostolskiej był wiadomy dokładnie stan duchowieństwa i jego wszystkie postępki, w Królestwie za Mikołaja. Bądź co bądź, duchowieństwo używało wielkiego wpływu, z którego nie korzystało, jak korzystać omieszkało ze swobody, jakiej mu położenie zostawiało. I tak, wiadomo dobrze, jak zaniedbanem było nauczanie katechizmu w parafiach i szkołach, co się tak srodze na Polsce zemściło. Któż proboszczowi wzbraniał lub przeszkadzał dzieci wiejskie uczyć katechizmu? Nikt, a przecież nie uczono. W szkołach, w najgorszych czasach, nauka religii i pobożne praktyki ani wygnane, ani ścieśniane nie były. Co dzień rano słuchać musieliśmy Mszy św., odbywać rekolekcye i przystępować do sakramentu pokuty trzy razy do roku. Lekcye zaczynały się i kończyły modlitwą, odmawianą klęczący; niemniej ściśle przestrzegano odmawiania modlitw porannych i wieczornych po domach. Katecheta, zwany księdzem prefektem, miał wpływ bardzo wielki w radzie nauczycielskiej; nikt mu przeszkadzać nie myślał, nikt przeciw Kościołowi i religii studentów źle nie usposabiał, bo gdzie pop jaki zajął katedrę starosłowiańskiego lub rosyjskiego języka, to był tak nienawidzony, że go nikomu do myśli słuchać nie przy-

szło.* A jednak nauczanie katechizmu w największem było zaniedbaniu. Nie obcem mi, że nauczanie takie potrzebuje naukowego i duchowego przygotowania, któremu rząd rosyjski przeszkadzał; czemu głównie stało na zawadzie przyjmowanie do seminaryów po ukończeniu czterech klas gimnazyalnych, i stronienie młodzieży szlacheckiej od służby kościelnej. Przecięcie stosunków z Rzymem, będzie zawsze ostateczną przyczyną upadku naszego duchowieństwa, ale to nie tłómaczy przecież częstego i zupełnego zapomnienia o elementarnych obowiązkach. Zawsze można było uczyć uczciwie i sumiennie, uczyć czegoś więcej jak recytowania z pamięci szkolnego katechizmu. A były rzeczy gorsze. Raz wchodzi nasz prefekt do klasy na lekcyę, — miałem wtedy lat czternaście — i z rozpromienioną twarzą odzywa się: «Słuchajcie chłopcy, dowiecie się coś ciekawego.» Wyciąga z kieszeni gazetę i czyta nam — o stolikach wirujących, a następnie pokazuje jak się wziąść do tego. Do końca roku stoliki robiły niemiłosierną konkurencyą katechizmowi. Na nieszczęście, były rzeczy jeszcze gorsze. — Biskup choć był, do szkoły nie zajrzał i o szkołę się nie troszczył; nie troszczyła się starszyzna duchowna i świecka, nie używała moralnego wpływu. Nie przypuszczam, aby Rzym, wiedząc o tem, nie starał się prywatnemi upomnieniami złemu zaradzić. Całe pokolenia wychowały się bez nieco głębszej znajomości katechizmu, to też i rozbudzenie religijne poszło na fałszywe tory; człowiek nie poddawał się pa-

* Na pewno wiem tylko o jednym popie, który się wcisnął w ciało nauczycielskie. Czy się to częściej zdarzało wiadomem mi nie jest.

nowaniu religii, tylko z religii robił sługę własnych namiętności. Czy «służba zagraniczna» zwracała na to uwagę Rzymu, czy prosiła Stolicę Apostolską o wniknięcie w te stosunki i ich poprawę? Pracować nad tem, aby Rzym zmienił opinię o Rosyi, leżało w interesie polityki emigracyjnej, ale nad tem sama Rosya najusilniej pracowała; otrzymać od Rzymu pomoc w celu obudzenia w duchowieństwie większej gorliwości i pilniejszego pełnienia obowiązków, byłoby było dla kraju usługą. Służba zagraniczna prawdopodobnie o wielu rzeczach krajowych nie wiedziała i wiedzieć nie mogła; starała się przedewszystkiem o to, aby Rosyę schwycić na gorącym uczynku prześladowania, więc reszta mniej ją obchodziła: ale kiedy chciała być służbą zagraniczną, należało jej wiedzieć o wszystkiem. Za jej staraniem utworzyło się w Rzymie kółko przyjaciół Polski, takich, jacy byli w każdej stolicy, ożywionych najlepszemi chęciami, krajowi nie zawsze pomocnych. Rzym przyzwyczaił się patrzyć na sprawy kościelne w Polsce przez szkła zlekka zafarbowane uprzedzeniami emigracyi, która niechęci swe ku Rosyi do przesady posuwała i zbytkiem namiętności grzeszyła. W innych warunkach byłoby to nieszkodliwem, — w czasie gorącym i trudnym rzeczy postać zmieniły. Rosya pod Aleksandrem II. stała się inną, niż za Mikołaja; emigracya utrzymywała, iż to wszystko fałsz i obłuda. Tymczasem było podobno więcej dobrej, choć słabej woli, niż się zdawać może, a stan dzisiejszy niczego nie dowodzi. Do r. 1830 Mikołaj szanował prawa Kościoła; przyszła rewolucya polska i wszystko na gorsze się obróciło. Tak samo stało się i po r. 1863. —

Od początku panowania Aleksandra II, chciano porozumienia ze Stolicą Apostolską, nie mając odwagi zerwać zupełnie z przeszłością i z złą polityką zagnieżdzoną w biurach: nie chcąc przejrzyć, iż wszystko zacząć się musi od sumiennego wykonania konkordatu, umowy dobrowolnie zawartej i obowiązującej. W Królestwie, Muchanow przeszkadzał wprowadzeniu zmian w Cesarstwie przyjętych, i dlatego już samo przyjście do władzy Margrabiego, było zwycięztwem dobrej sprawy. Ale co psuło niezmiernie, to pomieszanie religii z polityką, nadużycie modlitwy za broń przeciw rządowi, udział duchowieństwa w manifestacyach, — co wszystko rząd stropiło i podwójnie czyniło go podejrzliwym. — Z drugiej strony, Stolica Apostolska, zrażona niedotrzymaniem konkordatu i niewypełnianiem obietnic, stała się bardziej wymagającą. Charakter osobisty Piusa IX dał inny kierunek polityce rzymskiej, która w szczegółach zmienia się jak każda inna, a wypadki i smutne doświadczenia z rządami, coraz mniej usposabiały Papieża do ustępstw. Sprzeczne wreszcie doniesienia o stanie rzeczy w Polsce, doradzały ostrożność, wobec Rosyi podwójnie potrzebną.

Po wypadkach warszawskich, gdy ruch zagnieździł się w kościołach i podszył pod modlitwę, rząd rosyjski prosił Stolicę Apostolską o interwencyę. Publicznego wystąpienia odmówiono, a tylko jawna i publiczna nagana mogła poskutkować. Były podobno ostre napomnienia prywatne, które szły do najtajniejszej szufladki, podczas gdy duchowieństwo składało się obawą utraty wpływu na lud i odszczepieństwa owieczek — już zarażonych. Arcybiskupem Fijałkowskim rządzili ludzie przewrotni,

którym on oprzeć się nie umiał. Raporta dochodzące wprost z Warszawy od tamecznych korespondentów, mówiły o «mimowolnych, popędowych objawach» uczucia narodowego, silnie spojonego z uczuciem religijnem i przywiązaniem do wiary. Znaczna część katolików francuskich, z Montalembertem na czele, rozczulała się do łez nad «narodem w żałobie,» nad «ludem bezbronnym umierającym z modlitwą na ustach.» Wątpię, czy kto zwrócił uwagę, że za kulisami dyrygowała tem wszystkiem rewolucya, kubek w kubek taka sama, z jaką rząd papieski miał u siebie do czynienia. Ostatecznie duchowieństwo stołeczne poszło w służbę rewolucyi, dało się pociągnąć i wmieszać do pogrzebu Arcybiskupa i Kościuszkowskiego obchodu. Kościoły zamknięto bez zachowania fomalności, bez spisania protokółu, zamknięto wszystkie bez najmniejszego legalnego, ani istotnego powodu. Spisek chciał zamknięcia kościołów w całej Archidyecezyi, ale to już było za wiele. Na Pradze proboszcz odmówił posłuchu. Kościół ewangielicki nakazał otworzyć konsystorz, dowodzony przez jenerała. Rząd tej sprawy niezmiernie się wstydził. Margrabia otrzymał nominacyę Arcybiskupa; kanclerz najżarliwiej popierał przyjęcie Nuncyusza w Petersburgu. Niech p. Tarnowski mówi co chce, ale prawdą było i będzie, że w owej chwili szczęśliwej, rząd rosyjski ani o «rozprzężeniu,» ani o «rozpuszczeniu» Kościoła polskiego nieprzemyśliwał, ani też «nawracać unitów» nie zamierzał; ani nie obawiał się Nuncyusza «w blizkości» i dostania się «prawdy urzędowej i prawdy zupełnej» do Rzymu i do Europy. Prawda zupełna o stanie rzeczy kościelnych w Polsce, mogła tylko wyjść na pożytek rządu, i na

nasz także. Dla nas przyjazd Nuncyusza do Warszawy, a tędy miał jechać do Petersburga, znaczył zbawienie, co najmniej wielką pomoc. Nuncyusz, jeśli nie głuchy i ślepy, musiał dotrzeć prawdy, musiał Stolicę Apostolską ostrzedz, że zle się dzieje. Emigracya i Polacy tego się obawiali, mianowicie raził ich Mgr. Berardi, uważany słusznie czy niesłusznie za nieprzyjaciela dobrej sprawy i stronnika Rosyi, jadący do Petersburga jako prawa ręka kardynała Antonellego, który miał rozmaite plany i zamiary. Nie jestem w stanie na nowo przedrukowywać całych ustępów biografii, gdyż to za drogo kosztuje, ale kto zechce rzucić okiem na str. 320 i następne, przekona się, że nie samej tylko «emigracyjnej intrydze» przypisywałem rozbicie się układów o Nuncyaturę. Miała emigracya przystęp do Watykanu; miał tam wstęp jen. Szymanowski, mieli go Francuzi, emigracyi blizcy przyjaciele. Na wiosnę r. 1862, jeśli się nie mylę, pod koniec marca, był u Papieża ks. Władysław Czartoryski; w maju w Castel-Gandolfo p. Władysław Zamoyski. Jeśli emigracya starała się usilnie o wysłanie Nuncyusza, najłatwiej tego dowieść — pokazując dokument. Niewiadomem mi, co w Watykanie mówili OO. Zmartwychwstańcy, lecz sądząc z listu O. Aleksandra Jełowickiego, przytoczonego w biografii (str. 347), Margrabia nie był u zakonu in odore suavitatis; wzgląd zaś na Margrabiego i jego politykę bardzo wiele ważył u tych wszystkich, co z Rzymem utrzymywali stosunki. Nie twierdziłem także, aby działano i mówiono wprost przeciw wysłaniu Nuncyusza; byłoby to bowiem za wielką śmiałością i — niezręcznością. Dość było błagać, aby Rzym dobrze opisał się, dobrze

obwarował na wszystkie strony przeciw wiarołomnej Rosyi, mordującej katolików w Polsce, nadewszystko zaś błagać, iżby pozorami uległości dla rządu rosyjskiego, Rzym nie zrażał polskiego ludu od wiary i Apostolskiej Stolicy. Pomiędzy Polakami, mającymi posłuch w Watykanie, znajdowali się i tacy, co ostrzegali o rewolucyjnej naturze ruchu, lecz ci byli w mniejszości, a między swoimi uchodzili za «niegodnych» synów ojczyzny.

Jednocześnie z wyświęceniem Mgr. Berardi, jeśli już nie po wyświęceniu, rozpoczęła się korespondencya między Rzymem i Petersburgiem o «swobodne znoszenie się duchowieństwa z Nuncyuszem.» Stolica Apostolska uznawała kwestyą własnej godności, uchylenie obowiązujących w tej mierze przepisów, przeciw czemu Rosya się wzbraniała. Rzeczy szły powoli, gdyż depesze dopiero w kilka tygodni dochodziły. Równocześnie traktowano o przyjazd do Rzymu Biskupów polskich, na obchód kanonizacyi męczenników japońskich w czerwcu. W pierwszych dniach marca sprawa ta ułożoną została w sposób następujący:

Le Souverain Pontif déclarait qu'il ne rendrait pas obligatoire la venue à Rome même aux Evêques Italiens, et qu'il considèrerait comme une preuve de déférence, dont il serait particulièrement reconnaissant à S. M. l'Empereur, si quelques uns des Evêques recevaient l'autorisation de répondre à Son appel. Si S. M. daignait accorder cette autorisation ne fût-ce qu'à un seul Evêque, le Pape y verrait un nouveau témoignage des dispositions bienveillantes de l'Empereur pour la Cour de Rome.

Zgodzono się także, iż dwóch Biskupów, XX. Borowski i Marszewski, mają udać się do Rzymu. Arcy-

biskup żadną miarą opuścić nie mógł Warszawy, gdyż on jeden utrzymywał duchowieństwo na drodze legalnej, on jeden bronił duchowieństwo od nieuchronnego starcia z władzami wojskowemi i stanem oblężenia, a po jego wyjeździe wojna wybuchnąć musiała niechybnie. Poniżej czytelnik znajdzie wskazówki, dlaczego Rzym tak gorąco pragnął przyjazdu X. Felińskiego na obchód kanonizacyjny. W pierwszych dniach kwietnia, mianowicie między 10 i 11, dowiedziano się w Petersburgu, iż Papież pod datą 20 lutego wystosował i przesłał drogą prywatną, list do X. Felińskiego, w którym wzywał go do Rzymu na kanonizacyę, polecał starać się o uwolnienie «duchownych i świeckich mężów» uwięzionych, oraz zapowiadał przyjazd Nuncyusza z instrukcyami. Bardzo drażliwy na omijanie drogi urzędowej, rząd upatrzył w liście zamiar usunięcia Biskupów z pod zwierzchnictwa władzy krajowej, a oddania duchowieństwa pod juryzdykcyę bezpośrednią Nuncyusza, z naruszeniem obowiązującego prawodawstwa. Polecenie co do starań o uwolnienie «duchownych i świeckich mężów,» w rzędzie których (świeckich) znajdowali się spiskowcy i przywódcy nieporządków, rząd nieco słusznie uraziło, później zaś najgorsze skutki na samego Arcybiskupa ściągnęło. Drażliwość poszła tak daleko, iż kanclerz pozostawiał Papieżowi sąd, czy w tych warunkach «il y a opportunité ou non à l'envoi du Nonce.» W Rzymie wyjazd Nuncyusza odroczony został aż do wyjaśnienia kwestyi korespondencyi, w żadnym zaś razie Mgr. Berardi nie miał wyjechać przed kanonizacyą, gdyż potrzebnym był w sekretaryacie stanu na tę porę.

List do Arcybiskupa wysłany został bez wiedzy kardynała Antonellego, który mocno okazał się zdziwionym i zaniepokojonym, oraz po dwakroć powtarzał, iż o napisaniu listu uprzedzonym nie był. Przy tej sposobności zaszła znowu mowa o Nuncyaturze, i zrobioną została ustnie propozycya następująca:

La sphère d'action que le Pape assigne dans sa lettre à Mgr. Feliński, au futur Nonce, ne s'accordant pas avec celle que nous voulions lui reconnaître, le meilleur moyen de régulariser cette question et de nous entendre à cet égard, serait de confier à la personne du choix du Pape une mission temporaire auprès de la Cour Impériale, et de la charger de préparer le terrain pour un représentant permanent de Sa Sainteté.

Sans méconnaître les avantages que promettait cette marche pour mener cette affaire à bonne fin, le Cardinal me dit, que le Pape tenait à envoyer d'emblée chez nous un Nonce, en éclaircissant cependant la position qu'aurait son représentant, en ce qui regarde ses rapports avec les catholiques.

Zasięgnięto w Paryżu informacyi co do stanowiska Nuncyusza we Francyi. Minister Rouland, potwierdził punkt widzenia Rosyi, dodając:

Le Nonce est considéré en France comme le représentant de la souveraineté temporelle et nullement de la souveraineté religieuse du Pape. A ce point de vue, il ne traite qu'avec le ministre des affaires étrangères, et n'a de communications directes d'affaires ni avec le ministre des cultes, ni avec les Evêques français.

Odradzał także użyczać «de trop grandes facilités aux prêtres catholiques,» bo raz użyczone, te ułatwienia «finissent toujours par devenir gênantes.» Chwaląc umiarkowanie Mgr. Berardi, zalecał powtórnie, nie zaniedbywać żadnych środków ostrożności i dobrze zawa-

rować niezawisłość rządu. Holandya, mówił wreszcie, ze wszystkich państw udzieliła najszerszych przywilejów Nuncyuszowi Papiezkiemu, ale stało się to wskutek «flegmatycznego temperamentu» Holendrów, a bardziej jeszcze zręczności Mgr. Vecchi. — Po liście do Arcybiskupa, który głównie całą sprawę popsuł, i po takich radach, rzecz coraz trudniejszą stawała się do naprawienia, Papież nie chciał wysłać nadzwyczajnego ajenta, i żądał dla Nuncyusza:

la faculté de communiquer librement avec les catholiques, en ce qui concerne les affaires purement spirituelles, tout en respectant les lois de l'Etat, et en écartant des rapport avec ses corréligionaires, tout ce qui ne regarderait pas la religion, les affaires de conscience et la discipline de l'Eglise.

Kardynał Antonelli od siebie zrobił propozycyę pośredniczącą:

que le Cabinet Impérial voulût donner l'assurance que, tout en maintenant les lois existantes, le représentant du Saint Siège serait provisoirement autorisé à entretenir des communications particulières avec ses corréligionaires, en matières purement spirituelles, sauf à faire prévaloir les prescriptions et lois existantes, s'il trouvait des inconvénients à ces relations du représentant du Saint Siège avec les catholiques dans le pays.

Kardynał obiecał przedstawić tę myśl Papieżowi «jeśli będzie przyjętą przez rząd rosyjski.» Na to nastąpiła odpowiedź taka:

Mgr. Berardi recevra un accueil empressé... nous n'entraverons pas les communications du Nonce avec ses corréligionaires, mais nous ne saurions admettre pour lui aucune communication officielle directe avec le clergé catholique.

Kardynał odparł bardzo słusznie, że nie może być mowy o korespondencyi w rzeczach świeckich lub w kwestyach politycznych; że Stolica Apostolska domaga się tylko swobody znoszeń w rzeczach sumienia, i dodał:

Nous voulons seulement savoir, s'il sera loisible au Nonce d'entretenir une correspondance particulière directement avec les catholiques, uniquement pour des cas de conscience, des questions de discipline et des sujets religieux, sans que les ecclésiastiques qui entrerait dans une correspondance pareille avec le représentant Pontifical, n'encourent les peines portées par les lois.

Przy tej sposobności Kardynał nie przeczył, że najprostszym środkiem byłoby wysłanie na miejsce tymczasowego ajenta, aby zbadał położenie przyszłego Nuncyusza. — Obie strony pozostały przy swoim: Stolica Apostolska przy żądaniu, które uznała kwestyą własnej godności; Rosya przy utrzymaniu praw obowiązujących. Ściśle rzeczy biorąc, obietnica, jako rząd rosyjski «nie będzie tamował komunikacyi między Nuncyuszem i jego współwyznawcami,» znaczyła tyle, co przyzwolenie na: «korespondencyę prywatną Nuncyusza z katolikami w rzeczach sumienia i karności religijnej.» Nie tajnem też było obu stronom, że papierów sekretnych i poufnej korespondencyi nikt nigdzie nie powierza poczcie — z natury i nałogu ciekawej. Nie o to też kwestya się rozbiła ze strony Rosyi. Znając usposobienie duchowieństwa i stan umysłów, rząd obawiał się wypuścić z rąk środki prawne własnej obrony. Wtenczas cały ruch polityczny nosił cechę religijną. Rząd uważał manifestacye w kościołach, nabożeństwa patryotyczne, śpiewy, za demonstracye polityczne wymierzone przeciw istniejącemu po-

rządkowi rzeczy, — i nie czem innem były one w istocie. Kraj i znaczna część duchowieństwa twierdziła, że to są objawy uczuć religijnych, iż rząd nie ma prawa zabraniać modlitwy za ojczyznę. Rzym swego zdania w tej mierze nie wypowiedział publicznie; potępiając w Galicyi śpiewy po kościołach i pochwalając postawę Arcybiskupa Lwowskiego, nie oświadczył się przeciw mieszaniu polityki do religii w Królestwie. I w tem był cały sęk. Wszystkie niemal sprawy, wówczas na porządku dziennym stojące, liczyły się do rzędu «des sujets religieux.» Duchowieństwo i wierni nieomieszkaliby odnosić się do Nuncyusza w tych sprawach, i czynić go sędzią sporów między krajem i rządem, między poddanymi i Monarchą. Wyrok Nuncyusza nie ulegał żadnej wątpliwości; tą właśnie drogą najłatwiej jeszcze można było się spodziewać rozwikłania stosunków; lecz jakiż rząd na świecie ułatwia własnym poddanym wytaczanie przeciwko sobie skarg i oskarżeń wobec reprezentanta obcego mocarstwa,—czem Rzym był w oczach Rosyi.

Dlaczego Rzym nie zgodził się na wysłanie tymczasowego ajenta, choćby dla zasiągnięcia bliższych wiadomości i oświecenia się jak rzeczy stoją? Nie obcą być musiała temu postanowieniu, chęć rozcięcia węzła, bez względu na stosunki krajowe, których Rzym chyba nie znał dokładnie, skoro poświęcał możność niesienia Kościołowi w Polsce pomocy tak bardzo i tak nagle potrzebnej, dla mniej ważnych i mniej istotnych punktów. Wiem, że Pius IX, przejęty wstrętem do politycznych matactw, jakiemi go ścigał mniemany sprzymierzeniec i opiekun, Napoleon III; że zniechęcony do

Rosyi łamaniem przez nią zaciągniętych względem Stolicy Apostolskiej zobowiązań, zwracał się coraz bardziej ku rzeczom wiecznym, więc i dla Nuncyusza w Rosyi żądał swobodnego zakresu działania w sprawach wiary i moralności. Tylko w takim razie konsekwencya pociągała za sobą oddzielenie w Polsce sprawy Kościoła od sprawy narodowości i politycznego z Rosyą antagonizmu. Tymczasem działo się przeciwnie. Działo się zaś przeciwnie dlatego, iż Piusowi IX przepowiadano ustawicznie odpadnięcie Polski od wiary, skoro Rzym przestanie troszczyć się o narodowość i poświęci względy polityczne, z pobudek wyższego rzędu.

Czy takie niebezpieczeństwo groziło, śmiem wątpić. Zastawiano się zwykle «ludem,» który cisnął się do Świątyń Pańskich na patryotyczną modlitwę. Niezmierna większość tego, co się u nas zwyczajnie ludem zowie, lud wiejski do ostatka nie pogodził się z nową, patryotyczną religią, tej religii nie pojął i swego ku niej wstrętu nie przełamał. Początkowo, w wielu miejscowościach chłopi wychodzili z kościoła, gdy oficyaliści dworscy z organistą «Boże coś Polskę» intonowali; boczyli, się na proboszczów śpiewających i na panów wtórujących swoim sługom. Chłop, prócz małych wyjątków, nigdy też nie śpiewał, nawet gdy już do śpiewów nawykł, i od demonstracyi stronił. Widziałem na własne oczy tak zwanych mieszczan z Dubienki, t. j. chłopów w kapotach słodkim przymusem ciągniętych na Kościuszkowski obchód. Do każdego mieszczanina doprzęgano dwóch czamarkowych, iżby go z miejsca ruszyć, a gdy oddział kozaków przysłany na uświetnienie widowiska, posunął się nieco ku kopcowi na widok

bardzo jeszcze oddalonego pochodu, — mieszczanie zemknęli w wikliny i już ich więcej oko ludzkie nie oglądało. W Horodle żaden chłop, ani małomieszczanin się nie pojawił. Widziałem także chłopów innej okolicy, w Radomskiem, przy stawianiu pamiątkowych krzyżów, i pamiętam z jaką miną słuchali kazania o «polskiej koronie i polskiej królowej.» Na pogrzeb Arcybiskupa zwabiono chłopów kunsztem, przedstawiając, iż to się zmarłemu Arcypasterzowi należy. Chłop nazywał się «polakiem,» co znaczyło «katolikiem» i byłby się «polakiem» mianować nie przestał, pomimo zakazu śpiewów i obchodów przez Kościół i Papieża. Szlachcic i oświecony mieszkaniec miast, byłby w tym razie został o tyle wiernym wierze, o ile jej wiernym czuł się i pierwej. Pozostawał więc «lud» miejski i warszawski, drobna mniejszość w społeczeństwie, dzieląca się na masę, która zawsze uczęszczała na nabożeństwa i suknię kapłańską szanowała, oraz na hałastrę brukową, tak czy owak z religią w rozbracie żyjącą. Otóż tej masy, złożonej z dusz pobożnych, prostych i wierzących, nic bardziej nie demoralizowało, jak właśnie owe zagnieżdżenie się polityki w kościołach i nadużycie świętych obrzędów, jak uległość kapłanów rozkazom agitatorów. Tłum ma do najwyższego stopnia rozwinięty instynkt, wskazujący mu, czy zwierzchność jest tłumu panem, czy tłumu służalcem. Poznawszy niebawem, że duchowieństwo przeszło pod rozkazy niewidomej władzy, ten lud przestał szanować księdza i wymówił mu posłuszeństwo, a wtedy już większą uległością i dalszym pobłażaniem nic wskórać nie było można. Mam i na to dokument: list X. Bi-

skupa Beniamina do Margrabiego, datowany z Janowa 2 lipca 1861 r.

Pamiętny na dawne względy, jakich doznawałem od JW. Pana, śmiem z całą otwartością przedstawić następujący interes. Potrzykroć odbieram urzędowne wezwanie z Komisyi Wyznań, abym polecił duchowieństwu dyecezyi mojej, iżby publicznie z ambon w kościele zakazało ludowi śpiewać pieśni religijno-patryotycznych. Dotąd tego polecenia nie wydałem, a to z następujących przyczyn. Duchowieństwo ma jeszcze jakie takie zaufanie w publiczności, — niema tu mowy o ludzie prostym i wieśniaczym — gdybym więc polecił mu, aby zabroniło śpiewania tych pieśni, nietylko że niktby nie słuchał, ale wywołałoby to największe oburzenie i najsmutniejsze następstwa, jak to miało miejsce w kilku miejscowościach, tak mojej jak i innych dyecezyi, że kapłanom za to, iż tylko małą opozycyę czynili, powybijano okna w plebaniach, pomalowano szubienice na drzwiach i okiennicach domów, a niektórym wyprawiono haniebną, tak zwaną kocią muzykę! A ileż ja sam nie odebrałem anonymów! Jakżebym mógł przez zakaz śpiewania tych pieśni, wystawiać siebie, duchowieństwo, a nawet religię na pogardę?

X. Beniamin za bardzo bał się pogardy ludzi, których złe o nim i o religii mniemanie, ani jemu, ani religii ujmy przynieść nie mogło. Bało się duchowieństwo anonymów, kocich muzyk i wybijania szyb, albo malowanych szubienic, i dlatego brnęło coraz głębiej w trzęsawisko, i coraz bardziej traciło na powadze i wpływie wobec ludu prostego i wieśniaczego. Zaraz po wstąpieniu na tron papiezki, powiedział Pius IX te mądre słowa: «Polacy pokutują za trzy grzechy: za ucisk włościan, za obojętność względem Unii i za rozwody.» I ta nauka poszła w las. Włościanin nie był uciskany, ale i za człowieka nie

był uważany. Nikt się na chłopa i jego chłopski rozum nie oglądał: ani Biskup, ani proboszcz, ani pan! Zaprzestaniem śpiewów, ksiądz zyskiwał na szacunku w oczach chłopa, lecz o chłopskie poważanie nie dbał; za to drżał przed pogardzaną w duchu miasteczkową hałastrą, która go trzymała w ryzie kocią muzyką i malowaniem szubienic na drzwiach. Jedyny ratunek pozostawał, żeby Rzym zgromił i nakazał. Byłyby zarażone owce przestały chodzić do kościoła, tem lepiej; mniejby było zgorszenia i obrazy Boskiej. Cóż duchowieństwo zyskało na uległości? We wrześniu już «lud» w Łęczycy kamieniami obrzucił Biskupa, bo wyzbył się resztek poszanowania dla sukni kapłańskiej i dla kapłańskiego charakteru. Musiał ksiądz dowodzić na demonstracyach; musiał świeckim agitatorom oddać gospodarstwo w kościele; musiał poddać się władzy Centralnego Komitetu. Rzućmy zasłonę na resztę.

Pisząc biografię Margrabiego, przygotowany byłem na wszelkie zarzuty i wszelkie oskarżenia; nie spodziewałem się przecież, aby mi poczytano za grzech milczenie o wywiezieniu Arcybiskupa Warszawskiego. Sądziłem, że każdy co wie, w jakiem położeniu znajduje się X. Feliński, choćby nawet nie znał przebiegu rzeczy, domyśli się powodów mego milczenia, i tem milczeniem się zadowolni. P. Tarnowski oduczył mnie ostatecznie rachować na domyślność ludzką. Dla «dźwięczności oracyi» obok Arcybiskupa, wywozi p. Tarnowski jeszcze i innych «Biskupów.» Jacyż to «Biskupi» — w liczbie mnogiej — zostali z Królestwa za rządów Margrabiego wywiezieni? Prosimy o nazwiska i o daty? Ale to mniejsza.

X. Feliński, «Biskup wedle serca Chrystusowego,» przyjął w pokorze ciężar jaki spadł na jego barki, nie znając kraju, ludzi i stosunków. Wiedziony chęcią służenia wierze i Kościołowi, sądził, iż zrobi najlepiej, występując tylko jako sługa religii, oddzielając rzeczy wiary od rzeczy doczesnych. Podczas rekolekcyi napisał w tym duchu list pasterski, pokazał go Monarsze i otrzymał upoważnienie do ogłoszenia. Już wtenczas mówiono mu, że to rzecz zdradliwa, że jego młoda powaga na to nie wystarcza. Jakoż przyjechawszy do Warszawy, od pierwszego kroku poznał, że list nie na czasie, i listu nie ogłosił. List ukazał się drukowany w Le Monde, co mi bardzo na zdradę wygląda, trudno bowiem przypuścić, aby Arcybiskup sam przeciwko sobie działał. W Petersburgu wzięto mu to za złe. W kraju wzięto list sam jeszcze za gorsze. Skompromitowała Arcybiskupa na wstępie władza wojskowa, dodaniem niepotrzebnej eskorty: tajna policya i ruch pospołu podburzały ludność. Otwarcie kościołów bardzo nie podobało się spiskowi. Pierwsze przemówienie w katedrze «obraziło lud,» tak jak go «obrażały» Margrabiego mowy; ów lud tak religijny i pobożny odepchnął błogosławieństwo Arcypasterza. Trudno spisać wszystkie prześladowania, potwarze, przekleństwa, jakie X. Felińskiego spotykały; dość było puścić ucha na ulicy, żeby się dowiedzieć, jakie przydomki lud przylepiał nie do jego nazwiska, lecz do tytułu Arcybiskupa. Gdy dzienniki ogłosiły list papieski z 20 lutego, wyczytano w nim jedną rzecz, to że Ojciec św. nakazał Arcybiskupowi wstawić się za «duchownymi i świeckimi mężami,» którzy siedzieli w wię-

zieniu; Arcybiskup chodził wolno, więc się nie wstawiał więc rozkazów Papieża nie usłuchał; więc jest służalcem «Moskwy.» Rzym zamierzał podobno wynieść X. Felińskiego na kardynała, aby go większą otoczyć powagą; zamierzał przysłać mnicha dla zreformowania zakonów, które wyjęte zpod władzy biskupiej, popadły w rozprzężenie zupełne i najwięcej bruździły. Ani jedno ani drugie nie doszło do skutku, i Rzym publicznie nie poparł Arcybiskupa. W Galicyi «odmienne były stosunki rzeczy i czasu,» potępiono więc demonstracye polityczne w kościołach, pochwalono «biskupią roztropność i hart» Metropolity Lwowskiego, któremu za zakaz śpiewów, lud szyby wybił. Zdaleka wyglądało to, jak gdyby miano w Rzymie dwie miary i dwie wagi, jedną dla Galicyi, drugą dla Królestwa; jak gdyby to, co się nie godziło w Galicyi, godziło się w Królestwie. Odpowiedzą na to, że katolicka Austrya konkordatu dochowywała, podczas gdy szyzmatycka Rosya konkordatu nie dotrzymała. Trudno jednak zaprzeczyć, iż po zamianowaniu W. księcia Konstantego Namiestnikiem i Margrabiego Naczelnikiem Rządu Cywilnego, Kościół w Królestwie używał de facto bezporównania obszerniejszej i rzeczywistszej swobody, niż w Galicyi, że z czasem swoboda ta byłaby się rozszerzała i trwała tak długo, jak autonomia, którą myśmy sami najprzód obalili, a rząd ją wymiótł do szczętu. I kwestya Unitów weszła na drogę pomyślnego rozwiązania, dzięki autonomii i polskiemu rządowi, lecz p. Tarnowski o tem nie wspomina, choć miał dokument w ręku.* Pomimo

---

* Aleksander Wielopolski. T. III. p. 497.

to wszystko, Rzym postawy nie zmienił i z bierności nie wyszedł: nie zmienił zaś dla tego, że nie ufano Rosyi, nie ufano Margrabiemu, niezupełnie ufano Arcybiskupowi; że nie zdawano sobie dokładnej sprawy z położenia kraju, ze znaczenia i wartości samorządu Królestwa.

Jesienią r. 1862, na wstawienie się trzeciej osoby za Margrabią w Rzymie, odpowiedziano co następuje:

Znając starania Margrabiego w sprawie nominacyi Arcybiskupa, spodziewamy się dalszych propozycyi względem obsadzenia innych dyecezyi: gdyż wybór dobrych Biskupów jest najlepszym środkiem zadośćuczynienia potrzebom religii i moralności. Dotąd nie przedsięwzięliśmy żadnych kroków przeciw Margrabiemu, w sprawach religijnych Kościoła katolickiego jego kraju. Sądzę, iż nikt mu nie przypisuje zamiarów przeciwnych religii, w której się urodził, którą wyznaje i która jest wiarą jego kraju, — a to tem bardziej, że powinien on, lepiej niż ktokolwiek, znać skargi Polaków na przeszkody, jakie prawa i system rządu stawiają wolności Kościoła w rzeczach dotyczących religii, tak żywej w sercach jego współobywateli (*in cose relative alla religione che è così viva nel cuore de suoi concitadini*). Mówisz o ułatwieniach jakie Margrabia miał wyjednać w sprawie komunikacyi duchowieństwa z Ojcem Św. Mogę zaświadczyć przecież, iż dotąd nie widzieliśmy żadnego skutku: oraz dodać, że przyczyną dla której Nuncyusz do Petersburga nie wyjechał, była właśnie odmowa rządu rosyjskiego zawieszenia, przynajmniej czasowo, przepisów wzbraniających duchowieństwu korespondować wprost z Ojcem Św. lub z jego reprezentantem, w sprawach religijnych. Zresztą chcę się spodziewać (*io amo a sperare*), iż dobre usposobienia Margrabiego w sprawach religijnych Polski, nie zmienią się wobec trudności położenia, tem bardziej, że widując tylu Polaków, nabrałem przekonania, iż najskuteczniejszym środkiem uspokojenia Polski, jest zwrócenie im wolności religijnej, (*di rendere la libertà religiosa*).

Czy zwrócenie najszerszej nawet i najzupełniejszej wolności religijnej mogło uspokoić Polskę, każdy dziś osądzi. Religia nie była prześladowaną, ani Kościół nie był uciemiężony: przyczyną zaś niepokojów nie były wcale przepisy, ścieśniające swobodę Kościoła i znoszenie się wiernych z Papieżem. Margrabia nie był wszechmocnym i nie mógł żadną miarą odpowiadać za uczynki rządu centralnego, ani za to, co się działo po za obrębem Królestwa. Swoboda, jakiej Kościół katolicki używał de facto w Królestwie, nie pozostawała bez wpływu na stosunki kościelne w Litwie i na Rusi, tak jak system wychowania i rozwój życia narodowego wywierać musiał wpływ dobroczynny poza Bugiem i Niemnem. Rzeczą było, zaiste, Polaków z Rzymem związki mających, o tem Stolicę Apostolską dokładnie oświecać, wzbudzać ufność ku Margrabiemu i ku Arcybiskupowi, na co obaj zasługiwali.

Nie przywiązując na miejscu wielkiej wagi do samorządu, niedość ceniąc dobrodziejstwa zeń dla kraju płynące, przeoczono lub nie chciano widzieć znaczenia autonomii dla stosunków kościelnych. Nie dowierzając Margrabiemu, wątpiąc o jego polskich i katolickich uczuciach, odmawiając mu szczerego poparcia w Warszawie, lub pracując nad jego obaleniem,—trudno było, jeśli nie niepodobnem, przemawiać za tymsamym człowiekiem w Rzymie. Arcybiskup, jedna z najdzielniejszych podpór Margrabiego, musiał paść ofiarą żywionych ku Margrabiemu niechęci. Margrabiego wystawiano skłonnym, dla politycznych widoków, «wprządz» Kościół w organizm państwa, i to państwa na poły szyzmatyckiego w dodatku. Arcybiskup wystawiany bywał jako

nie dość silny charakterem, aby nie uledz przemożnemu wpływowi Margrabiego; zarzucano mu także zbytnią skłonność do oddzielania się od ruchu narodowego, za czem szło odstręczanie wiernych od Kościoła. Nic dziwnego, jeśli Papież życzył osobiście poznać X. Felińskiego, i przekonać się o ile może liczyć na jego wierność. Nic dziwnego, jeśli pamiętny dawnych smutnych przykładów, Pius IX nie lekceważył uwag czynionych i nie spieszył z poparciem dla Arcybiskupa. «Wrażliwe oczy tłumu» fałszywie tłomacząc ostrożność Rzymu, upatrywały w milczeniu Stolicy Apostolskiej dowód małej ku Arcybiskupowi ufności, nieraz naganę jego postępowania. Niesłuchany przez niższe duchowieństwo, niecierpiany przez złą starszyznę, nienawidzony przez złych mnichów, wśród ludu oskarżany o odstępstwo, Arcybiskup uległ oblężeniu warszawskich zelantów, którym szło bardzo o wolność Kościoła, lecz jeszcze bardziej o to, iżby Margrabiemu wszystkie «nici przeciąć.» I ostatecznie, Arcybiskup padł ofiarą tej samej polityki i tej samej zaciekłości, co Margrabia, co Rada Stanu, Rady powiatowe, wszystkie instytucye i cały samorząd Królestwa.

VI.

DROBNE SPRAWY.

Potomność dziwić kiedyś się będzie, jakim sposobem, wśród wielkich i doniosłych wypadków, grać mogły wielką i przeważną rolę mizerne jakieś spory o frazesa, dziennikarskie artykuły i tym podobne nędzoty. Potomność położy na jednej szali inkryminowane mowy Margrabiego, rozporządzenia o kapeluszach, wycinki z Dziennika Powszechnego, wszystkie błędy dotąd mu zarzucane, na drugiej zaś wyjednany przezeń samorząd, reformę wychowania publicznego, prawo o oczynszowaniu i inne uczynki: zważy obie te wartości, i zapyta, jakim sposobem czyny straciły wagę, podczas gdy słowa niezmiernej wagi nabrały?

Pan Tarnowski «wyraża zdanie,» że mowy do duchowieństwa i do sądownictwa były «niezręczne.» Nie on pierwszy to zdanie wyraża, i nie ostatni. Po latach dwudziestu niemal, mów nie rozbiera i nie dyskutuje, tak jak należałoby je rozebrać z zimną krwią i przedyskutować z rozwagą; tylko starą modą wywlokłszy dwa frazesa «rząd w rządzie» oraz «ocalony w krwawem, niestety, starciu porządek,» resztę w głębokiem

topi milczeniu, jak gdyby nic więcej w nich nigdy nie było.

Przypuszczam, iż duchowieństwo miało racyę przestraszyć się mniemanej groźby nowego naczelnika Komisyi Wyznań, to jeszcze, obok groźby znajdowały się inne, wcale nie dwuznaczne przyrzeczenia i zobowiązania: przyrzeczenie «szczególnej dla Kościoła katolickiego względności;» zobowiązanie »słuchania chętnem uchem zażaleń na ścieśnienia,» które Margrabia obiecywał usuwać sam, lub odnosząc się wyżej. To, tego tak wyraźnego wezwania, aby nowego zwierzchnika wspierać radą, aby jego starania i usiłowania uprawniać, duchowieństwo zrozumieć nie mogło? Przekręcić wzmiankę o tolerancyi i ukuć ztąd broń przeciw Margrabiemu, duchowieństwo potrafiło, skoro mu tylko spisek nakazał. Bo że duchowieństwo samo nic nie wynalazło, najlepiej świadczy zestawienie obu protestów: protestu ogłoszonego w Czasie, z protestem nadesłanym Margrabiemu przez Arcybiskupa Fijałkowskiego, z podpisami kilkudziesięciu księży. Pierwszego Arcybiskup nie śmiał przyjąć i swoją powagą ulegalizować: od drugiego bronił się kilka tygodni, sam nie podpisał, i tak się go wstydził, że prosił o zwrot i obiecywał spalić, aby «śladu nie zostało.» Ile razy spisek najhaniebniejszych rzeczy od duchowieństwa wymagał, było cicho; dopiero gdy Margrabia, albo X. Feliński odezwał się ze słowem upomnienia, języki cudem się rozwiązywały. A cóż to była za wrzawa po liście X. Kajsiewicza!* Nie będę rozszerzać się nad

---

* List X. Kajsiewicza umyślnie podałem w formie, w jakiej się rozszedł po Warszawie, iżby czytelnik podług tej wła-

upadkami duchowieństwa, gdyż to rzecz zanadto bolesna i wstrętna, zwrócę tylko uwagę p. Tarnowskiego, że w chwili gdy Margrabia swoją mowę wypowiedział, duchowieństwo już popełniło wielkie wykroczenia, już przeszło na pole agitacyi politycznych, odczytując z ambon okólnik Komitetu Towarzystwa rolniczego i urządzając nabożeństwa za poległych, z mowami o «jedności narodowej».

Dnia 8 kwietnia porządek został w krwawem starciu ocalony, — to był fakt, to był wypadek oczywisty. Margrabia, który jadąc do Zamku omało życia nie stracił, krwawego starcia żałował, gdyż dodał wyraz «niestety,» na przyszłość zaś oddawał straż tego porządku w ręce stróżów prawa i sądów zwyczajnych. Po 29 listopada, po morderstwach jenerałów polskich, ówcześni stróże publicznego porządku, nazywali to «uniesieniem,» które cienie nocy pokryć miały, to też niebawem klub naszedł ich w Banku i swoje prawa im dyktował, a wreszcie 15 sierpnia z miasta ich wymiótł. I od tego czasu pozostało w pamięci ludności błędne mniemanie, że Polak nie ma prawa do swoich przemawiać inaczej jak pochlebstwem, i że wolność, to rozpasanie tłumu na ulicy. Jeśli mowa Margrabiego tyle złego zrobiła krajowi, winowajcy szukajmy w spisku, w przewróconych wyobrażeniach, w niechęci do każdego Polaka, co pod rządem rosyjskim krajowi chciał służyć. Mam przed sobą anonym do Margrabiego, datowany z dnia

---

śnie wersyi, sąd swój wydawał. Pan Tarnowski nie chcąc tego rozumieć, gani Margrabiego, że się nie wdawał w pokątne rozrzucanie «w wielkiej masie osobnych odbitek.»

6 kwietnia; świadczy on, jak wówczas «szukając dziury na całem,» wszystko bywało przekręcane.

«Panie Margrabio, pisał ten korespondent, odezwy twoje do duchowieństwa katolickiego i Żydów zachwiały dobrą wiarę w prawość postępowania twego. Do pierwszych bowiem przemawiasz za nadto despotycznie, jak monarcha do poddanych; do drugich zaś, jak burzyciel zaprowadzonej jedności, starający się o utworzenie nowego stanu w narodzie polskim, który właśnie pragnął tylko stopić w sobie żywioł żydowski. Nie lawiruj, panie Margrabio, zbyt śmiało, bo zginiesz bez chwały. Działaj szczerze, mów krótko a zrozumiale, bez żadnych alegoryj i dwuznaczników, których odgadywać nie mamy chęci i czasu. Wierzaj, panie Margrabio, iż w obecnej chwili wolimy jawnego wroga, jak podejrzanego patryotę, a najsilniejszy poplecznik przewrotnych zasad upadnie wkrótce przed opinią publiczną.

Ten list był echem tego, co się słyszało w Warszawie i w całym kraju. I rzecz dziwna, nie policzono za nic Margrabiemu tkliwej i ojcowskiej przemowy do uczniów kursów przygotowawczych, żaden ojciec mu wdzięczen nie był za te słowa z serca do młodzieży wyrzeczone!*

---

* Ów dumny i nieprzystępny Margrabia robił więcej. Oto dowód. Jakiś uczeń napisał do niego list tej treści:

«Jaśnie Panie, przebacz mojej tak zuchwałej śmiałości, iż ośmielam się w taki sposób prośby zanosić. Lecz jam jeszcze młody, więc nie znam tyle karności i formuł oznaczenia godności osób podobnych Tobie, Jaśnie Panie. Ostatecznością powodowany, chwytam się ostatniego szczebla, który w oczach Twoich może będzie szkaradnym, a jednakowoż jest to ostatnią moją ucieczką. Jestem uczniem, przez okoliczności teraźniejsze jestem zmuszony do tego kroku. Okoliczności tych jak i mojej prośby obawiam się tu nadmienić, gdyż nie wiem

Proces o Margrabstwo i proces ze Świdzińskimi liczyły się także do przyczyn niepopularności Margrabiego; wypominały mu to pisma polskie i zagraniczne przez Polaków kierowane, przypisując mu nieskończoną moc zatargów, wystawiając go jako pieniacza z rzemiosła. Kiedy już chciano tę przeszłość poruszać, należało przynajmniej przeczytać akta procesu o ordynacyę, w setkach egzemplarzy rozrzucone po kraju i po bibliotekach, oraz akta sprawy o zapis Świdzińskiego. A gdzież była ta moc niezliczona innych pieniactw? Dlaczegóż o niej nie wiedzą adwokaci Margrabiego w Kielcach, w Radomiu, w Warszawie? «Niepopularny był Margrabia wskutek procesu Świdzińskich, — nie słusznie? dobrze: ale tak było — powiada p. Tarnowski; jakżeż on dopiero potrzebował i powinien był ludzi przekonywać i przygarniać?» Ani słowa, ale «ludzie» nie powinni byli go na wiatr za procesowicza przed krajem i Europą ogłaszać.

---

czy dojdzie do rąk Jaśnie Pana, lecz jeśli łaska będzie przeczytać tę prośbę i zezwolić stawienia się, wtenczas zaniosę prośbę do Niego samego, gdyż ufam zupełnie jego wspaniałemu sercu, a ja zawsze będę wdzięcznym i zdolnym poświęcenia aż do grobu.»

Margrabia chłopcu przyjść kazał do siebie, jak świadczy drugi list, w którym biedaczysko tłómaczy się, że nie przyszedł, gdyż władza szkolna wyjechać mu kazała z Warszawy, i zarazem cały swój interes opowiada. Miał z innymi ośmiu «pójść na wiosnę do wojska Mierosławskiego,» więc do klasy nie chodził, tylko się «uczył języków.» Obiecano mu podróż zapłacić; na próżniactwie zeszło «aż do Świątek» i cały rok był stracony. Historya o «wojsku» mogła być bajką albo prawdą, ale prawdą jest, że Margrabia chciał go wysłuchać i ludzkie miał serce.»

Sądząc z opisu p. Tarnowskiego, wydawaćby się mogło, że stan kraju w chwili wypadków był, jeśli nie doskonały, to niewiele do tego brakowało; — chłopi w trzeciej części oczynszowani, nie obcy świadomości prawa i własności; — stan trzeci pełen przemysłowców, finansistów, kupców, urzędników, lekarzy, profesorów, publicystów itd.; — urzędnicy sądowi «doskonali i wzorowi;» urzędnicy administracyjni «patryotyczni!» Tak «myślał» p. Tarnowski, który tam nigdy nie był, ztąd dowód, że ja jestem «złym fotografem.» — Co do urzędników sądowych, byli między nimi ludzie bardzo zacni i wzorowi, np. senator Szatyński, którego jeśli znał p. Tarnowski, to musi pamiętać, jak on ludzi sądził i kogo «rewolucyonistami» nie bez przyczyny mianował. Członkowie, t. j. referenci departamentu kryminalnego Senatu, byli rzeczywiście dawni wzorowi prawnicy, i powiem p. Tarnowskiemu, że sądzili zawsze podług kodeksu z 1818 r., jak gdyby nowy, gorszy, z 1849, nie istniał, gdyż Senatorowie albo drzemali na sesyach, albo o kodeksie najmniejszego nie mieli pojęcia. O departamencie cywilnym, ludzie, co tam sprawy miewali, różnie mówili, taksamo jak i o sądzie apelacyjnym. Były trybunały słynne z przekupstwa, były i dobre; tak, jak był konsystorz, zajmujący się specyalnie orzekaniem rozwodów dla wszystkich ziem dawnej Rzpltej. Wszystko nie zgniło, ale w przecięciu działo się niestety — źle. Urzędnicy administracyjni tworzyli kastę i służyli dla chleba, bo skoro szlachcic miał miał kawałek ziemi, już wstydził się syna oddać do urzędu. A ci co służyli, w jednej połowie nie spełniali praw i przepisów rządowych, żeby dokuczyć rządowi, przez fałszywie zro-

zumiany patryotyzm; wielu zaś gorszych, w zamian za kubany. To też administracya ściągała podatki — miękko — i rozsyłała okólniki: tyle jej było. Ludzie się w błocie topili po drogach, nie było żadnej policyi po wsiach, wójci gmin nie pilnowali interesów gmin, w miasteczkach burmistrze słynęli ze zdzierstwa. Byli między urzędnikami dobrzy, tylko znowu rara avis in gurgite vasto. Jeśli zasługują na szumną nazwę patryotycznych, to chyba za przejście bez wahania pod rozkazy centralnego komitetu! Wyżsi dygnitarze, najszanowniejsi, mieli bardzo mało wpływu, najczęściej żadnego, gdyż urzędnik był zawsze podejrzany. Na czem najwięcej zbywało urzędniczemu ciału, to na uczuciu obowiązku i cywilnej odwadze. Na tem też autonomia chromała. Tu prezes sądu posłany do Modlina dla badania uwięzionych podczas starcia 8 kwietnia, umywa ręce jak Piłat, daje sobie wykraść swój raport, a w rezultacie więźniowie siedzą w fortecy, prawo o zbiegowiskach zostaje na papierze i sądy wojskowe funkcyonują jak dawniej. Margrabia chce ustanowić Sąd Główny na przestępstwa stanu, — ale sędziów nie ma! — Tam gubernator ucieka przed kocią muzyką, więc trzeba mu dać dymisyę, bo go już nikt słuchać nie będzie, i mianować na jego miejscu prezesa trybunału, człowieka zacnego i niezależnego, lecz nie mającego praktyki administracyjnej. A cóż była za bieda z naczelnikami powiatów! Szlachcic nie przyjmie za nic, szybki awans budzi zazdrości w podwładnych, z demonstracyami zaś karność i powaga poszła z dymem. Kto przyjął urząd, najczęściej z władzą obchodził się jak ze szkłem.

Powiastka p. Tarnowskiego o trzecim stanie wcale nowa, niestety mocno przesadzona. Stan trzeci przyczynia się do równowagi w społeczeństwie i w kraju, o ile związany jest pracą z istniejącym porządkiem rzeczy i ze spokojem publicznym; przyczynia się do ożywienia społeczeństwa, o ile ma inteligencyę i chęć odznaczenia się. Parę tysięcy ludzi składających to co p. Tarnowski materyałem na stan trzeci nazywa, drobna mniejszość, stojąca między szlachtą i ludem wiejskim, przyczyniała się aż zanadto do ożywienia kraju szerzeniem agitacyj politycznych, gdyż ułamek związany pracą i interesem ze spokojem publicznym, tonął w reszcie, pewnej chleba, czy kraj będzie lub nie będzie spokojny, albo lekkomyślnej, albo nie mającej nic do stracenia.

Czy Margrabia rządził się maksymą: «moi seul et c'est assez» odpowiada długi szereg ludzi, których on do kraju ściągnął, nieraz zpod ziemi wydobył, o których nigdy nikt pierwej w kraju nie słyszał. A wieluż to jeszcze byłby sprowadził; o wieluż to nikt nie wie, że byli zapraszani, lecz odmówili. Dwa lata szperając w tej epoce, mogę o rzeczach mówić z niejaką pewnością, i mam prawo twierdzić, że nikt znaczniejszy w kraju i za krajem nie był pominięty, i miał swoje miejsce wyznaczone w powstającej budowie. Niech mi też będzie wolno wspomnieć na tem miejscu, że należała się od p. Tarnowskiego wzmianka Kaźmierzowi Krzywickiemu, należała się tem więcej, że mu Przegląd w swoim czasie krzywdę wyrządził. Czem on był, o tem nie pora mówić, ale dokumenta z jego podpisem w III Tomie zamieszczone, są pięknem świadectwem jego poczciwej służby dla kraju.

Pozostaje mi jeszcze obrachunek z Czasem krakowskim. Publiczność musi się trzymać za boki, na widok, jak my się o Czas wadzimy, bo przecież w Krakowie dobrze wiedzą, jak to było: że Czas z zamiarem Margrabiego podkopywał, żeby go wywrócić; że przez dwa lata z górą, umyślnie, systematycznie, kłamał o jego osobie i o jego działaniach. «Odgadywać, zaufać i zawierzyć na ślepo» Margrabiemu nie potrzebował, gdyż po części wiedział, o co idzie, po części mógł się dowiedzieć. Robił co chciał, i koniec. Temu dzisiejsza redakcya nie winna, nie winni dzisiejsi właściciele, nie winien Mann, który wszechwładnym nie był i w końcu się usunął. Dlaczego nie przyznać, że Czas robił źle — i byłoby cicho. Próżna to rzecz bronić tak złej sprawy. Jeśli p. Tarnowski jej broni, to dlatego, że już zapomniał, co się wtenczas w Czasie drukowało, a tendencyjnej biografii nie ufał. Powtóre, broni Czasu jeszcze i dlatego, że go przywykł chwalić zanadto. «Jest jeden dziennik, od którego w Europie żaden czystszym, bardziej honorowym nie jest, jeden z tych rzadkich, które ćwierć wieku żyjąc nigdy się nie zmieniły, nigdy się nie ugięły, nigdy się nie ulękły, nie płaszczyły się ani przed rządami, ani przed opinią, ani przed teroryzmem policyjnym, ani przed rewolucyjnym: nie trzeba go wymieniać, każdy wie, że tym dziennikiem jest Czas,» napisał p. Tarnowski*, zapomniawszy, że Czas zmienił się, i bardzo się zmienił, w r. 1861 i następnych. Odtąd Czas się poprawił, ale żeby ta poprawa była zupełną, nie trzeba przeczyć winy jasnej

---

* Królowa Opinia. Przegląd Polski T. VIII. R. 1875 p. 80.

jak słońce. Dlaczego dawni przyjaciele Margrabiego za nim się nie wstawili, to ich rzecz. Margrabia do nich udawać się nie mógł, gdyż z nim zerwali, gdyż najżyczliwsi gwałtem chcieli go skłonić do ustąpienia. Na to mam dokument, list poniżej przytoczony, który wyjawić mogę z czystem sumieniem, pisany był bowiem z najlepszem sercem i w najlepszym zamiarze.

Panie Margrabio, od chwili w której ostatni raz mówilismy z sobą, każdy krok twój był dla mnie przedmiotem głębokiego zastanowienia. Nie należałem do tych, którzy cię lekkomyślnie potępiali i mierzyli cię miarą, której tylko miierności mierzyć przystoi. Ani o wzniosłości twego ducha, ani o zamiłowaniu dobra krajowego, nie wątpiłem nigdy. Jeżeli dziś ośmielam się wprost do ciebie, panie Margrabio, się odezwać, czynię to przez uszanowanie dla wysokich twoich zdolności, przez przyjaźń dla twoich synów, przez cześć dla imienia które nosisz, które przyszłe pokolenia po tobie nosić będą, które jest własnością, a było dotąd chlubą narodu polskiego.

Myśli, które ośmielam się wypowiedzieć ci otwarcie, panie Margrabio, są głosem sumiennej, cichej, samotnej rozwagi. Uspokoiłem w mojem sercu wszystkie drgania uczucia, oddaliłem z mojego umysłu wszystkie zapędy wyobraźni, i mam przekonanie, że w sądzie zdala stojącego, bezstronnego i przyjaznego, choćby mniej bystrym wzrokiem obdarzonego widza,* niż w sądzie tego, który wśród walki swe wytęża siły. Nie pochlebiam sobie, żebym cię, panie Margrabio, przekonał albo do uczynienia jakowego stanowczego kroku sam nakłonił, ale przekonany jestem, że prawda jest w moich słowach, więc ją wypowiem: ty, panie Margrabio, zrobisz co zechcesz, a mnie się zdaję, że dopełniam obowiązku sumienia.

---

* W tem miejscu brakuje słowa. Zapewne piszący chciał powiedzieć, iż w jego sądzie może być więcej trafności, niż w sądzie «wytężającego wśród walki swe siły» Margrabiego.

W stanowisku trudnem, które zająłeś, sądzisz może, panie Margrabio, że poświęcasz tylko popularność chwilową, i poklask tłumu. Pojmuję, że je mało cenisz, bo też i mało warte. Ależ zaprawdę, tu już o co innego chodzi. Tu już chodzi o imię jakie twoim synom, jakie potomności zostawisz. Czy nie widzisz, panie Margrabio, próżni jaka się koło twoich synów robi, czy nieprzewidujesz, że ta próżnia koło twego wnuka jeszcze będzie większą. Czyż nie widzimy tego codziennie, że wnuki cierpią więcej niż ich dziadowie. To co sto lat temu uchodziło na wyskok buty szlacheckiej, albo zamiłowania swawolnej wolności, stało się, przechodząc przez pokolenia ciężarem. Wielu jednak z pomiędzy tych, co upadku świetnych imion stali się winnymi, mieli czyste zamysły i uczciwe serca.

Jest chwila w każdym zawodzie, w której się cofnąć można i ratować wszystko co się straciło. Największe geniusze upadły, jeśli z tej chwili korzystać zaniedbali. Dla ciebie, panie Margrabio, chwila takowa nadeszła teraz. Jesteś człowiekiem potężnego umysłu, a zatem i wielkich postanowień, ani ujdą twej rozwagi wszystkie następstwa stanowczego kroku. Krokiem tym jest opuszczenie władzy, a przyczyny opuszczenia, cały świat z podziwem rychło wiedzieć będzie. Wyjście dziś z władzy, może jeszcze stanowić piękną kartę w dziejach twego rodu.

Wszakże sięgnąłeś po władzę, w przekonaniu, że zbawisz zburzeniem i rozkładem zagrożone społeczeństwo nasze. Wszakże rachowałeś przynajmniej na to, co władza absolutna dać może, na siłę, i tegoś nie znalazł. Wszakże rachowałeś na dobrą wiarę tych, z którymi pospołu rządzić miałeś, i to cię zawiodło! Brakuje ci słowem wszystkich środków, za pomocą których ludźmi rządzić można. Składasz więc władzę, boś nie miał od samego początku innego zamiaru, jak służyć krajowi, do którego twój ród należy.

Wspomniałem już o możebnych następstwach takiego postanowienia, mogą być zapewne wielkie i ważne, ale wszystko jest lepsze, niż zostawić imię, które nieprzyjaciele każdej wyższości społecznej z radością, a przyjaciele ze smutkiem wymawiać będą. Nie wiem, panie Margrabio, jak wyrazy te moje przyjmiesz. Jeżeli myśl ta powstała już

w umyśle twoim, niech za to będą dzięki Opatrzności! Jeżeli zaś była ci dotąd obcą, a może ci się wtedy wyda niedorzeczną, upraszam abyś wierzył, że była poczęta z miłości dla kraju, z zamiłowania tradycyi narodowych, z przyjaźni dla synów twoich.

Kraków, 22 października 1861.

Data wskazuje, iż list ów był pisany w chwili, kiedy wszystko straconem się zdawało, kiedy gwiazda Margrabiego była bardzo zaćmioną, kiedy nikt nie przypuszczał, iżby jeszcze zajaśnieć mogła, — kiedy wreszcie sam Margrabia o usunięciu się zamyślał. Cóż Margrabia mógł odrzec na tak gorące zaklęcie, w imię wszystkiego, co mu drogiem być musiało? Nic. Wszystko mówiło przeciw niemu; on sam ani mógł się spodziewać, że cokolwiek dla kraju wyjedna, ani mógł przewidzieć, co mianowicie wyjednać potrafi. Jeśli nie ugiął się i nie uląkł, to tylko dlatego, że miał silną wolę wytrwać w poświęceniu dla kraju, wytrwać do ostatka, bez miłosierdzia nad samym sobą. Trwał, bo słyszał ów głos tajemny: «Idź i czyń — choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich, choć zwątpisz o braci twojej, — czyń ciągle i bez wytchnienia.»

Bóg mu wytrwanie nagrodził sowicie. Margrabia zdobył dla siebie piękną kartę w historyi, i zostawił po sobie jeszcze coś więcej. Żyje i krzewi się w kraju myśl jego, myśl płodna i zdrowa, myśl dźwigania się narodu o własnych siłach i własną pracą. Budowa przezeń wzniesiona, runęła do szczętu, lecz pod gruzami utrzymał się nietknięty posiew odrodzenia, potrzebny wówczas na najbliższe jutro. Nie była to bowiem tylko pora politycznego przewrotu; tkwiło w niej coś

gorszego, owe zaćmienie elementarnych prawd, na których społeczeństwo się opiera. Odrobina światła, jaką młodzież zaczerpnęła ze szkół przez Margrabiego uorganizowanych; grono kapłanów światłych i prawych, zgromadzone w Warszawie; przykład żywy, jakie dobrodziejstwa przynosi krajowi usilna praca wewnętrzna, to wszystko sprawiło, że kraj nie popadł w martwotę, że ma dziś lepszych obywateli i lepsze duchowieństwo, że pracuje i myśli o sobie.

Najdobitniejszym dowodem, że społeczeństwo było otrute moralnie i ciężką złożone niemocą, jest to, że dodatnie spójnie nie wiązały i nie łączyły ludzi, że jedność i solidarność opierała się na przeczeniu i dążyła do niszczenia. Dalszym tego dowodem, występki i zbrodnie, które namnożyły się dlatego, że przez wiele lat nikt nie śmiał głośno wyrzec, iż polityczne morderstwo, polityczne samobójstwo, polityczne kłamstwo lub polityczne złodziejstwo, w niczem sie od zwykłego nie różni przestępstwa. Innym jeszcze dowodem, z tysiąca wybranym, owe przechodnie zaćmienie pojęcia prawa i sprawiedliwości. Wdzięczen jestem p. Tarnowskiemu za wymowną obronę Margrabiego, przeciwko wycieczkom za stracenie morderców. Jeżelim lat temu dziesięć prawił o ułaskawieniu, to dla tego, iż mi się wówczas roiło, jako społeczeństwo lepiejby czyniło, gdyby zamiast przestępcom odejmować życie, przestępców poprawić się starało. Dziś już tego nie twierdzę, choćby dlatego, że wiem z jakiej przyczyny szkoła rewolucyjna domaga się zniesienia kary śmierci za zbrodnie polityczne, gdyż liczy na amnestye i — bezkarność. Myli się jednak p. Tarnowski twierdząc,

jakoby «akt ułaskawienia był niezawodnie trafił do dobrych serc polskich, i umysły lepiej dla Margrabiego usposobił.» W owych żałobnej pamięci czasach, serca polskie były, niestety! twarde i suche, twardsze i suchsze niż skały. Pomijam wszystkie orzeczenia w stolicy i w kraju z powodu zamachów słyszane, które kłaść można na nierozwagę i niewstrzemięźliwość języków; przypomnę tylko jak kobiety z klas wyższych, nawet szczerze pobożne, nawet w wierze oświecone, szły na egzekucye «modlić się za męczenników,» lub rozczulały się nad «męczeńską śmiercią dzieci umierających za ojczyznę.» Ci nieszczęśliwi byli uwiedzeni, ale do godności «męczenników» daleko im było! Dlatego to egzekucye były nieszczęściem, gdyż zamiast odstraszać, zamiast nauczać, dolewały oliwy do ognia, i fanatyzm w umysłach rodziły.

Czytelnik zapyta: a Rosya? O Rosyi powiedziano już wszystko, co tylko powiedzieć było można, i co powiedzieć należało, w biografii nie przemilczałem. Mówienie o Rosyi, Rosyi nie przekonało i nie nawróciło, odwracało zaś i odwraca naszą uwagę od własnych domowych spraw, od naszych uczynków, od naszych błędów, które się często powtarzały i powtarzają. Wreszcie rachuby na innych zawsze nas zawodziły, przestańmy więc liczyć na obcą pomoc i na obce nawrócenia; nie oglądajmy się na nikogo. Jeśli kto zechce coś dla nas zrobić, przyjdzie sam do nas, a wtenczas się rozmówimy. Tymczasem liczmy jedynie na siebie samych, na nasze własne, choć słabe siły. Życie narodu nie bywa nigdy i nigdzie tryumfalnym pochodem lub spoczynkiem. Jest i będzie walka ciężką i nieustanną; musi

być walką, gdyż walka je ożywia i uzacnia. W każdem zaś położeniu, społeczeństwo waży najwięcej same na szali własnych losów; własną pracą daje niepożytość wzniesionym przez siebie budowym; mądrem postępowaniem dolę swą poprawia; błędami marnuje teraźniejszość i naraża przyszłość.

Jeszcze słów kilka. — Zdając sprawę z biografii, p. Tarnowski nie miał zapewne na myśli, że, tak jak on, tak i każdy człowiek nieco rozważny, nie pisze na wiatr, bo wie, iż za rozmyślne fałsze, za ukrytą prawdę, za grzechy opuszczenia, przyjdzie mu się wstydzić i tu na ziemi i gdzie indziej. Inaczej bowiem nie dowierzając książce, p. Tarnowski byłby postarał się o gruntowniejsze poznanie rzeczy.

Wtenczas byłby zrozumiał, jakim sposobem biograf, znajdując wszędzie same niesprawiedliwości względem Margrabiego, a znizkąd nie widząc zadośćuczynienia, mógł nie mieć wiele miłości dla tych, co ani okruszyny sprawiedliwości i miłości dla Margrabiego nie znali. Oburza pana Tarnowskiego mój sąd o jenerale Zamoyskim, któremu wiele dobrego oddałem, lecz sam nie znajduje jednego słowa oburzenia na krzywdy Margrabiemu wyrządzone, na krzywdy najsroższe i najoczywistsze, których nigdy nikt naprawić się nie starał. I nic w tem dziwnego. P. Tarnowski zapomniał o tem, co się działo, nie zakosztował tych wszystkich goryczy i bolów, a pisząc pod wpływem własnych wrażeń i pod wpływem uprzedzeń codziennie napotykanych, widział stronniczą tylko namiętność tam, gdzie być musiało

ludzkie, bardzo naturalne uczucie. Może być książka ostrą, gorzką i nieprzyjemną, lecz «niezdrową,» ani też «niebezpieczną i szkodliwą» nie jest i być nią nie może. Nie mówię to przez zarozumiałość, gdyż mój własny udział w napisaniu książki był bardzo szczupły. Złożyły się na nią fakta i dokumenta, czyli innemi słowy: prawda, która jest tylko jedna: prawdziwa. Brak miłości niech najprzód przypiszą sobie samym ludzie, co bez miłości Margrabiego sądzili, i miłością w postępkach swoich się nie kierowali. Prawda jest zwykle «harda i nieznośna;» wydaje się tem bardziej «zuchwałą, pogardliwą i zarozumiałą,» że przywykliśmy do nieograniczonej względem siebie pobłażliwości, idącej w parze z niezmierną dla przeciwników surowością. Próżnem porównywać biografią z wybrykami Mochnackiego i Mierosławskiego, zachodzi bowiem ta różnica, że bądź co bądź, biografia, oparta na posadzie niewzruszonej, któréj autor nie wynalazł, która istniała przedtem i istnieć będzie dłużej niż my wszyscy. I wtem tkwi jeszcze jedna przyczyna gniewów, jakie biografia wywołała, gdyż odłożywszy na bok mniemaną stronność i namiętność autora, treść rzeczy pozostanie niezbita i nienaruszona. Niepamiętni przypowieści o belce i źdźble słomy, moi przeciwnicy pomawiają mnie o panegiryzm, i jednocześnie zarzucają mi, żem nie dość położył nacisku na miłość, jaką Margrabia pałał dla kraju. W rzeczy samej nierozszerzałem się w słowach nad uczuciami Margrabiego, byłem oszczędnym w przymiotnikach, nie nazwałem go podobno ani razu geniuszem, sądząc, że uczynki najlepiej zaświadczą o jego miłości dla Polski i o jego dzielności. Cóżby do-

piero było, gdybym był wielkiemi słowy szafował? Zarzut stronności i bezwzględnego uwielbienia zasadza się głównie na tem, żem nowych błędów Margrabiego nie wykrył, i to mi jest za największy grzech poczytane. Zestawiłem jednak sumiennie świadectwa i dostarczyłem mnogość świadectw dotąd nieznanych; rzeczą teraz mędrszych odemnie i bezstronniejszych, Margrabiego sądzić. Dlaczego tej pracy nikt podjąć nie chce? Byłaby to najlepsza obrona ludzi przezemnie pokrzywdzonych; byłoby to pożyteczniejszem niż szarpać biografa, który sam jeden niemal, z otwartą przyłbicą bronić się musi przeciw całej rzeszy przeciwników, solidarnie z sobą związanych, często niewidomych, mających na swoje usługi mnie nieprzystępne dzienniki.* Czy to jaki pożytek rzeczy przyniesie, śmiem wątpić. Jeśli bronię, i bronić będę do upadłego, sprawy, którą pierwszy podniosłem, to znowu nie dla siebie, gdyż głośno nikt mi może słuszności nie odda. Liczę na inną nagrodę. Liczę na to, że słaby głos mój skłoni ludzi do wniknięcia głębiej i rozpatrzenia się w rzeczy, a wtenczas i sprawa się ostoi, i pojęcia się wyjaśnią, i pokaże się czy Epigonowie r. 1861 a kraj, to jedno i toż samo; czy każde wystąpienie przeciw Epigonom uparcie zapierającym się własnych błędów, cały kraj bez wyjątku jako zamknięcie

---

* W sierpniu lub wrześniu r. 1878, Czas wydrukował list z Wiednia zapowiadający, iż Le Secret du Roi ks. Broglie zbije niezawodnie zarzuty w biografii polityce emigracyjnej przezemnie czynione. Myśl w każdym razie była dowcipna i śmiała, tem śmielsza, iż z wyjątków, poprzednio w Revue des Deux Mondes umieszczonych, wiadomem było, o jakiej epoce książka ks. Broglie traktuje.

Michał hr. Tyszkiewicz.

ZAŚCIANKOWE POJĘCIA
O MOŻNOWŁADZTWIE NASZEM.

WARSZAWA
Druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.
1899.

Дозволено Цензурою
Варшава 20 Іюня 1899 года.

Dzięki znakomitemu artykułowi ks. Antoniego Rawicza w „Kraju“ pod tytułem „Przestroga czy paszkwil“, dowiedzieliśmy się o istnieniu rozprawki p. Jelskiego, pomieszczonej w Kalendarzu Petersburskiego Katolickiego Tow. Dobroczynności na 1899 rok, pod tytułem: „Możnowładztwo nasze i tytułomania“.

Naiwna ta praca, ozdobiona portretem autora, umieszczonym pomiędzy wizerunkami Ks. Biskupa Niedziałkowskiego i Mickiewicza, a nadto umajona licznemi omyłkami gramatycznemi, ma jednak szersze znaczenie jako dowód, iż staroszlacheckie przesądy istnieją jeszcze, a również jak fałszywe pojęcia panują w zakątkach zapadłej Litwy i propagują się wśród ciemnych mas.

Gdyby artykuł ów był przeznaczony dla tych o których pisze, mógłby nosić nazwę przestrogi, ale kalendarz petersburski jest czysto demokratycznym jak wiele naszych kalendarzy i ma więcej szans dostania się do innych sfer, jak do salonów które gromi. O moralizacyi więc mowy tu być nie może i pomimo iż szan. autor popiera swe dowody zdaniem wielu historyków, a co więcej tekstami z pisma św. (niestety dziwnie przekręconemi przez korektę), pomimo, iż powiada, że pochodząc od Spadów, ma prawo do hrabiowskiej korony, ale przykładem największych mężów naszej przeszłości nosić jej nie chce, pomimo tego wszystkiego artykuł jego będzie czytanym przez tych, którzy podług litewskiej piosenki Bartelsa „rozum czerpią z kalendarza“ i dla których ton, styl, ortografia i treść tej pracy są najodpowiedniejsze.

Chodzi autorowi artykułu „O naszem możnowładztwie i tytułomanji“ przedewszystkiem o prawdę; „Mistrze“ albowiem każą mówić prawdę bez ogródek, więc *i ja* wolę stawić *na stół uczty umysłowej*

czystą sól prawdy (!)", gdyż „tylko czysta prawda zdolną jest budzić *sumienie nawet zatyłe*". To „*i ja*" powtarza się parę razy, np. Kraszewski coś powiedział o panach „*i ja*" kwestyę zwyrodnienia klas wyższych opracowałem.... dodaje p. Jelski; skromność to bududująca, byłoby jednak pożądanem aby szan. krytyk możnowładztwa polskiego znał przedtem polską gramatykę, nie pisał „drugi" przez *ó*, „chrzczonej" a nie „chrzszczonej", nie używał takich zwrotów stylowych, które omyłkami korekty trudno wytłómaczyć, jak następ.: „Era chrześcjańska *wskurała* dotąd nie wiele na serce człowieka (?)". Czyżby? i to dla tego, że „panowie" noszą tytuły równość szlachecką każące? „*System kastowości cuchnący* starą zakałą pogaństwa" „*Różnych zdrajców* możnowładnych też nie brakło", „*roiła się podłość* u wyżyn społecznych". Cóż za wątpliwość być może względem podłości złotego wieku, *któremu stawało* możnowładztwo już *rzęsiście* utytułowane". „*Podłość rozszalała*" „imię tego *narzuta* figurowało w konstytucjach" „promienne wyskoki z jądra ducha całej niemal zdemoralizowanej do rdzenia kasty"... „przyswoiło sobie *świętokradzko* mowę włoską i francuzką" „przeszłość iskrzy się u wyżyn społecznych wprost potwornością". „Podłość razem z tytułomanją zespoliwszy się ściśle dosięgły szczytów zgrozy (!!). Gorsi są ci *co lażą* wciąż przebojem do arystokracyi, nowi istni narzuci" (?). „Ostatnie ćwierćwiecze dało nam mnóstwo rodzin utytułowanych sromotnie," panowie nie cierpią „wtrętów," „klejnot krajowy nie posiada owego szpetnego ogona obczyzny," „w retorcie czasu zła samego tytułu podnieta" etc. etc. etc.

Rozpacz autora i moralisty z powodu „sprzeniewierzenia się" panów „ojczystej ustawie o równości szlacheckiej" niema granic. „Era chrześcjańska wskurała w rzeczywistości dotąd niewiele na serce człowieka, kiedy „spodlona, skarłowaciała oligarchia nosi korony hrabiowskie" „zamiast zwyczajnej szlachecko polskiej 5 listnej korony, która odpowiada *w zupełności* koronie markizów francuskich". W ferworze swym przypomina Kazimierza W., króla chłopków, który groził „krzesiwkiem i hubką" niedobrym panom (i to koniecznie utytułowanym), pobożnie życzy aby „zdegenerowane rody dawne wymarły sobie," aby „ten obłęd wielkości ogniem uśmiercić, jak ową stogłową Hydrę Lernejską".

Jaka szkoda iż szan. autor nie poprzestał na radach daleko pożyteczniejszych, umieszczonych przez niego w tym samym „katolickim" kalendarzu: jak przygotować wino agrestowe i „szampan z kory brzozowej".

Praca zaś jego historyczna, choć ciekawa, nie miałaby dla nas takiego znaczenia, gdyby nie była wyrazem pojęć całych tłumów, idei skrzętnie powtarzanych przez naszych wrogów, a w dodatku najzupełniej fałszywych.

*

* *

Źródła na których opiera się p. Jelski należą przedewszystkiem do szkoły Lelewelowskiej, dawno już upadłej.

W pracach Lelewela i współczesnych mu historyków „widzimy przedewszystkiem wielki brak stwierdzenia faktów“ „autorowie ci poszli na lep patryotycznych frazesów, a licząc słowa i uczucia za czyny przedstawiali w błędnem świetle dzieje kraju (Bobrzyński t. II 306). „Czytając pogląd Lelewela, dziwimy się dzisiaj jak można było popaść w takie zboczenia i błędy“, dziwimy się dzisiaj jak mógł Lelewel za pierwszych Bolesławów znaleźć w Polsce gminowładztwo, jak mógł wierzyć, iż szlachta polska już w XIV i XV wieku na sejmach rządziła, skoro temu wszystkiemu przeczą wprost źródła“ (Bobrzyński t. I. 65, 66). Dawniejszą jeszcze szkołę dydaktyczno-dekoracyjną, do której należeli przytaczani przez autora artykułu „o naszem możnowładztwie etc. J. Bandtkie, Niemcewicz etc. charakteryzowało „moralizowanie, zajmujące miejsce sądu historycznego i prawdy dziejowej“. „Całą winę nieszczęścia i upadku składano na barki pewnych kozłów ofiarnych: Kmity, Zebrzydowskiego, jezuitów etc., a wszelkie głębsze pojęcie rzeczy, wykrywanie ogólnych wad narodowych, uważano za kalanie własnego gniazda i świętokradztwo“ (tenże t. I 59).

Bez porównania mniejszego jeszcze znaczenia są zdania, czerpane z ulotnych broszurek rewolucyjnej treści Jezierskiego, Kołłątaja i innych agitatorów, a nie historyków z czasów sejmu czteroletniego.

Dziwić się można iż p. Jelski ignoruje zupełnie J. Szujskiego, wszystkie wydawnictwa aktów z ostatnich czasów, niezmiernie bogate, z Bartoszewicza nadzwyczaj wiele, nie zna szkoły historycznej dzisiejszej, Wojciechowskiego, Piekosińskiego, Smolki, Pawińskiego, Jabłonowskiego, Kubali, nie zna genealogicznych nadzwyczaj źródłowych prac Wolffa i Bonieckiego, znakomitej pracy o feodalnej Litwie Lubańskiego (Obłastnoje dielenie) etc. z Bobrzyńskiego zaś jedno słowo tylko „zdaje się“ zwróciło jego uwagę kiedy mu szło o dowiedzenie, iż Stefan Batory był otruty przez możnowładztwo. Bobrzyński wyraził się jeszcze w 1877 roku w następujący sposób: „Umarł wielki król w Grodnie d. 12 Grudnia 1586 jak się zdaje na chorobę serca“. Od tej

pory Pawiński stwierdził, iż umarł na chorobę nerwową serca zwaną „Angina Pectoris“. To „zdaje się“ nie potwierdza bynajmniej zdania p. Jelskiego, a inne zdania znakomitego współczesnego historyka, który zdaje się być znanym jednak p. Jelskiemu. zaprzeczają najwyraźniej jego zapatrywaniom na historyę.

*

* *

Twierdzenie iż „Arystokracya zgubiła Polskę“ jest u nas powszechnem i popularnem, jest to Credo naszych zaścianków i jednocześnie wszystkich gazet niemieckich i rossyjskich.

Odważam się stanowczo zaprzeczyć temu, Polskę zgubiły instytucye szlachecko-demokratyczne i parlamentaryzm, fatalne objawy „gminowładztwa słowiańskiego“ wśród monarchicznej Europy.

Nie zasada arystokratyczna wspólna całemu cywilizowanemu światu, ale specyalne instytucye polskie i zasady wyrobione w chwilach zaniku zmysłu politycznego, oparte na tryumfie społecznym szlachty, spowodowały odosobnienie, anarchię i ostateczny upadek.

Jak dawniej zrzucano wszystkie winy na Króla, na Absolutum Dominium, tak teraz kozłem ofiarnym jest możnowładztwo nasze. „Krzyczeli nasi Cyceronowie na królów ze zwyczaju, aby krzyczeć“, pisał Bartoszewicz; tak samo bezmyślnem jest oskarżanie panów, jak dziecinnem napadanie na tytuły równość szlachecką każące, bezmyślniejszem dzisiaj niż kiedykolwiek. Naród który złotą wolność, *liberum veto*, obieralność królów *viritim*, demokratyczną równość, stawił jako najpierwszą zasadę swego istnienia nie był arystokratycznym, zwyczajna logika uczy nas, iż przywileje podobne nie były przywilejami możnowładztwa. „Szlachta przywłaszczywszy sobie wyłącznie wszystkie kraju przywileje zgubiła miasta i ucisnęła lud wiejski“, pisze Bartoszewicz (Warszawa i Kraków). „Często pan upadał na sejmikach, dla tego, że *pan* „przez zawiść biedniejszej szlachty“. Stan, który zrewolucjonował dawny ustrój państwowo - społeczny Polski i Litwy, który przeprowadził wyrobione przez siebie zasady, podniósł je do wysokości instytucyi narodowej, stan ten powinien nosić całą odpowiedzialność za swoją działalność i czyny.

Tak samo fałszywem jest zdanie, iż panowie wyszli z łona szlachty, z jej krzywdą. Nie zapominajmy, iż z rozwojem idei szlacheckich niemal cała arystokracya piastowskiej i jagiellońskiej epoki straciła swe znaczenie; najzabawniejsze to twierdzenie zwłaszcza na Litwie,

gdzie okazałoby się, iż i liczni potomkowie Ruryka i Olgierda wydostali się na widownię historyczną z łona „zdradzonych“ braci, karmazynów. Niektóre zapewne rody powstały w chwilach upadku Rzeczypospolitej ze szlachty szaraczkowej niemal. Nie byłaby Polska w owej epoce demokratyczną gdyby było inaczej, rodziny Sobieskich i Poniatowskich od dwóch pokoleń zaledwie należały do arystokracyi, tak samo powstały i inne rodziny, nie bez rzeczywistych zasług atoli i niekoniecznie z krzywdą braci szlachty. Większą krzywdę dla kraju wyrządzili ci z magnatów rzeczywistych, reprezentantów starej Litwy lub Polski, którzy chwycili się zasad nowych, szlachecko-republikańskich. Oni to razem z przyjętymi do ich grona nowymi ludźmi utworzyli ze wszech miar złą i szkodliwą oligarchię, nie dla tego iż była arystokratyczno - parlamentarną jak w Anglii, feudalną jak w Niemczech, dworsko-monarchiczną jak we Francyi i Rossyi, lecz dla tego, iż była nielegalną, opartą nie na prawie, a na poniżającem schlebianiu zasadzie złej i fałszywej równości szlacheckiej.

Stare rody dawnej arystokratycznej Polski wraz z nią znikają, tacy Mielęccy, Tarłowie, Tęczyńscy, Buczaccy, Jazłowieccy, Górkowie, Szydłowieccy, Szafrańce, Firlejowie, Kostkowie, Herburtowie, Kościeleccy, Boratyńscy, Rozdrażewscy, Ostrorogowie, etc. Możnowładzcy późniejszej formacyi stoją niżej od nich, gdyż i cały naród upadł a zamiast zasady arystokratycznej lub monarchicznej wystąpiła szlachecko-anarchiczna. Typy owej epoki noszą jej piętno: porównajmy potężną postać protektora oświaty, zwycięzcy z pod Czaśników Mikołaja Radziwiłła Czarnego z bohaterem konfederacyi barskiej i szlacheckich powieści, najpopularniejszym z magnatów, Księciem „Panie Kochanku“, ukochanego przez szlachtę pogromcę chłopów ks. Jeremiego, z obojętnym dla szlacheckiego narodu dzielnym kniaziem Dymitrem Wiszniowieckim, kończącym męczeńską śmiercią na haku tureckim sławny swój a nieznany szlachcie żywot; ostatniego ordynata Ostrogskiego w porównaniu z kniaziami Konstantym Ostrogskim i Romanem Sanguszką. Typy te, z kategoryi popularnych u szlachty; — charakteryzują one przerodzenie możnowładztwa, występującego nie samodzielnie, a na czele licznych ciemnych zastępów; reprezentując szlachtę, bezmyślny „Panie Kochanku“ staje się omal nie ideałem narodowym. Nie wielkiemi zgłoskami, jak niegdyś hetman Jan Karol Chodkiewicz przez pychę, podpisywać się mieli prawo oligarchowie ci, często jak P. Kochanku ledwie pisać umieli. Byli oni ciemni i źli, ale gorszemi były instytucye, które ich wytworzyły.

*

* *

„Rząd Polski za Piastów składał się z księcia lub króla i nielicznej Rady starszych (*principum terrae*). Za Mieczysława I i Bolesława Chrobrego radę taką według Gallusa składali *Comites*. Bolesław miał ich przy sobie dwunastu, i z nimi „poufale tajemnice i rady państwa traktował". Przed śmiercią swą Bolesław, wszystkich swoich przyjaciół i wojowników zgromadziwszy, w tajemnicy z nimi stanowił o przyszłych rządach Królestwa (Gallus przytaczany w Ks. Rzeczy Polsk. 386). Jest to epoka „mądrego rozdawnictwa rozległych pustek dynastom chrobackim i śląskim" (Bobrzyński I 144). Prof. Piekosiński uznaje to pierwotne możnowładztwo za potomków książąt zapiastowskich i uważa, iż odgraniczenie jego od niższego ziemiaństwa (włodyków) istniało już w IX wieku. Za Bolesława Krzywoustego występują rody Łabędziów, z których był Piotr Włast krewny Krzywoustego przez Maryę ks. ruską, pan olbrzymich bogactw, rody Habdanków, Odrowążów, Gryfów, idących od Jaxy ks. Lutyckiego (Bobrz. I. 152—153). Rada możnowładcza składająca się z rodowych naczelników prowincyj działa bardzo widocznie, sprawuje najwyższą władzę polityczną. „Oddawna już od XIII w. tron polski był elekcyjnym. Bezkrólewie nie było rzeczą straszną i niebezpieczną, polityka „albowiem" najwyższa spoczywała i tak w ręku możnowładztwa, bez względu czy na tronie zasiadł lub nie zasiadł chwilowo Monarcha. Panowie wybierali królów, lud zgromadzony na miejscu elekcyi nie miał w niej żadnego udziału i tylko okrzykami swoimi mógł witać elekta" (Bobrzyński II. 113).

Początkowo magnaci tylko, piszący się już 1185 r. „z Bożej łaski wojewodami" nosili znaki runiczne na swoich chorągwiach, w XIV w. dopiero cała szlachta przyjęła herby z Niemiec i Czech. Jest to chwila, w której zaczyna się organizować, aby w XV w. dosięgnąć zupełnego tryumfu. Tymczasem jednak możnowładztwo z chwilą wygaśnięcia Piastów rządzi w Polsce samowładnie. Przeprowadza ono unię z Litwą i Rusią. Tęczyńscy, Tarnowscy, Melsztyńscy, Kurozwęccy, Kmitowie, Odrowąże reprezentują świetnie Polskę i zasadę arystokratyczną. „Tym, pisze Bobrzyński, którzy wyrwali kraj z odmętu wojny domowej, którzy przyłączyli bez dobycia oręża Ruś i Litwę, a dobywszy oręża wymierzyli stanowczy cios w potęgę Zakonu, nic nie zdaje się niepodobnem. Ludzie prawdziwie męskiego serca, prawdziwie politycznego rozumu i doświadczenia, a przytem niedościgłej ambicyi i namiętnej konsekwencyi postępowania, nie dziw, że *rządami swojemi zapisali najświetniejsze karty naszych ojczystych dziejów*" (T. I. 285).

Nie gniewało się na te rządy wolne i bogate mieszczaństwo, ani wolna i zamożna ludność wiejska, szlachcic jeden protestował. W samej rzeczy położenie jego wśród ciągłych wojen, jako obowiązanego do służby wojennej, wobec bogatego chłopa lub sołtysa nie było do zazdroszczenia. Szlachta znalazła silną podporę w królach domu Jagiellońskiego, którym przewaga możnowładztwa ciążyła, znalazła przedewszystkiem najskuteczniejszy choć nie patryotyczny sposób dopięcia swych celów groźbą rozejścia się wobec nieprzyjaciela; 1422 na polach Czerwieńskich zebrana na wojnę z Zakonem, 1454 na polach Nieszawskich, 1536 przeciw Wołochom na wojnie Kokoszej wywalczyła sobie bezprzykładne znaczenie. Tą drogą szedł potężny ruch socyalny, który miał Polskę zgubić. Przywilej wydany szlachcie 1454 r. w Cerekwicy jest wywołany obudzeniem się drobnej szlachty przeciw przewadze bogatych małopolskich panów (J. Szujski); gotując się na wojnę pruską, tryumfująca szlachta wymaga na królu 1520 w Bydgoszczy i w 1521 w Toruniu ustawy zaprowadzające poddaństwo (tenże). W trosce o władzę monarchiczną chwiejna i niedołężna polityka Jagiellonów opiera się na szlachcie, dopuszcza ją do reprezentacyi narodowej i z jej pomocą Kazimierz, Olbracht i Aleksander przeobrażają Polskę. Sejm r. 1493 jest pierwszym na którym występuje po raz pierwszy izba poselska, jako odrębne ciało, reprezentujące rzeszę ziemiańską w postaci stanu trzeciego (Ks. Rzecz. Polsk. 389). Sejmami 1504 i 1505 obalony został rząd arystokratyczny.

Zażartą walkę z mieszczaństwem (uchylenie cła, zabronienie kupowania ziemi), możnowładztwem (exekucya dóbr koronnych, zaprowadzenie sejmików i walnego sejmu, pojawienie się izby poselskiej, sądów ziemskich) pognębienie ludu (ustawa o poddaństwie, zabronienie ubiegania się o godności kościelne) przeprowadziła szlachta zwycięsko z niezwykłą energią i konsekwencyą. Zygmunt I wzdragał się przed sojuszem z nią, nie mógł atoli jej powstrzymać w zgubnym socyalnym zapędzie, w pognębieniu innych warstw społecznych (Bobrzyński t. II. 251). Zuchwalstwo posłów dochodzi do tego, iż publicznie lżą króla (Podlodowski), rzucają się z kordem na senatorów (na Kaszt. Poznańskiego Łukasza hr. Górkę); ten objaw nienawiści do króla, do senatu jest ogólną cechą szlachty już za panowania Zygmunta I (J. Szujski). Była to chwila mało znanego i dotąd niewyjaśnionego zamachu na króla (w maju 1523). Król uniwersałem surowo karcił szlachtę za jej nieposłuszeństwo i obojętność dla publicznego dobra, a jednocześnie prywatnie upominał senatorów aby przez kłótnie rozrywani, nie dozwolili powszechności szlacheckiej do zgubnego dochodzić znaczenia (Szujski t. II. par. 99). Podobneż przestrogi dawał jednocześnie

M. Bielski w swej kronice: „Zaczym się trzeba obawiać aby ta zbytnia wolność nasza nas wszystkich razem nie zgubiła. A tym obyczajem niegdy Rzeczpospolita Rzymska znamienita upadła przez zbytnie rządy tych trybunów i swawoleństwo pospólstwa".

U szczytu swej potęgi, szlachta bawi się wskrzeszaniem Rzymskiej respubliki najfałszywiej pojętej, również fałszywie jak ją pojmowała pierwsza rewolucya francuzka; bawi się w trybunów i demagogję, przeprowadza myśl Unii 1569 r. na tejże samej socyalnej podstawie, na której sama istnieje; fatalna zasada elekcyi tronu, zasada jednomyślności sejmu przyjęta 1589 r., zasada wolności szlacheckiej, anarchii („Polska nierządem stoi"), Konfederacyi, równości szlacheckiej dokonywają dzieła.

Wykształcona, filozofująca humanistycznie w XVI w. szlachta dopiąwszy swego celu, daje nam obraz największego braku zmysłu politycznego i państwowego, smutny dowód do czego może doprowadzić tryumf demokratycznej zasady. „Wsławiona złota wolność była największą niewolą, pisze Bobrzyński, nienawidziła każdego kto, czy charakterem swoim, czy rozumem, czy nową myślą ponad tłum wznieść się ośmielił i strącała go z jego wyżyn, a przechodząc strychulcem całe społeczeństwo, wyciskała na niem rozpaczliwe piętno duchowej równości, t. j. mierności, a rozwijała materyalizm aż do cynizmu".

Złota wolność była przedewszystkiem „wolnością szlachty" „pociągała za sobą poniżenie miast i niewolę ludu." Jak wiemy z upadkiem arystokratycznej zasady upadli i jej reprezentanci, ci co pozostali, lub weszli w skład nowej Rzeczypospolitej, potomkowie książąt ruskich i litewskich, starych rodów możnowładczych arystokratyczniejszej od Polski Rusi litewskiej, musieli głowę uchylić przed nową zasadą i albo ginęli, albo wyrastali na niebezpiecznych dla państwa oligarchów.

„Gdyby tacy magnaci mieli zapewniony udział w rządzie, gdyby oni sami mogli przynajmniej chwycić się za ręce i legalny rząd stworzyć, mielibyśmy może bardzo dobrą, w każdym razie energiczną arystokratyczną formę rządu..... Ale od czegoż był sejm i sejmiki, od czego jednomyślność, jak nie od tego aby każdego magnata w najlepszych jego dążnościach skrępować, aby im się nie dać połączyć, ażeby nawzajem na siebie popchnąć. Jeżeli za to magnat taki rzucił się na pole anarchii, jeżeli się obrońcą wolności ogłosił, jeżeli dla podrażnionej ambicyi, dla zysku lub zemsty rozerwać chciał sejm, lub upokorzyć króla, stawała za nim szlachta, zupełną swobodę działania zostawiały mu prawa (Bobrz. II. 186).

Idea szlachecka wiecznie rewolucyjna zgubiła Polskę i zawsze szkodzić jej będzie, uważana będąc jako źródło wszelkiego warcholstwa politycznego, jako pierwiastek na którym nic oprzeć się nie zdoła.

*

* *

Czy lud w Polsce a później na Ukrainie był uciskany specyalnie przez „polskich panów", przez magnatów, jak pisze p. J. i Szewczenko w wierszu do B. Zaleskiego? Przeczy temu historya.

Wiemy, iż z powstaniem szlachty, wzmagał się ucisk ludu i zaprowadzonem zostało poddaństwo (1520). „Ucisk ten głównie panował w Wielkopolsce, gdzie majętności były niewielkie, a rojna i drobna bracia szlachetna pragnęła wyciągnąć jak najwięcej korzyści z danin i powinności; w Małopolsce za to, gdzie przeważało bogate, na wielkich obszarach siedzące, możnowładztwo, ucisk tem samem był znacznie mniejszy" (Przyborowski, Włościanie 37). Był to powód dla którego, jak później do dóbr Ukrainnych królewiąt, do dóbr magnackich tłumem uciekali chłopi; — ruch ten zagrażający ekonomicznemu bytowi i tak obarczonej ciężarami wojskowymi drobnej szlachty wywoływał prawne środki zapobiegawcze, jak w Rosyi za Godunowa, tak znacznie wcześniej w Polsce; nawet Kazimierz W. król chłopków, acz przypominający jakoby „krzesiwko i hubkę" skarżącym się kmieciom (nie koniecznie przeciw wielkim panom i utytułowanym), ograniczył ich prawa ustawą wiślicką. W 1546 roku stracili nawet prawo odwoływania się do Króla, prawo skargi. Ruch hussycki, a później wojny chłopskie w Niemczech więcej od rady „dobrego króla chłopków" wpłynęły na wykonywanie t. zw. Pogróżki to jest podpalenia wsi nienawistnego dziedzica, atoli Pogróżka istniała głównie na Mazowszu i w W. Polsce gdzie jakeśmy to już zauważyli, lud był najbardziej uciśniony przez rozdrobnioną szlachtę, a zatem najwięcej wzburzony. Im dalej posuwamy się w głąb kraju ku Małopolsce, gdzie były przeważnie wielkie własności magnackie, a zatem ucisk mniejszy, lud jest spokojny". (Przybor. 86). Najzupełniej to samo widzimy na Rusi: z rozwinięciem niezwykłej działalności kolonizacyjnej, Ruś była eldoradem nietylko dla, szlachcica, ale przedewszystkiem dla zbiegłego chłopa. Trzeba czytać znakomite dzieło Jabłonowskiego (Źródła dziej. t. XXII Ukraina), aby mieć pojęcie do czego dochodziło bogactwo ludu ukraińskiego przed „Wielką ruiną". Na licznych stepach kolonizowanych przez możnowładców chłopi trzymali setki koni, zbierali po 120 kóp oziminy

liczyli siano na setki fur, stroili się w jedwabie. Wolność ich przeszła była w swawolę. Ciekawe są opisy ruchomości i dobytku włościan dóbr berdyczowskich Tyszkiewiczów, cudnowskich Ostrogskich i innych. Powinności ich równały się żadnym, gdy jednak lata słobody wyszły, a zażądano od kolonistów wypełniania robót i oddawania danin na równie z innymi, powstali pierwsi do buntu. Ucisk rzeczywisty na Rusi istniał w Bełzkiem jeszcze w XVI w., ucisk nieznany nawet w Wielkopolsce. W. Przyborowski tłómaczy ten objaw „schłopieniem“ szlachty osiadłej na tych dzikich kresach. „Zachowała nam też historya imiona takich srogich ekonomów, między innymi wsławił się okrucieństwem niejaki Moszkowski“. O prześladowaniu ludu przed wojnami kozackiemi najfałszywsze wiadomości dali nam tendencyjni pisarze małorossyjscy, jak Koniski np., na których z niedowierzaniem opierali się nawet najwięksi nieprzyjaciele elementu polskiego, a których P. Kulisz (Исторія возсоединенія Руси) całkiem odrzuca. Dowiódł on, iż sami Kozacy najwięcej broili, niszcząc i pustosząc bogatą krainę.

Stosunki włościańskie pogorszyły się u nas w XVII wieku. Konstytucya sejmu 1607 r. nakazała, aby nawet wójtostwa dawane były tylko szlachcicom zasłużonym w wojsku; dało to powód do takich nadużyć iż około 1650 r. w starostwach Samborskiem i Przemyskiem odebrano im juryzdykcyę.

W Rossyi 1760 r. pan miał prawo sprzedawać chłopów, wysyłać na Syberyę, oddawać w rekruty. W Małorossyi wywożono ich na targi razem z bydłem (Mieżow: Крестьянскій вопросъ, Bielajew Крестьяне на Руси).

Polepszenie losu włościan najwcześniej znalazło uznanie w Polsce i właśnie w tych sferach „utytułowanych“, pomiędzy „sfrancuziałymi“ magnatami, których teraz o prześladowanie ludu obwiniają. Ważne miejsce zajmuje tu Anna z ks. Sapiehów ks. Jabłonowska, wojewodzina bracławska, udarowawszy swych chłopów siemiatyckich ustawą z 1735 r.; kanclerz Andrzej Zamoyski zreformował los swych włościan w Bieżuniu 1760 r.. Przebendowski w Pucku 1767 r. referendarz W. X. Lit. Paweł Brzostowski w Mereczu 1769, oczynszował swych włościan Kanclerz W. Lit. Joachim Litawor Chreptowicz w Szczorsach i Wiszniewie, gorąco zajmowali się losem ludu w swych dobrach Adam ks. Czartoryski, Prymas Poniatowski, Ks. Stanisław Poniatowski, podskarbi Tyzenhaus, Jerzy i Wincenty Tyszkiewicze i tylu innych.

Król był największym stronnikiem uwolnienia ludu, a kto chciał mu być przyjemnym to czynił, jak np. Szczęsny Potocki w Tulczynie

uwolnił swych chłopów z okazyi przybycia królewskiego na przestrzeni „póki oko J. Kr. Mości sięgnęło” z ganku tulczyńskiego t. j. kilku mil.

Największe znaczenie miał wówczas podany przez Kanclerza Andrzeja Zamoyskiego projekt dający możność chłopom wydobycia się z poddaństwa — wydrukowany w 1768 r. Popierany przez senat upadł on z powodu oporu szlachty: „napotkał on silne oburzenie w masach średniej szlachty — to zasadzka na czystość krwi szlacheckiej — wołały bezmyślne tłumy, to zdrada wolności (Przyborowski Włościanie 202). Gdy wniesiono projekt do izby poselskiej powstał krzyk tak okropny, „jak gdyby jaki potwór zjawił się na sali sejmowej”. Kamieński, poseł wołyński zabrał głos pierwszy i domagał się „aby prawa te przez Imci pana Zamoyskiego uformowane, tak zostały umorzone, iżby się i wspomnienie o nich o uszy nasze, ani potomków naszych nie obiło”. Poparli go Sokolnicki, Suchodolski, Kuczyński, Skrzetuski i inni. Napróżno Król zapytywał, jak można potępiać projekt nie odczytawszy go nawet, podniosła się niezmierna wrzawa, Sokolnicki uniosłszy się, rzucił w gniewie projektem o ziemię, i inni żądali by go spalono na stosie (tenże 206). Projekt upadł. Wskrzeszony został konstytucyą sejmu czteroletniego, której twórcy nie potrzebowali ukrywać się „w podziemiach od oczu udekorowanych i utytułowanych nędzników”, gdyż sami byli utytułowanymi i udekorowanymi bardzo wielkimi panami (Ign. Potocki, Kaz. Nestor Sapieha, Małachowski etc.).

*

* *

Możemy śmiało powiedzieć iż żadna arystokracya nie miała tak świetnego stanowiska w Europie, jak nasza. Krew polska, nie tylko Jagiellońska, płynie niemal we wszystkich domach monarchicznych. Związki te nie były morganatyczne, żadna córka angielskiego lorda, węgierskiego magnata lub granda hiszpańskiego nie zasiadła na obcym tronie; w innych arystokracjach rzadkie są przykłady takie, jak Maryi Leszczyńskiej, Teresy Kunegundy Sobieskiej elektorowej Bawarskiej, Klementyny Sobieskiej, Anny Potockiej marg. Brandenburskiej, Ludwiki Karoliny Radziwiłłówny, marg. brandenburskiej, Franciszki Krasińskiej Ks. Karolowej Saskiej i Kurlandzkiej, Maryi z ks. Czartoryskich ks. Wirtembergskiej etc. Tęczyński zaręczony był z królewną szwedzką, niedawno jeszcze ks. Antoni Henryk Radziwiłł, ks. Władysław Czartoryski, Andrzej Zamoyski połączyli się z domami

królewskimi, na tej samej zasadzie, na której Jan Zamoyski brał Gryzeldę Batorównę.

O zbrodniach i grzechach naszego możnowładztwa możemy dowiedzieć się z Kalendarza Kat. Tow. Dobr. w Petersburgu. Co prawda, i o zasługach jego wspomniał p. Jelski, ale w Kraju, w odpowiedzi na znakomity artykuł Ks. Rawicza; szkoda tylko, iż nie uczynił tego odrazu w pierwszym swym artykule, gdyż Kraju nie czytają czytelnicy Kalendarza, albo go czytają niewiele.

Zdawałoby się iż te zasługi nie były tak wyjątkowemi; czyżby nazwy takie jak Chocim, Kircholm, Obertyn, Tyszowce, Cecora, nie istniały dla historyków, kiedy zna je każde małe u nas dziecko? Arystokracya nasza wydała nietylko takich świetnych wojowników jak Chodkiewicz, Żółkiewski, Jan Tarnowski, Konstanty Iwan Ks. Ostrogski, Mikołaj Jazłowiecki, Przesław Lanckoroński, Ostafian Daszkiewicz, Ks. Roman Sanguszko, Ks. Samuel Korecki, Ks. Dymitr Wiszniowiecki, Rewera Potocki, twórca, wraz ze Stanisławem Lanckorońskim i Krysztofem Tyszkiewiczem woj. czernihowskim, wiekopomnej konfederacyi Tyszowieckiej, Stanisław Lubomirski, St. Koniecpolski, Jan i Marek Sobiescy, Stan. Jabłonowski, hetman Paweł Sapieha, Ks. Józef Poniatowski, a znamy rodziny, które więcej niż dwudziestu swych członków, poległych na polach bitew, dały w ofierze ojczyźnie. Możnowładztwo nasze wydało jeszcze takich mężów stanu, jak cały szereg znakomitych oligarchów wieku XIV-go, a w następstwie Mikołaj Radziwiłł Czarny, Ostafian Wołłowicz, Jerzy Ossoliński, Lew Sapieha, Ignacy Potocki, Małachowski, Chreptowicz, Kanclerz Andrzej Zamoyski, referendarz Brzostowski, Nestor Kazimierz Sapieha, Czartoryscy, Tadeusz Mostowski, Margrabia A. Wielopolski, Alfred Potocki, T. Ostrowski, hrabiowie Gołuchowscy i wielu innych, takich uczonych pisarzy i mecenasów jak Jan Potocki, Stanisław Potocki, minister oświaty Ignacy Krasicki, Zygmunt Krasiński, Henryk Rzewuski, Alexander Chodkiewicz, Tytus Działyński, Włodzimierz, Maurycy i Wojciech Dzieduszyccy, Fredrowie, ojciec i syn, Stanisław Tarnowski, Józef Maksymilian Ossoliński, Maciej i Seweryn Mielżyńscy, Edward Raczyńscy, Stanisław i Fryderyk Skarbkowie, Eustachy i Konstanty Tyszkiewiczowie, Kazimierz Stadnicki, Załuscy, Leszek i Jerzy Dunin Borkowscy; takich dobroczyńców ludzkości jak wymienieni już obrońcy włościan Anna z Sapiehów Jabłonowska, Poniatowscy, Zamoyski, Chreptowicz, Brzostowski i inni, założyciel zakładu oftalmicznego w Warszawie Ks. Edward Lubomirski, niedawno zmarły filantrop Ks. Aleksander Lubomirski i tylu innych; znakomitych artystów, jak

Ogiński Michał podskarbi, twórca słynnych polonezów, Ks. Antoni Radziwiłł, muzyk, ks. Kazimierz Lubomirski, Władysław Tarnowski, Andrzej hr. Mniszech (pierwszorzędny malarz) etc.

*

* *

Nie mam zamiaru, podnosząc zasługi naszej arystokracyi, uszczuplania znaczenia i zasług innych stanów, dziś tak szlachta, jak resztki arystokratycznych żywiołów naszego kraju są zespolone w jednej grupie konserwatywno - ziemiańskiej. W społeczeństwie naszem w obecnych czasach, grupa ta, to garstka wobec potęgi rozkładowych żywiołów; pierwszym warunkiem jej istnienia jest solidarność i zgoda. Ziarno nienawiści rzucone przez p. Jelskiego wywołało protest Ks. A. Rawicza, wywołuje niniejszy głos, podniesiony *w obronie* przeszłości, historyi i prawdy; dla tego aby mnie zrozumieć, trzeba tylko przeczytać artykuł ten z Petersburgskiego Kalendarza. Ani arystokracyi, ani szlachty nie możemy potępiać, a tym mniej nienawidzieć. Możemy potępić ideę, a nie klasę narodu i tutaj występujemy przeciw idei specyalnie naszej demokracyi szlacheckiej, czy ją będzie reprezentował nieznany nam krzykacz sejmowy, czy agitator z XVIII, lub trybun z XVI w. czy też bezwarunkowo szkodliwy w swej działalności wielki Jan Zamoyski, popularny książę „Panie Kochanku", lub p. Jelski.

*

* *

Zkąd poszły magnackie fortuny? Gołosłowne zapewnienie iż są „maleparta" nie wystarcza, trzeba dowieść zarzutu. Kiedy inny reprezentant szlachecczyzny, Stefan Czarniecki, wymawiał Potockim i Lubomirskim iż nie powstał jak oni:

Ani z roli, ani z soli,
Ale z tego, co mnie boli

nic ubliżającego im nie zarzucił; ani w kolonizacyi pustych obszarów na Rusi, ani w korzystaniu z Żup solnych, dzierżawionych od królów nie ma nic zdrożnego, przeciwnie jest zasługa. Stefan Batory listem z dnia 27 maja 1585 r. wyraźnie dziękował Sebastyanowi Lubomirskiemu za podwyższenie dochodów Królewskich z soli, o 240,000 złp. przez

4 lata. Zresztą i w tym wierszyku niechęć szlachecka nie miały racyi. Stanisław Lubomirski zwycięzca z pod Chocima, któremu papież przysłał miecz poświęcony za obronę chrześciaństwa i Rewera Potocki, jeden z twórców wiekopomnej konfederacyi Tyszowieckiej, zwycięzca z pod Cudnowa, byli również dobrymi rycerzami, jak Czarniecki. Co do fortuny, ta przeszła w znacznej części do Lubomirskich *w spadku* po Ostrogskich, do Potockich *w spadku* po Buczackich, Kalinowskich (Humań), Koniecpolskich, Lubomirskich (Łańcut, Wilanów, Krzeszowice, Brzezany), Tyszkiewiczach (Berezyna, Zator, Jabłonna), Sanguszkach (Antoniny) etc.

Nie przeczę, iż Kolbuszowska tranzakcya była nadużyciem, w tym względzie iż ordynacya Ostrogska zamiast dostać się zakonowi Maltańskiemu podług życzenia założyciela, przeszła za wolą i zgodą ostatniego ordynata do rodów najbliżej z Ostrogskimi spokrewnionych; ale iluż to szlachty nie mającej najmniejszego pokrewieństwa z Ostrogskimi przytem się pożywiło? Co dostał Młodziejowski? a co inni?

Kolosalne dobra Czartoryskich dające przeszło 6 milionów dochodu, pochodziły przedewszystkiem *ze spadku* po ostatniej z Sieniawskich, Zofii.

Wszystkie dynastyczne dzielnice Radziwiłłów przeszły do nich *tą samą drogą* testamentów, zapisów i spadków. Birże po Grzegorzu Fiedkonisie, Nieśwież i Ołyka po Kiszkach (1522 r.), hrabstwo Szydłowieckie po Szydłowieckich (1557), Słuck i Kopyl po ks. Słuckich z ostatnią z tego domu Zofią (zm. 1617). Wiele wcześniej jeszcze byli oni z Gasztołdami, po których także dziedziczyli, najznakomitszymi panami na Litwie, a Mikołaj I-szy woj. Wileński bogato wyposażył córkę swą Annę, żonę Ks. Konrada Mazowieckiego. Spuścizna po wygasłych rodach litewskich, przemożnych już w pierwszych czasach Litwy, Moniwidów, Zaberezińskich, Hlebowiczów, Algimuntowiczów-Holszańskich, Dorohostajskich, Ostyków etc. wzbogacała pozostałych ich prawnych sukcesorów. I tak: po Kieżgajłach dziedziczyli Zawiszowie, po Holszańskich, Pacowie i inni, po Hornostajach Leszczyńscy i Drohojowscy, po Hlebowiczach (księstwo Zasławskie) i Dorohostajskich Sapiehowie. Ogromne już w XV w. latyfundya litewskie Sapiehów powiększyły się dziedzictwem ks. Druckich Babyczów (Czereja), ks. Holszańskich: Wiszniowieckich, Kmitów i Chodkiewiczów (hrabstwa Bychowskie i Lachowickie, Lejpuny).

Pacowie *dziedziczyli* 1512 r. Połonne, Lemnicę, Berezowicze etc., po Teodorze Rohatyńskiej, ks. Kobryńskiej, na zasadzie testamentu potwierdzonego przez Zygmunta I-go, a nawet przez Papieża; później

przechodzi do nich *w spadku* dziedzictwo ks. Hołowczyńskich, Holszańskich, Wiszniowieckich etc.

Większość ogromna rusko-litewskich latyfundyi przeszła *dziedzictwem* w domy możnowładcze stanowiąc lwią część, główne fundum ich posiadłości. Co ważniejsze, dziedziczą one niemal całkowitą kolosalną spuściznę wygasłych ks. litewskich i ruskich, szczepu Ruryka. Mieć pretensye do nich o pochodzenie nieuczciwe ich majątku byłoby tem, co o to samo oskarżać Olgierda i Ruryka, od których pochodzili, lub dowodzić iż ci ostatni niesłusznie wynieśli się nad „równość szlachecką". Po wygasłych rodach ks. Mścisławskich, potomkach Jawnuty Gedyminowicza dziedziczą ks. Zbarascy, głównie zaś Hlebowicze a po nich Sapiehowie, ostatnia z ks. Słuckich Zofia Radziwiłłowa, była wnuczką Olelka Włodzimierzowicza Olgerdowicza, ks. Kijowskiego i Anastazyi córki Wasila W. X. Moskiewskiego. Po książętach Koreckich, potomkach Narymunta, dziedziczą Czartoryscy i Leszczyńscy, po ks. Alexandrze Czartoryskim, który podczas „kniażenia" w Nowogrodzie i w Pskowie, ożenił się z Maryą Szemakówną, córką W. X. Moskiewskiego, a potem otrzymał od Kazimierza Jagiellończyka Łohoysk na Litwie, dziedziczyła jego wnuczka Alexandra Czartoryska, Wasylowa Tyszkiewiczowa. Książęta Sanguszkowie, niezawodnie potomkowie Olgerda, „trzymali" Ratno, Kowel, Luboml i Koszyr na tej samej zasadzie, na której dziad ich „trzymał" całą Litwę.

Większemi może były jeszcze dzielnice książąt krwi panującej na Rusi. Idący od ks. Pińskich książęta Ostrogscy i Zasławscy posiadali niemal połowę Wołynia, ks. Czetwertyńscy część Bracławszczyzny, która w następstwie przeszła w posagu do Zbarażskich. Po wygasłych ks. ks. Wiśniowieckich dziedziczyli Radziwiłłowie, Ogińscy, Zamoyscy, Mniszchowie. Ogromne państwa na Połtawie i Łubnach (pochodzące z nadań już królewskich), stracone zostało dla Jeremiego Wiśniowieckiego; wdzięczniejsza niż obecnie szlachta umiała ocenić zasługi „Jaremy" położone w jej sprawie.

Nawet po potomkach w. ks. moskiewskich brali spadki panowie litewscy, i tak po Owdofii Andrzejowej ks. Możajskiej dziedziczyli Olbracht Gasztold, kanclerz W. L. i żona jego Zofia ks. Wierejska, ks. Sołomerecki i Wasyl Tyszkiewicz w. podlaski (Kołodzież, Pleszczewice i Budynicze, Kamieniec etc.) Wasilissa Jarosławiczówna żona Aleksandra Iwanowicza Chodkiewicza była wnuką Jana Kality, siostrzenicą Wasila Ciemnego; brat jej ks. Fedor wziąwszy Pińsk z żoną Oleną ks. Słucką zapisał go królowi Zygmuntowi Staremu wraz z Kleckiem, Rohaczewem i Widą.

Nietylko panowie dziedziczyli po Jagiellonach, zapisywali oni bardzo często dobra swe królom a poźniej Rzeczypospolitej, pomimo iż królowie z prawa dziedziczyli po zupełnie wygasłych rodach. Wojewoda Połocki St. Dowoyna testamentem 1566 roku, sporządzonym w więzieniu u Iwana Groźnego trzecią część dóbr zapisuje Zygmuntowi Augustowi; Katarzyna Hlebowiczówna Wojciechowiczowa starościna Żmudzka zapisała 1550 r. pewne sumy temuż królowi. Kanclerz Olbracht Gasztold darował 1000 kop. groszy lit. królowi Zygmuntowi I. Mikołaj Radziwiłł zapisał Knyszyn, Goniądz i Medele w 1528 roku królewiczowi Zygmuntowi Augustowi. Po Barbarze Radziwiłłównie dziedziczyła nawet klejnoty Anna Jagiellonka, a po Michale Deniskowiczu Jan z książąt litewskich, biskup wileński, syn naturalny Zygmunta I (r. 1523), Ks. Matwiej Mikitynicz zapisał 1536 r. królowi sumę, w której trzymał Birsztany. Znakomity hetman Paweł Sapieha, którego p. Jelski obrzuca błotem, testamentem z d. 26 Grudnia 1655 r. zapisał 200,000 złp. „miłej matce mojej, Ojczyźnie, dla której fortun, zdrowia i krwi mojej nie żałowałem, z respektu synowskiego na teraźniejsze jej potrzeby, i niefortunnych Rzeczypospolitej czasow i prac wojennych...” Nadto zapisał przeszło 100,000 złp. klasztorom, oprócz majętności Krasne (Metr. koronna Conventionalia Ks. 264. 465. Sapiehowie t. II 88). Zastanówmy się ile nasze możnowładztwo darowało klasztorom i duchowieństwu, co tyle znaczyło wówczas co zapisy na cele oświaty i dobroczynności, ile z tych dziedzicznych dóbr przeszło do sług, klientów przez darowizny, zastawy, exdywizye.

Oprócz prostego prawa spadkowego i odziedziczenia udzielnych posiadłości domu Jagiellońskiego i książąt ruskich, źródłem wytworzenia się latyfundyi litewsko-ruskich były *nadania*, im wcześniejsze tem znaczniejsze, albowiem brak centralizacyi, oraz system obrony litewski (i jeszcze udzielno-ruski) były powodem rozdania oddzielnych włości na prawie feodalnem. Nieinaczej powstały i udzielne potomków św. Włodzimierza i Gedymina dzielnice, nieinaczej „trzymali” Olelko (Olgerdowicz) Kijów i Pińsk, ks. Fedko Daniłowicz Ostróg, ks. Juri Trubecki Trubczesk, a po nim Hrynko Wołłowicz, Ks. Michał Twerski Łososin, a po nim Wasyl Tyszkiewicz. Najdawniejsze nadania wiel. ks. litewskich odnoszą się do Władysława Jagiełły, Świdrygiełły i Kazimierza; z tej epoki pochodzi nadanie kniaziom Glińskim Glińska, Połtawy, Lebedyna, rzeki Suły od góry do ujścia i obszarów nad Worsklą. Opustoszone te olbrzymie dobra po Glińskich nadane zostały Wiśniowieckim 1590 r.

Z nadania Świdrygiełły z 1437 r. pochodzą posiadłości spokrewnionych z Glińskimi Tyszkiewiczów, wszystkie niemal, a mianowicie Czartolesy (Puliny), inne rozległe obszary nad Słuczą, koło Zwiahla i Owrucza, i włość Słobodysko-berdyczowska, która jedna przewyższała przestrzenią (30 m. kw.) niejedno księstwo niemieckie. Wszystkie te dobra jako „otczyzna i dedyzna" Wasila w. podlaskiego, założyciela linii hrabiów na Łohoysku i Berdyczewie, stanowiły w XVI wieku całość, do której żaden z jego potomków nie doszedł nigdy.

Oprócz spadków i nadań, możnowładcy posiadali skupowane dla zaokrąglenia swych włości majątki [1]). Typem takiego powstania własności była włość Pohrebysko-wołodarska ks. Zbarazkich. Także wiele skupowywali kniaziowie Ostrogscy i inni, i mamy dowody, iż płacili dobrze.

Zapewne musiały być nadużycia jak i wszędzie i zawsze zresztą. Nie tak łatwo przychodziły jednak one w stosunku ze szlachtą. Takie sprawy znane były powszechnie i na palcach liczone. Manja procesów była powszechną u nas oddawna i sądzę gorszą od „tytułomanji". Pod koniec XVII w. wszyscy wzajemnie wyrabiają na siebie kondemnaty, banicye, i skazują na infamję. Rzeczy te kończyły się zwykle pieniężnem zadośćuczynieniem, zdarzało się jednak, iż największy pan musiał odsiadywać wieżę jak Panie Kochanku np., albo w sprawie ze szlachtą czynszową wojewoda Niesiołowski. Jeżeli królowie zależeli w części od panów, panowie zależeli od szlachty. Nie dawała się ona tak krzywdzić jak się zdaje. W stosunkach swych ze szlachtą panowie zmuszeni byli samemi instytucyami do względności. Trzeba wniknąć w ducha Rzeczypospolitej, czytać stare akta i pamiętniki aby się przekonać jak szlachta była u nas wszechpotężną, zresztą uczy nas tego najelementarniejsza znajomość historyi. Czyżby stan, który odebrał władzy monarszej i możnowładztwu wszelkie ich prorogatywy, który obierał królów, a obierał tych których chciał, gdyż arystokratyczne kandydatury jak Habsburgów i Burbonów zawsze przepadały, który tak zaciekle wyrabiał sobie polityczne przywileje, czyżby ten stan dawał się krzywdzić majątkowo przez kogokolwiek? Wiemy jak poczynał sobie z chłopami, z żydami, nietylko z nimi, z panami, z duchowieństwem, z królem.

Na sejmie w Szrodzie szlachta omal nie zarąbała nienawistnego sobie kasztelana poznańskiego Łukasza Górkę, na sejmie warszaw-

---

[1]) J. Wolff, A. Boniecki, A. Jabłonowski, oraz wydawnictwa archiwalne ostatnich czasów, etc.

skim 1575 szlachcic z Bełzkiego, Łuski, do korda się porwał na biskupa Krasińskiego, w innej okazyi Lipskiego w. kaliskiego rozsiekano, tak jak Michała Sapiehę, koniuszego lit., szlachetnego i wielkich nadziei człowieka pod Olkiennikami, nie pozwoliwszy mu się nawet na śmierć przygotować, hetmana Gosiewskiego zamordowało własne wojsko, podkomorzego litewskiego Paca kazał rozstrzelać Zaranek. Nie powinniśmy zapominać iż Rzplta nie była państwem arystokratycznem, a szlachecko - demokratycznem. Zuchwalstwo szlachty nie znało granic w przypomnieniu tej prawdy królom i senatowi. Już Lupa Podlodowski wystosował był do Zygmunta Starego i senatu mowę (1547), w której odzywał się do dogorywającego króla: „A toż Wasz Kr. M. *nie jest imperator, jeno rex*... mamy *leges* po sobie, które są *anima et Cor Reipublicae.* Przypomnijmy sobie co za Batorego poseł Niemojewski mówił królowi: „Mości Królu" albo chowaj nam w całości nasze przywileje, a będziesz naszym miłościwym królem, żali nie, będziesz Stefanem Batorym, a ja Jakóbem Niemojewskim". Cóż nie przecierpieli Wazowie? Jeżeli szlachcic mógł uzyskać na króla Jana Kazimierza kondemnatę po jego abdykacyi, nie dawał on się bezkarnie obdzierać przez kogokolwiek.— Wykluczyć więc musimy zarzut, iż panowie powstali z rozbojów, gwałtów, i z krzywdy szlachty, a stwierdzić iż najgłówniejsze latyfundya powstały: 1) *ze spadku* i to przedewszystkiem po panujących, 2) *z nadań* tychże w. książąt a potem królów, 3) w mniejszej zaś części z kupna.

Nie przeczymy, iż *przy własnych* tych olbrzymich *dziedzictwach*, wzbogacali się panowie trzymanemi starostwami, ale trzeba także zwrócić uwagę na to, iż za nie jak i za urzęda płacili, nietylko za Brühla ale i za królowej Bony i Maryi Ludwiki, iż przy złych finansach państwa, systemie obronnym i decentralizacyi, ponosili oni ciężary wojenne, koszta utrzymania całych hufców i załóg, poselstw etc. Przykłady przejścia starostw na własność dziedziczną pojawiają się tylko w ostatnich czasach (np. Opinogóra, Retow, Białocerkiew), ale i to następowało zwykle wskutek zamiany lub nadania monarszego, a zatem na zasadzie prawnej.

Zdarzały się nadużycia, to pewno, zwykle w stosunkach rodzinnych. Sprawa Beaty i Halszki z Ostroga, ks. Konstantego Ostrogskiego z Zasławskimi są tego dowodem. Zdarzały się nieprawne zabory ziemi hospodarskiej, królewskiej, częste nadzwyczaj procesa i najazdy, ale zdarzały się powszechnie, wśród wszystkich ziemian tak starszych jak i młodszych, duchowieństwa łacińskiego i greckiego, Kozaków. 1595 metropolita Rahoza najeżdżał grunt Kozarowski

Hornostaja, archimandryta peczerski Nic Tur. — zamek radomyślski, biskup kijowski Kazimirski (1602) — dobra Bohuszow, OO. Dominikanie Kijowscy krzywdzą mieszczan Kijowskich etc., nie lepiej od ziemian zachowywali się i sami mieszczanie kijowscy (A. Jabłonowski. Źródła XXII 146). Był to duch epoki; jeżeli winimy biskupa Paca, dla czego nie winić St. Orzechowskiego? Czy winy biskupów z arystokracyi były winą ich urodzenia tylko? Mieliśmy Gamrata, który panem się nie urodził. Probostwa brali świeccy, ale nietylko tytułowani, dowodem tego był, uczciwy pomimo tego, Jan Kochanowski.

*

* *

A teraz spytajmy się, gdzie poszły dawne magnackie fortuny? Czy wszystkie roztrwonione zostały na zbytki i rozpustę?

Tendencyjne przemilczanie prawdy, zła wola i zła wiara albo dziwna nieznajomość traktowanego przez demokratów „szlacheckich“ przedmiotu są w tej kwestyi charakterystyczne.

Całkowita fortuna Sapiehów Siewierskich (przeszło 50 milionów złp. ówczesnej wartości), wszystkie litewskie dobra Sapiehów Kodeńskich, dobra białoruskie Ks. Panie Kochanku (80,000 dusz), Humańszczyzna Potockich, cała fortuna Paców, Swisłocz Tyszkiewiczów w której założyli gimnazyum słynne na Litwie, majątek ks. Adama Czartoryskiego ceniony na 150 milionów złp. etc. etc. przeszły na skarb. Ogólną wartość tych dóbr liczyć możemy na setki milionów.

W poprzednich wiekach, począwszy od najdawniejszych czasów, arystokracya wydała olbrzymie summy na kościoły i klasztory, na szkoły, akademie, utrzymanie młodzieży uczącej się w kraju i zagranicą, szpitale, instytucye naukowe i filantropijne. Zamiłowanie do oświaty i szczodrobliwość na cele naukowe były cechą polskiej arystokracyi i wyżej ją stawiają pod tym względem od innych, z wyłączeniem chyba angielskiej i włoskiej. Drukarnie: Nieświeska Radziwiłłów, Zabłudowska Chodkiewiczów, Ostrogska etc. znane były już w XVI w. Ci sami magnaci fundowali bursy i stypendya nie tylko w kraju, w Warszawie, w Wilnie, w Krakowie (które dotąd są wypłacane), ale w Padwie, Lipsku a nawet Oksfordzie (Mikołaj Radziwiłł). Jan Zamoyski zakładał akademię w Zamościu. Jędrzej Załuski pomimo, iż „obłąkawszy się na punkcie wielkości rodu zażywał języka francuskiego” założył znakomitą bibliotekę. o której po-

winni by wiedzieć autorowie Kalendarza Petersburskiego, gdyż stanowi podwalinę publicznej Petersburskiej biblioteki, Józef Maksymilian Ossoliński fundował Zakład i bibliotekę imienia Ossolińskich, wzbogacone przez Lubomirskich, Edward Raczyński bibliotekę w Poznaniu, Mielżyński Towarzystwo Poznańskie Przyjaciół Nauk i Muzeum, E. Tyszkiewicz w Wilnie, Dzieduszycki we Lwowie. Czy imiona tych mężów i takich jeszcze jak: Działyńscy, Czaccy, Skarbkowie, Przezdziecey, Chrebtowicze etc., mają być przedstawiane w popularnych broszurkach jako „spodlone?" Czy to dlatego, iż sprzeniewierzyły się ojczystej ustawie *o równości szlacheckiej*? — Nie mniej pożyteczną i piękną była wspaniałomyślność naszego możnowładztwa dla kościołów i duchowieństwa, której dowodów nie potrzebuję przytaczać, znaną jest ona powszechnie. Nie odłączając sprawy oświaty od sprawy religii, albowiem przy każdym dawniej kościele i klasztorze była szkółka lub ochronka, przodkowie nasi osypywali szczodrymi darami duchowieństwo, które zastępowało nam — z pożytkiem — dzisiejsze Towarzystwa Dobroczynności.

Sam system parlamentarny i instytucye demokratyczne Rzeczypospolitej prowadziły do ruiny możnowładztwo. Już odrazu, w sto lat po zaprowadzeniu nowych porządków po unii 1569 r., niemal cała arystokracya koronna upada lub zupełnie ginie. Czego mogła się spodziewać, dowodem jest, iż hrabiowie Rozdrażewscy wyprzedawszy się jeszcze za Zygmuntów, przenieśli się do Czech, a wielki Jan Tarnowski miał zamiar to samo uczynić. Opozycya litewskich magnatów przeciw unii miała te same przyczyny. Jak potężną była niwelacyjna akcya „ojczystej ustawy o równości szlacheckiej", nowa, gdyż zastąpiła dawny arystokratyczny ustrój Litwy i Polski, dowodem jest właśnie ten raptowny upadek wielkiej części prastarych rodów bolesławowskich komesów i rusko-litewskich kniaziów, zatracenie tytułów lub nieprzyjęcie zagranicznych, niby przez „ideę braterstwa", i podnoszenie takich kwestyi na sejmie w 1641 r. Potężnie demokratyczną była siła, która z potomków Ruryka po trzech pokoleniach assymilizacyi czyniła „urodzonych" Prońskich, Massalskich, Dolskich etc. poniżała potomków Olgerda, dawała wnukom Kurbskiego, krewnym Wasila Szujskiego „urodzonym" Szujskim, ginąć w zapomnieniu, zejść ledwie nie na szaraczkową szlachtę. „Kiedy wskutek wolności polskiej", pisze Bartoszewicz, po 1569 r. „pękły kajdany, w których panowie litewsko - ruscy trzymali dawną bojarszczyznę, a późniejszą szlachtę, lud który do wolności nie wzrastał, nie wyrabiał się... rozpasał się na swawolę. Ujrzeli się panowie litewscy w nowym wcale dla siebie żywiole, wśród zastępów szlachty zagonowej, wśród zasady re-

publikańskiej". Akta z r. 1559 i 1564 poprzedzające Unję, a może ważniejsze od niej w następstwach zadały najsilniejszy cios starej zasadzie feodalnej, tworząc szlachtę na obraz polskiej, podnosząc niższe ziemiaństwo do praw politycznych, nadając mu prawo reprezentacyi i uwalniając z pod juryzdykcyi pańskiej a jednocześnie poniżając i rujnując panów i kniaziów częścią niezwłocznie w przeciągu dwóch lub trzech pokoleń, częścią powolnem działaniem antyarystokratycznych instytucyi.

Straciwszy swoje stanowisko legalne, zmuszona jest pozostała część możnowładztwa opłacać się i schlebiać dla zachowania swego stanowiska, ztąd niemoralność polityczna i przedajność, co prawda nieodstępna od reprezentacyjnego systemu. System zastawów, dożywoci, bezpłatnych i długoletnich dzierżaw, obowiązkowego utrzymywania dworów, rękodajnych i wszelkiego gatunku dworzan i klijentów podkopywał powoli najpiękniejsze fortuny. Przedajność była ogólna, upozorowana lub nie. Podsk. Bogusław Leszczyński kiedy jednego tylko posła na sejmie miał przeciw sobie, zawołał z niecierpliwością, trzymając w ręku listę kupionych przez siebie posłów: „a który to tam taki com mu nic nie dał?" Cóż się nie działo na sejmikach? W „Skrupule bez skrupułu" Jan St. Jabłonowski pisze: „kłamstwo więcej płaciło u nas jak gdzieindziej... w jednej Polsce jest równość której w całej Europie niema, w Polsce bracią są wszyscy, ale bracią tylko w prawie, chcąc zaś jeden drugiemu dorównać oczywiście ubogi bogatszemu sprostać nie może i mści się zwykle za to na wszystkich panach językiem". Jeżeli panowie brali starostwa, drobniejsi ziemianie a nawet słudzy brali od nich folwarki, wsie i całe klucze. Długie procesa o zabójstwo ciągnęły się jakby tylko dla dojścia do pieniężnego zadośćuczynienia;—w tych naiwnych i niesmacznych żartach, w idealizowaniu księcia Panie Kochanku, w Gawędach Soplicowskich i Chodźki, które nas tak bawią dzisiaj, grunt był nie ciekawy. W opisach kraju z XVII wieku podróżnicy uważają iż sejmy innego celu nie miały jak największe wzajemne wyłudzenie opłat.

Ostateczny rezultat tego systemu pokazał, iż był zgubnym dla możnowładztwa, ale nie dla szlachty. Rozbiór Polski jest jednocześnie chwilą rozbioru większej części magnackich fortun tak zw. exdywizyi, na których liczne fortuny i fortunki urosły.

Czy zastanowiliśmy się, iż właśnie arystokracya polska i nasza większa własność jest celem najzjadliwszych pocisków nieprzyjaciół naszej narodowości? Działalność hakatystów, parlamentarna swada Wolffów i Schoenerów, dążą do tego samego celu, co wydawnictwo Petersb. Katolickiego Kalendarza. Jeżeli p. Old Gentleman powtarzając

poraz setny starą piosenkę o ucisku ludu traktowanego przez polskich panów jak „bidło“, nie używa wyrażeń p. Jelskiego, to dla tego, iż szanuje tych, dla których pisze, jeżeli nie przytacza faktów to nie z braku ochoty, a z nieznajomości tendencyjnych ulotnych pisemek rewolucyjnej treści wydawanych za starych dobrych czasow Rewolucyi Wielkiej Francuskiej przez agitatorów najskrajniejszej opinii jak Jezierski, Kołłątaj etc. na których p. Jelski opiera się, jako na głównych źródłach polskich dziejów.

Napaści te, logiczniejsze od napaści naszych demokratów i bezporównania skuteczniejsze, są jednym więcej dowodem, iż arystokracya stanowi siłę narodu.

Niech się panowie bracia uspokoją, a nawet prawdziwi demokraci szkoły ks. Stojałowskiego. Nie potrzebują wspominać „hubki i krzesiwka“ wraz z królem Kazimierzem, nie potrzebują życzyć aby „dawne rody wymarły sobie“ lub aby ich „obłęd wielkości ogniem uśmiercić, jak ową stogłową Hydrę Lernejską“: „... *dni ich są policzone*“, nie dawno powiedział zacny i najkompetentniejszy znawca naszych stosunków.

*

* *

Nienawiść do języka francuskiego idzie u nas w parze z napaściami na tytuły. Przyswojenie języków obcych nazywa p. Jelski świętokradztwem, a „tytułomania, podług niego, razem z podłością zespoliwszy się ściśle dosięgły szczytów zgrozy.....(!)“. Mniejsza już o tytuły, nie były one specyalnością naszego możnowładztwa, istniały one i dotychczas istnieją w całej Europie. Tytuł jest nagrodą za zasługi, uznaną przez wszystkie niemal społeczeństwa i państwa, o tyle wyższą od innej, iż jest czysto honorową. Jest to gałązka lauru lub korona dębowa starożytnych. Jeżeli mamy prawo pozostawiać potomkom zarobiony majątek, dlaczegobyśmy nie mieli prawa pozostawić im trochę sławy? Anglicy we wszystkiem praktyczni, oprócz niezliczonej ilości tytułów, a co ma większe znaczenie i przywilejów, rozdają potomkom swych wielkich mężów znaczne pensye. Ks. Marlboroug dotychczas bierze corocznie więcej niż 3000 funt. ster. za zwycięstwa swego pra-pra-dziadka; ale inne społeczeństwa, nie wyłączając polskiego uważały za dostateczne c z c z e tytuły, o które tak p. Jelskiemu chodzi.

Zapewne, im tytuł jest więcej oddalonym od rzeczywistej zasługi,

tem więcej zbliża się do sfery śmiesznostek i małostkowej próżności, ale takich, sądzę, wiele niema, nawet tytuły papieskie, które Katolickie Tow. Dobr. powinno szanować, nie dają się bez pewnych zasług dla kościoła i społeczeństwa. Są nazwiska, które tytułów nie potrzebują wcale, i wyższe są od nich np. Richelieu, Bonaparte, Poniatowski, Wellington, Kutuzow, etc., nie mamy jednak przykładu, aby ci wielcy ludzie tytułami pogardzali, dla równości, nawet nie szlacheckiej.

U nas specyalnie tytuł kniazia był tak starożytnym jak Ruś i Litwa, tytuł komesa, jak instytucye arystokratyczne pierwotnej Polski, poczucie to pozostało w późniejszem szlacheckiem społeczeństwie, nie mówiono: hrabia Rzewuski, lub hrabia Potocki, ale mówiono i pisano nawet w Voluminach Legum: Hrabia Tarnowski. Dotąd jednak w arystokracyi Polskiej używa się mało tytułów i nader subtelnie, nie mówi się hr. Zamoyski, raczej p. Zamoyski, lub np. pan Andrzej Zamoyski, jak Anglicy przy tytule „sir" dodają zawsze imię do nazwiska, inaczej powiedzieć byłoby nieodpowiedniem; są to kwestye obyczaju lub przyzwyczajenia, dobrego lub złego wychowania, ale nie „zgrozy, okropności, spodlenia", jak chce p. Jelski.

Nie potrzebowali Zamoyscy, Potoccy, lub Lubomirscy tytułu i nie nosili go w epoce największego rozkwitu idei szlacheckich; że tytuły ich były zagraniczne, to rzecz prosta i powszechna i na tej zasadzie tytuł króla polskiego był zagranicznym. Podług średniowiecznych pojęć i tych które niezwłocznie po nich nastąpiły tylko Cesarz i Papież mieli prawo rozdawać tytuły. Zresztą i herby, owe *klejnoty* szlacheckie były również zagraniczne. Szlachecki naród zabraniał noszenia tytułów książęcych i hrabiowskich panom, sam zaś wymyślił niezliczoną moc tytułów dla siebie, tak iż nie było w Rzeczypospolitej jednego szlachcica, choćby najchudszego pachołka, któryby nie był utytułowanym. Tytuły czcze jak żadne inne, kiedy wyrazy: książe (dux) i Comes wyraźnie oznaczały naczelników drużyn, wodzów i towarzyszów księcia, współwładzców, jakimi rzeczywiście panowie byli w początku, — cóż znaczyły te miliardy stolników, podstolich, podczaszych, strukczaszych, miecznikow (nie tylko koronnych, ale np. nowogrodzkich) piwniczych, etc. i stolnikowiczów, miecznikowiczów etc.? przypomina to dzisiejszą demokracyę francuską, która skasowawszy order św. Ducha i inne nie może się uporać z Legią honorową, ktorą rozdaje wszystkim, zasłużonym lub nie.

Ale mniejsza o tytuły, powtarzam, gdzie najzupełniej się nie zgadzam z p. Jelskim, to w jego nienawiści do obcych języków. Nawet francuszczyzna nie była takiem złem. Jeżeli mamy zasługi przo-

downików cywilizacyi zachodniej, zawdzięczamy je *tylko* związkom z zagranicą; gdybyśmy się byli otoczyli murem chińskim (jak słusznie się wyraża Ks Antoni Rawicz) od Europy, podleglibyśmy tatarom lub turkom, a przedewszystkiem nie moglibyśmy uledz wpływowi kościoła katolickiego i humanitarnych idei. Gdyby możnowładzcy rusko-litewscy nie jeździli do Paryża, Rzymu, Padwy i Bolonii, świat słowiański przedstawiałby inny niż obecnie widok. Nie byłoby tytułów ale panowałaby może ta prostota, którą możemy podziwiać w Chiwie, lub Bucharze. W każdym razie katolicyzm nie byłby na tem zyskał tyle, ile równość szlachecka i zapewne Katolickie Petersb. Tow. Dobr. nie istniałoby.

Wprowadzając obcą kulturę, arystokracya polska zrobiła to, co czynili Piotr Wielki i Fryderyk II; przez obczyznę wprowadzała cywilizacyę, a nawet moralność, która nie jest wyłączną cechą barbarzyństwa. Paplające po francusku pokolenia tak w Polsce jak w Rossyi i Prusach daleko wyżej stały nietylko umysłowo ale i moralnie od tych które je poprzedziły. Z francuszczyzną przyszło Polsce wiele złego za czasów W. Rewolucyi, ale przyszła była mądra polityka burbońska Maryi Ludwiki, poprzedzająca duch reformy i sama reforma stanisławowskich czasów. Francuzczyzna zamieniła Prusy z kordegardy w cywilizowane państwo, tak jak obczyzna, podległa geniuszowi Piotra dała Rossyi pierwszorzędne stanowisko w Europie. Zachodnia kultura wytworzyła wyrafinowane społeczeństwo, które Rossyą znakomicie przedstawiało za czasów nieśmiertelnych wojen Napoleońskich. Nie mogę dość nadziwić się bohaterom, dyplomatom, wielkim panom, którzy otaczali szlachetnego Aleksandra I-go.—Na obcych wzorach wychowała się plejada niezrównanych poetów i pisarzy tak rossyjskich jak i polskich. Cywilizacya ta zachodnia jeszcze tak widoczna w początku naszego wieku, kultura ta całkiem arystokratyczna, stanowi sławę wyższych klas ówczesnych. Francuzczyzna nie przeszkadzała patryotyzmowi: Książę Galicyn sławny generał 12-go roku nie mówił prawie po rossyjsku, Książę Józef Poniatowski był typem zfrancuziałym, siostrzenica jego, autorka francuzkich pamiętników, Anna Tyszkiewiczówna, odmówiła ręki ks. de Berry i wyszła za adjutanta Napoleona, Aleksandra Potockiego, przez patryotyzm: „Comment sauter de joie, à la nouvelle des victoires de Napoléon“, pisała, „étant la femme d'un Bourbon!“

Przerzucając „świętokradzko“ kilka starych francuskich książek znajduję parę zdań, które dziwnie nadają się do naszego społeczeństwa w przeszłości; do demokratycznych naszych ideałów. „On s'est épuisé à écrire sur la grandeur, pisał Voltaire, selon ce mot de Montaigne: nous

ne pouvons y atteindre, vengeons nous par en médire."—(Diction. phil. 989) i jeszcze: „Le pire des Etats c'est l'Etat populaire" (Corneille). Niestety, szlachecka demokracya i polityka zawierają się w tych dwóch frazesach. Dodajmy do nich zdanie H. Taine'a: „Sans aristocratie une civilisation n'est pas complète."

*

* *

Gdyby o jakimkolwiek stanie lub klasie narodu, nie mówię tu nawet o duchowieństwie, ale o stanie średnim, mieszczańskim lub włościańskim, a nawet o żydach, ktoś napisał coś podobnego do artykułu p. Jelskiego o naszej arystokracyi, powstałby jeden okrzyk oburzenia — najsłuszniejszego oburzenia. W odpowiedzi na cały stek obelg nie znajdujemy wyrazów nienawiści, winić całą klasę, a tem mniej lżyć jej nie należy. Nie powiemy, iż „już za Bolesława czy Kazimierza jakiś stan był spodlonym, skostowaciałym (?), iż już nie brakło mu *różnych* zdrajców, iż na jego wyżynach roiła się podłość i to „podłość rozszalała", nie wspominamy ani o „promiennych wyskokach z jądra ducha całej nieomal zdemoralizowanej do rdzenia kasty", ani o „podłości absolutnej, ani uważamy za tak złych, gorszych jakoby od tytułowanych i udekorowanych nędzników" tych narzutów (?) co wdarli się i wciąż *lażą* przebojem do arystokracyi, i tytułują się „sromotnie". Zostawmy zaściankom przywilej kastowej nienawiści i ciasnych pojęć starego autoramentu. Nie możemy odczuwać ani pojąć podobnej nienawiści do żadnego stanu, a tembardziej do szlachty, z którą związani jesteśmy oddawna tyloma węzłami. Choć nie wszyscy od niej pochodzimy, choć nie powstaliśmy z jej krzywdy, zżyliśmy się z nią, połączyliśmy się z nią węzłami krwi, wspólnej cywilizacyi, religii, ideałów, braterstwa, które o tyle tylko mogło być szczerem i drogiem, o ile nie było narzuconem ustawami a płynęło z serca. Nie mamy jednego rodu arystokratycznego, który by nie był związany pokrewieństwem z domami szlacheckimi, z drugiej strony od najdawniejszych czasów podupadłe rody kniaziów, bolesławowskich wojewodów i komesów stawały się z czasem czysto szlacheckimi. Nie zapominajmy, iż szlachta stanowiła rdzeń narodu, dawała znakomitych mężów ojczyźnie, hetmanów, a nawet królów, iż winni jesteśmy jej najszlachetniejszą postać Mickiewicza, wyższą nad kastowe pojęcia i uczucia. Ideał szlachecki Pana Tadeusza jest ideałem całego narodu. Każdemu z nas bije serce, czytając te do głębi duszy naszej przenikające strofy,

czujemy, iż krwią z krwi i kością z kości naszych jest ta szlachta, jak ten lud, jak te postacie podkomorzego, hrabiego i Soplicy, które poeta opiewa i kocha. Mickiewicz z olimpijskim spokojem patrzący na nie, nieznający tego rodzaju uczuć, nie uderzył ani razu w strunę nienawiści szlacheckiej, choć temat Pana Tadeusza mógł go do tego pociągnąć. Czemuż nie zawołamy z nim, w chwili stuletniego obchodu jego jubileuszu: . . . . . .

. . . . . Vivat wszystkie stany!

Petersburskie Katolickie Tow. Dobroczynności woli obrzucić błotem w tej chwili w popularnem wydawnictwie jeden z tych stanów, umieszcza portret autora, który pisać nie umie po polsku, obok portretu Mickiewicza, z którego widocznie chce zrobić socyalno - szlacheckiego demokratę, ku większemu zbudowaniu tych co „czerpią rozum z kalendarza."

Dziwny to zaiste ten „Katolicki" kalendarz, nie tylko nie katolicki, ale nawet nie bardzo chrześcijański. Czemu szczerze i poprostu nie nazwać się „socyalno-demokratycznym?"

Gdyby nie znakomita odprawa dana przez osobę duchowną p. Jelskiemu, proste a prawdziwe *verba veritatis* w odpowiedzi na „czystą sól prawdy, którą nam na stół *uczty umysłowej* stawi", moglibyśmy się przerazić tym dziwnym związkiem katolicyzmu z najskrajniejszą demagogją. Socyalna propaganda i podżeganie do nienawiści kastowej, a nawet wogóle do wszelkiej nienawiści, nie jest zadaniem Towarzystwa Dobroczynności. Daleko pożyteczniejsze są umieszczane w tym kalendarzu rady p. Jelskiego jak preparować wino z soku brzozowego, aby się nie *głumiło* i szampan z agrestu, niż wspomnienia o hubce i krzesiwku, pobożne życzenia o uśmierceniu ogniem obłędu wielkości etc. poparte cytatami z Pisma Świętego (przekręconemi), Ks. Skargi, Kraszewskiego i p. Gawalewicza.

Równie nadzwyczajną jak język tego kalendarza jest logika z jaką dobrano pomieszczone w nim wiadomości: na jednej stronicy obrzuca się błotem „splamionych, nikczemnych, okropnych, podłych" arystokratów, na drugiej zapisuje się ile się wzięło „jednorazowych 100-o rublowych wkładów", od tychże sromotnie utytułowanych. Proklamuje się, iż „podłość razem z tytułomanią zespoliwszy się, dosięga szczytów zgrozy", „zajaśniała nasza heradyka blaskiem haniebnym różnych hrabiów, książąt i baronów" „w retorcie czasu zła samego tytułu podnieta (?) i szlachta nie posiada przynajmniej owego szpetnego ogona obczyzny," a zapomina Katolicki kalendarz, iż tytuły rozdaje, a zatem nie uważa za haniebne, sam Papież. Napada na „wołokity",

zamożnych oligarchów i nie może darować możnowładztwu iż „włóczyło“ się na obczyźnie, a jednocześnie daje „Rady dla podróżujących zagranicę.”

Wszystko to jest komicznem i byłoby niesłychanie zabawnem, gdyby Kalendarz Tow. Dobr. nie był przeznaczony dla ludu, dla ludzi łatwowiernych, pobożnych, dobrych z gruntu ale mogących pod wpływem socyalnej propagandy stać się bardzo złymi. Zapewne „iż czerpie rozum z kalendarza” podług starej piosneczki, światek szlachecki, przedewszystkiem tam gdzie „pleść trzy po trzy bez ustanku,” uważa się za tężyznę, gdzie jak śpiewał Bartels...:

Trzymać się klamki magnatów... polszczyzna,
Wrzeszczeć na arystokratów... tężyzna.

Ale nie tam tylko kalendarz może dojść — rozsyłany proboszczom na wieś pod płaszczykiem katolicyzmu sięga on daleko i może mieć wpływ na ciemny gmin, który ani przekręconego przez korektę tekstu Pisma Św., ani omyłek historycznych lub gramatycznych nie spostrzeże, ale doskonale zrozumie cel tych napaści.

P. Jelski w dowodach swych historycznych opiera się przedewszystkiem na ulotnych broszurkach rewolucyjnych takich księży, jak Jezierski, Kołłątaj etc., na dziełach uczonego co prawda, ale w najwyższym stopniu stronnego Lelewela. Nie zapominajmy iż byli to księża w rodzaju francuskich abbé, nie wierzących w Pana Boga, najskrajniejszych agitatorów i terrorystów. Nie tylko podczas ulicznych egzekucyi 1794 r. ale i w 1831 r. historycy tacy grali dwuznaczną i wstrętną rolę, gdyż Lelewel podżegał lud do ostatnich excesów (L. Dębowski). Do tejże epoki przestarzałego liberalizmu à la J. J. Rousseau i zwietrzałych pojęć należy „Doświadczyński” choć rozumie się bynajmniej nie rewolucyjnej treści.

Zdawałoby się, iż od epoki wygłoszenia zasady „*les aristocrates à la lanterne*“ uszliśmy trochę naprzód. Nie odczuwamy tak bardzo niebezpieczeństwa feodalizmu. Czyżby nasze „możnowładztwo” było swoją obecną potęgą niebezpiecznem dla narodu? Może jest niebezpiecznem dla kościoła lub religii?

Zdaje się, iż niebezpieczeńswo i siła są teraz po innej stronie. Wątpić należy, aby kościół, który trzymał stronę możnowładztwa, póki było potężnem, uważał za stosowne błogosławić jego wrogom z chwilą, kiedy z prześladowanych zmienili się na prześladujących. Praktyczne to co prawda, ale teorye ks. Stojałowskiego et consortes nie są teoryami dzięki Bogu reszty naszego duchowieństwa.

Ani katolicką, ani na czasie jest ta propaganda, ale zwłaszcza u nas. Nieuprzedzona krytyka historyczna wiele wytłómaczyła w ostatnich czasach z naszej przeszłości; trudno nam zawsze będzie pojąć zawiści „szlacheckiej“ ku „wyższym“ klassom. Znakomity autor „Placówki“, znany demokrata, którego cenimy tak wysoko wszyscy, zauważył niestosowność tych napaści, ale Bolesław Prus jest szczerym demokratą, kochającym lud, a przedewszystkiem prawdę; inni, jak np. autorka naiwnej powieści „Błękitni“ napadają na arystokracyę, w „obronie szlachty!“ Co za dziwne połączenie nieśmiertelnych zasad 1789 r. z zaściankowemi. Demokracya taka może być co najmniej podejrzaną, a jednak ta a nie inna jest u nas powszechną, jak za dobrych Zygmuntowskich czasów. Może to oznaka żywotności, dałby to Bóg, ale wątpię. Ironicznie nam dźwięczy u schyłku XIX wieku zdanie namiętnie wypowiedziane: „Szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie“, kiedy już wojewodów od lat stu niema a wkrótce może i własnych zagród nie stanie.

DK
430
.3
S88

Szelągowski, Adam
Układy królewicza Władysława i dysydentów z Gustawem Adolfem w r. 1932

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY

UTL AT DOWNSVIEW
D RANGE BAY SHLF POS ITEM C
39 11 13 12 06 008 0